ROK XVII NR 4 (844) ŁÓDŹ, 24 STYCZNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ.

TYGODNIK SPOŁECZNO – KULTURALNY

# ODGŁOSY

Laureaci nagród miasta Łodzi ★ Piotr Jaskow – MASZTEM W NIEBO (fotoreportaż) ★ Marek Wawrzkiewicz – ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI ★ Lucjusz Włodkowski – ZA DWADZIEŚCIA PARĘ LAT, JAK DOBRZE PÓJDZIE ★ Tadeusz Gicgier – OPOWIEŚCI MYŚLIWSKIE ★ Leonid Tokariew – TRYUMF KICZU ★ Felietony ★ Recenzje ★ Sex w literaturze

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

## TAJEMNICE CZWARTEGO WYMIARU

MACIEJ ZDZIENICKI

*Fot. W. Parys*

„W roku 1921 czy 1922 na herbacie u nas na Smolnej opowiadał Ossowiecki przedziwne historie swego rozdwojenia i zjawiania się u kogoś o oznaczonej godzinie. Ponieważ absolutnie w to nie wierzyłam, twierdziłam, że ze mną nie udałoby się takie doświadczenie; zapowiedział, że dziś w nocy zjawi się w oknie mojego pokoju, budząc mnie. Zapomniałam o tej rozmowie i najspokojniej zasnęłam Nagle (później zobaczyłam, że było to o pierwszej w nocy) obudziło mnie coś, niesamowite uczucie, obecność jakby kogoś i blask w oknie, a noc była księżycowa; zwróciłam głowę ku oknu i z przerażeniem zobaczyłam Ossowieckiego, siedzącego jakby w fotelu, głowa naturalnej wielkości, patrzącego ku mnie w natężeniu. Okropnie się zlękłam, zdrętwiałam, a nie mogąc przetrzymać tego widoku, ukryłam głowę w poduszkę. Wszystko musiało trwać krótko; z wolna zwróciłam znowu oczy ku oknu, widziadło bladło; wyraźnie widziałam u Ossowieckiego bolesny wyraz, a nawet jakby lęk. Postanowiłam nie dzwonić pierwsza, a czekać co powie sam Ossowiecki. Zadzwonił rano, mówiąc, że nigdy już takiej próby ze sobą nie zrobi. Twierdził, że bardzo się męczył i z trudem i bólem wrócił z tej wędrówki do siebie. Ciekawe, że nie znając mego pokoju, najdokładniej go opisał — jeszcze ciekawsze, że drobiazgowo opowiedział, co się ze mną działo; mój lęk, chowanie się itp".

**Powyższe zdarzenie opisuje w książce pt. „Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim" ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI przytaczając opowiadanie naocznego świadka – Anny Jackowskiej. Autor poświęcił cały rozdział malowniczej postaci inżyniera Stefana Ossowieckiego, który w latach międzywojennych zadziwił Warszawę swymi nadzwyczajnymi umiejętnościami. Ossowiecki potrafił prawie bezbłędnie odgadnąć co nie znana mu osoba utrwaliła w Madrycie na kartce papieru. Adam Grzymała Siedlecki tak pisze o tym:**

— „Dopytywałem go (Ossowieckiego — przypisek mój) jakim biegiem intuicji doszedł do tego rozwiązania. Słów jego odpowiedzi dziś już — po 25 bodaj latach — nie pamiętam ściśle, zdaje mi się jednak, że w pełni mogę odpowiedzieć za ścisłość ich sensu. Zeznanie brzmiało: „Trzymając ową z Madrytu przesyłkę, starałem się przeniknąć myślą do pokoju, w którym ta osoba przebywała. Ujrzałem ją siedzącą przy stole, z głową opartą na ręce. Ujrzałem jej twarz, ubranie, wreszcie kartkę papieru, na której coś pisała. Ujrzałem ją wreszcie wstającą od stołu i wychodzącą z pokoju. Wtedy przestałem się koncentrować i wróciłem do siebie".

Dalszy ciąg na str. 10

Równinne, piaszczyste pola przecina szlak kolei żelaznej. Pociąg pędzi ze Zduńskiej Woli, zabiera ludzi z Sieradzkiego i Pajęczańskiego, można nim dojechać do Częstochowy i dalej, na głęboki Śląsk. Ten pociąg mąci senną ciszę, łączy ze światem, ożywia zagubione w pustej przestrzeni małe stacyjki.

Zimą głęboka noc wisi nad polami, kiedy pociąg zatrzymuje się na małej stacji Chorzew w Pajęczańskiem. Noc, bo dopiero 3,30. Wraz z okolicznymi mieszkańcami, codziennie, tak już od 1945 r., zabiera się w podróż do Częstochowy, szczupły, o pociągłej twarzy, starszy mężczyzna. Wraca do Chorzewa późnym wieczorem. Ale o tym dowiecie się dopiero na miejscu.

RYSZARD BINKOWSKI

## PRZY MAŁEJ STACJI CHORZEW

1.

**Za torami robotnik w kufajce grzebie szuflą na poboczu drogi. Kiedy „Wołga" zatrzymuje się obok niego, szufla zaczyna podskakiwać żwawiej i rytmiczniej.**

**— To panowie nie w sprawie tej drogi — mówi z ulgą, kiedy wyjaśniam cel naszej wizyty.**

**— A z drogą to jakaś poważna sprawa?**

— No! Trzy lata temu zaczęto ją budować i nie można skończyć. Chorzew pisał listy do różnych urzędów, ostatnio Telewizja kręciła tu zdjęcia i wszystko będzie pokazane w „Kontaktach".

— Proszę pana — **przerywa, szczękając zębami kierowca, pan Czesław** — da się u was napić czegoś gorącego? — **Pana Czesława łamie grypa, a na dworze ziąb niezgorszy.**

— A dyć to zaraz tu! Prawie na przeciwko jest knajpka — informuje robotnik.

**Knajpka ma różowe tynki i nazywa się „Chorzewianka", w środku pusto i chłodno, gdyż interes zaczyna się dopiero rozkręcać. Młoda kelnerka zakłada fartuszek na pośladki, wiąże na brzuchu.**

**— To u was taka moda? — pytam.**

— No! — **śmieje się i biega po salce szukając zapodzianego gdzieś czepka. Fartuszek na zadku pewnie po to, żeby nie zabrudzić przy siadaniu nowych amerykanów.**

**Pijemy herbatę, do baru wchodzą pierwsi klienci; pienią się kufle grzanego, słodzonego piwa, w kuchni personel śpiewa na trzy głosy modny przebój, weseli goście wstawiając głowy w okienko, mówią: „Cizia", „Laleczko" albo „Kiciuś" rzuć no schabik na gorąco, jak jeszcze nie ma golonki.**

**— Pani jest mieszkanką Chorzewa? — zwracam się do młodej bufetowej.**

— Od urodzenia!

**— Zna pani Bolesława Wiśniewskiego?**

**Dziewczyna marszczy brwi, zastanawia się przez chwilę.**

— To pewnie idzie o tego starszego gościa — **mówi** — co to zajmował się u nas przedstawieniami. Ale on robi gdzieś na Śląsku i w domu go nie ma, będzie dopiero wieczorem.

2.

**Jest źle. Raz, że młodzi nie bardzo znają Wiśniewskiego, dwa — że nie zastanę go w domu i nie będzie reportażu. Albo będzie. Reportaż bez**

Dalszy ciąg na str. 8

KRZYSZTOF TUROWSKI

## RACJĘ MIAŁ HORACY

*Fot. M. Bełdycki*

**Sam co prawda niewiele mam do czynienia z Erato czy Euterpe, za to żywię podobny jak Horacy szacunek do napoju, o którym inne łacińskie powiedzenie głosi: „vina bibunt homines, animalia cetera fontes" — „ludzie piją wino, pozostałe zwierzęta wodę źródlaną".**

Dalszy ciąg na str. 4

## LISTY DO REDAKCJI

**„NADZIEJA CZYLI IDIOTYZM"**

**Serdecznie ściskam Wam prawicę za artykuł „Nadzieja czyli idiotyzm", zamieszczony w 47 numerze tygodnika „Odgłosy" z ubiegłego roku. Aleście wygarnęli ministrowi komunikacji.**

**31.8. 1973 r. wracałem z rodziną od krewnych w Łodzi i w Krakowie wsiadaliśmy do poc. nr 21 odj. o 22.25 do Przemyśla. Pociąg ten po 23 dojechał do Bochni i tu... utknął na długie godziny. Z głośników stacyjnych w Bochni co chwila rozlegał się głos: „pociąg osobowy z Krakowa do Przemyśla jest wstrzymany na czas nieograniczony", że „pociąg nr taki, a taki jest opóźniony na czas nieograniczony". I tak w kółko do godz. około 3 w nocy. Zirytowani, śpieszący się i co ciekawsi pasażerowie poszli dowiedzieć się na nastawni i u dyżurnego ruchu, co się stało. Niestety, nikt rzeczowo nie odpowiedział. W tej sytuacji zaczęła krążyć po całym pociągu fama, że pociąg nr 3237 z Krakowa do Zamościa lub pociąg nr 3215 z Krakowa do Lublina wywalił się gdzieś na trasie.**

**Jak się potem na szczęście okazało, była to nieprawda. Po 4-godzinnym postoju pociąg ruszył. Ale nie ujechał daleko. Zaledwie do wysokości nastawni, z której sygnałem świetlnym został zatrzymany. Z nastawni rozległ się krzyk: „A kto wam, do cholery, dał rozkaz na piśmie do jazdy".**

**Praca PKP na pewno jest zła, jeżeli małe mrozy powodują pękanie szyn i ujemnie wpływają na kursowanie pociągów. Z pękania szyn należy wyciągnąć specjalne wnioski, a nie zwalać winy na pogodę. Koleje skandynawskie, fińskie, kanadyjskie, radzieckie w części północnoeuropejskiej i syberyjskiej pracują w gorszych warunkach aniżeli koleje PKP. I co ciekawe, pęknięcia szyn należą tam do rzadkości, jak i spóźnienia pociągów. Gdy u nas szyny pękają, to na pewno wiadomo, że są z materiału o złej jakości. Nikt logicznie myślący w to nie uwierzy, że nie można wyprodukować szyn, które nie będą pękać na mrozie.**

**JAN BODZENTA**

**(Tarnów)**

# ZASZCZYTNE WYRÓŻNIENIE

W tych dniach odbyła się uroczystość przekazania osobistego listu **EDWARDA GIERKA**, I sekretarza KC PZPR — **Jerzemu Wawrzakowi**, I sekretarzowi POP przy Oddziale Łódzkim Związku Literatów Polskich, naczelnemu redaktorowi tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy".

W liście tym I sekretarz KC PZPR składa **JERZEMU WAWRZAKOWI** podziękowanie za wkład pracy w dzieło rozwoju literatury socjalistycznej oraz życzenia dalszych sukcesów twórczych.

W uroczystości wzięli udział: kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KŁ PZPR — **Zbigniew Faliński**, prezes OŁ ZLP — **Wiesław Jażdżyński**, prezes OŁ SDP — **Wojciech Drygas**, dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — **Tadeusz Lewandowski.**

# UZNANIE DLA LUDZI PRASY

**Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH" otrzymało w uznaniu za wyniki pracy w** ubiegłym roku dyplom uznania, podpisany przez I sekretarza KC PZPR — **Edwarda Gierka** i premiera **Piotra Jaroszewicza.**

W uroczystości wręczenia dyplomu uczestniczyli: sekretarz KŁ PZPR — **Jerzy Chabelski**, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR — **Alfred Kusiak** oraz prezes ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch" — **Stanisław Mojkowski.**

Dyplom sekretarz KŁ PZPR wręczył na ręce dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — **Tadeusza Lewandowskiego.**

W czasie uroczystości prezes St. Mojkowski udekorował odznaką Zasłużonego Działacza Kultury **Karola Baranieckiego** („Karuzela"), **Henryka Pawlaka** („Głos Robotniczy") i **Jerzego Wilmańskiego** („Odgłosy").

Ponadto pracownikom prasy, radia i telewizji prezes St. Mojkowski wręczył medale Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z okazji 25 lat pracy w zawodzie dziennikarskim. Otrzymali je: **Jan Bąbiński, Arnold Borowik** (Polskie Radio), **Wojciech Drygas** („Karuzela"), **Marian Jeżewski** (Polskie Radio), **Sergiusz Kłaczkow** („Głos Robotniczy"), **Władysław Płoszyński, Jadwiga Sakowicz** (emeryci), **Sylwina Wąsak-Horowska** („Życia Pabianic"), **Teresa Wojciechowska** („Karuzela").

# Po XII PLENUM KC PZPR

## KONSEKWENTNA DROGA

**XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, pierwsze w roku trzydziestolecia Polski Ludowej, podjęło decyzje o szczególnym znaczeniu dla społeczno — ekonomicznego rozwoju kraju. Strategiczne cele określone przez VI Zjazd Partii znalazły w nich swe kolejne potwierdzenie, kształt praktyczny.**

Przyjęcie jako niewzruszonej zasady stałego, dynamicznego społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju wymaga nie tylko stałego wysiłku, lecz także elastycznej polityki, której wyznacznikami są: umiejętność wyboru i odrzucanie minimalizmu.

Przecież w ostatnich trzech latach osiągnęliśmy bardzo dużo, poczuliśmy smak sukcesu. Pod kierownictwem partii zrobiliśmy więcej niż to w planach (określanych jako bardzo śmiałe i napięte) zakładano. Z myślą o przyszłości kraju podjęliśmy ogromny wysiłek inwestycyjny (Port Północny, Huta „Katowice", motoryzacja, liczne fabryki domów) a równocześnie „na dzisiaj" zapewniony został szybki i wydatny wzrost realnych płac i dochodów ludności. Osiągnęły one poziom przewidywany na ostatni rok pięciolatki.

Obecna sytuacja gospodarcza, dobre wyniki przemysłu i rolnictwa, stale wyzwalane rezerwy i poprawa gospodarności — pozwalają pójść dalej, zapewnić wzrost dochodów dalszych grup zawodowych (górników, pracowników transportu, usług, kultury itd.) Będzie to zarówno satysfakcja materialna dla milionów zatrudnionych, a także gwarancja rozwiązania wielu trudnych problemów w funkcjonowaniu gospodarki, których bez zastosowania odpowiedniej zachęty materialnej rozwiązać nie sposób. Objęcie regulacją płac wszystkich zatrudnionych w 1970 roku nie wydawało się możliwe. A jednak, mierząc siły na zamiary i potrzeby stoimy obecnie nie wobec możliwości, lecz faktów.

„Jest to decyzja — powiedział na Plenum KC Edward Gierek — na linii całej naszej polityki, ale przez swoją kompleksowość i powszechność oznacza ona postęp jakościowy w stosunku do tego co zrobiliśmy dotychczas".

Przyjęta przez Plenum „korekta w górę" programu socjalnego wyrażająca się podniesieniem najniższych płac, emerytur i rent oraz reformą zasiłków rodzinnych — jest przykładem praktycznego wcielania w życie i umacniania podstawowych zasad socjalizmu. Istotą socjalizmu jest humanizacja życia, a więc i stała troska o rodzinę, kobietę, dziecko; polepszanie egzystencji ludzi starych, weteranów walki i pracy.

Realizacja programu przyjętego przez Plenum a następnie uchwała Sejmu w sprawie rządowego programu realizacji postanowień I Krajowej Konferencji PZPR — wymagać będzie dalszych, poważnych wysiłków. Nim podjęto tak doniosłe decyzje, stałym już i dobrym zwyczajem, przeprowadzono szeroką konsultację z aktywem partyjnym. Konsultacje wniosły liczne uwagi, uzupełnienia i nowe propozycje — i nie miały nic z formalnej akceptacji, o ich powszechności może świadczyć udział 262 tys. osób, z których wypowiedziało się 140 tys. Komitet Centralny przekazał aktywowi partyjnemu specjalne podziękowanie za konstruktywną dyskusję, za cenną radę i pomoc.

Towarzysz Edward Gierek w swoim przemówieniu na Plenum wyraźnie akcentował realność podejmowanego programu, wskazując m. in. na dobre efekty współdziałania z gospodarką radziecką, integrację w ramach RWPG. Związek Radziecki zwiększy w br. dostawy zboża do 1,5 mln ton, większe będą też dostawy innych surowców, maszyn rolniczych i urządzeń przemysłowych (w tym ok. 10 tys. traktorów).

Biorąc jednak pod uwagę najbliższe perspektywy, czas, absolutnym warunkiem realizacji nakreślonego programu było uzyskanie dodatkowych środków w wyniku podniesienia cen produktów naftowych, alkoholu i marż gastronomicznych. Jest to źródło wtórne i uzupełniające, ale konieczne. Liczy się bowiem czas. Sfinansowanie programu wyłącznie samym wysiłkiem gospodarki byłoby niemożliwe. Chodzi przecież o kwotę 36 miliardów zł (z tego 27,5 mld dotyczy miasta, pozostała suma wsi, z tytułu wzrostu cen na niektóre artykuły rolne). Gdyby szukać pokrycia na te kwoty wyłącznie w gospodarce, produkcja w skali rocznej musiałaby szacunkowo wzrosnąć o ok. 200 mld zł, co jest nierealne. Nie trzeba być ekonomistą, żeby to zrozumieć.

Stąd więc wzięła się decyzja o podwyższeniu cen na wymienione wyżej artykuły jako konieczność ekonomiczna. Podstawowe grupy ludności odczują ją w stopniu minimalnym, lepiej sytuowani w skali umiarkowanej. Spowodowanie pewnego przesunięcia w podziale dochodów odpowiada jednak poczuciu sprawiedliwości ludzi pracy i spotkało się z powszechnym poparciem. Przy okazji, zarówno w wystąpieniu I sekretarza na Plenum i premiera w Sejmie, przypomniano konsekwentną politykę stabilizacji głównych składników utrzymania rodzin ludzi pracy, zgodnie z wytycznymi I Krajowej Konferencji PZPR, które zakładają na rok bieżący niezmienne ceny na podstawowe artykuły spożywcze.

„Decyzje XII Plenum KC PZPR — powiedział Edward Gierek — otwierają szerokie możliwości dalszego przyspieszenia społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju i umacniają siły polityczne naszej partii. Od nas wszystkich zależy przekształcenie tych możliwości w rzeczywistość..."

(JW)

# AUTO-RODEO POD ZGIERZEM

**Gigantyczny zator na międzynarodowej E-16 utworzył się dosłownie w przeciągu kilkunastu minut. Ogromny samochód-cysterna, jadący w stronę Ozorkowa wpadł tuż za Zgierzem w poślizg i zatrzymał się na pobliskim płocie. Z uszkodzonego zbiornika zaczął wylewać się na drogę płynny azot. Była godz. 18.30. Dookoła panowały egipskie ciemności, rozcinane jedynie światłami zablokowanych w korku ciężarówek i samochodów osobowym. Na 15-kilometrowym odcinku szosy między Ozorkowem i Zgierzem znalazło się w potrzasku kilkaset aut, tworząc tasiemcową kolumnę.**

**Warunki drogowe były wyjątkowo fatalne. Obfite opady deszczu i marznącej mżawki utworzyły wielką ślizgawkę. Przeźroczysta jak kryształ warstwa mokrego lodu fałdowała się na każdym kamieniu. Koła traciły przyczepność, a kierowcy — panowanie nad nerwami i roztańczonymi w poślizgach samochodami.**

**Od czego zaczęło się — trudno dziś powiedzieć. Synoptycy trafili jak kulą w płot. Zaskoczenie było kompletne. We wtorek — 15 stycznia zamiast spodziewanego spadku temperatury — wystąpił wieczorem przygruntowy przymrozek i lodowica. Komunikaty radiowe i telewizyjne apelowały o zachowanie szczególnej ostrożności. Na chodnikach ludzie przewracali się co chwila łamiąc ręce i nogi, albo w najlepszym przypadku zdobywając kolejne siniaki i guzy. Obszerne relacje z wieczornych wydarzeń w mieście zamieściły wszystkie łódzkie dzienniki. Tymczasem na szosach — według relacji naocznych świadków — działy się rzeczy wyjęte wprost z filmowych „dreszczowców".**

**Odległość między zderzakami unieruchomionych wozów, zmierzających w kierunku Łodzi nie przekraczała dwóch metrów. Wykoślawione karoserie, potłuczone szkła reflektorów i powyginane zderzaki nie były rzadkością. W połowie odcinka — niemal na samej osi jezdni — nastąpiły dwa czołowe zderzenia ciężarówek. Lewa strona drogi w kierunku Ozorkowa była luźniejsza. Między ogromnymi kontenerowcami, „Starami", „Jelczami", holującymi przyczepy a lekkimi wozami osobowymi widoczne były znaczne przerwy.**

**Właśnie te miejsca usiłowali wykorzystać dla ominięcia zatłoczonego pasma ruchu kierowcy ciężarówek i właściciele „Fiatów", „Syren", „Watburgów", „Moskwiczów" itp. Na oblodzonej nawierzchni kończyło się to z reguły ustawieniem samochodu w poprzek drogi, albo lekkim zderzeniem. Wyjące silniki pracowały na pełnych obrotach. Każda jednak próba ruszenia z miejsca skazana była na niepowodzenie.**

**Nastrój ogólnego zdenerwowania potęgowała jeszcze bardziej powszechna bezradność. Na szosie nie było ani jednej piaskarki. Obficie padający deszcz zamarzał na oknach i karoseriach. Drzwi samochodów otwierały się z trudnością. Włączanie wycieraczek okazywało się bezcelowe, bo wewnętrzny nadmuch na przednie szyby nie roztapiał lodowych zacieków. Tramwaje jeździły rzadko, aż wreszcie przestały kursować. Grupy zziębniętych, niedoszłych pasażerów wędrowały wzdłuż torowiska, najwyraźniej licząc na dojście do kolejnego przystanku, albo zatrzymanie wagonu w środku trasy. Na drodze nie było również milicjantów. Wprawdzie nie byli oni w tym wszystkim najważniejsi, ale sam ich widok mógłby być krzepiący.**

**Piaskarki nie było nawet na lekarstwo. Oficer dyżurny MO w Zgierzu w stopniu podporucznika powiedział samochodziarzom, którzy swe auta zostawili na szosie, że to sprawa komendy powiatowej. W Łodzi przy ul. Gdańskiej okazało się, że winę za brak piaskarek na tym odcinku szosy ponosi RSD w Łęczycy. W Łęczycy jednak nikt nie podnosił słuchawki.**

**Podróż samochodem z Ozorkowa do Łodzi trwała 4 godziny. Moskwicz, który dojechał na krawędzi ryzyka miał na tylnych oponach kolce. Jego kierowca, chociaż rajdowo otrzaskany czuł się jak bohater filmowej „ceny strachu". Rozrzucone bezładnie na szosie stado unieruchomionych samochodów groziło w każdej chwili mimowolnym i łańcuchowym karambolem.**

**O północy — a więc już w pierwszych minutach środy 16 stycznia deszcz przestał padać. Zanim na szosie korek samochodowy takich rozmiarów zdołał się rozładować — upłynęło kilka pełnych kwadransów.**

**Rozgoryczenie wśród zmotoryzowanych jednak pozostało. Każdy, ktokolwiek znajdował się 15 stycznia br. w samochodzie między Ozorkowem i Zgierzem jest głęboko przekonany o pełnej gotowości drogowców do walki z gołoledzią... ale w lipcowe popołudnia. Zaskoczenie mówi przecież samo za siebie...**

**A swoją drogą, jeśli rodzą się trudności — zawsze istnieje możliwość ich przełamania, lub zgrabnego ominięcia. Czyżby nie warto zastanowić się nad możliwością wyrzucenia na pobocza kilkudziesięciu wywrotek piasku i soli, aby w krytycznych momentach kierowcy mogli sobie radzić na własną rękę? Jest zima i każdy zapobiegliwy wozi w bagażniku łopatę.**

**JERZY GALĘBA**

# NOTY i OPINIE

**◄ ŁÓDŹ UROCZYŚCIE OBCHODZIŁA 29 ROCZNICĘ WYZWOLENIA.** Przyznano doroczne nagrody miasta Łodzi. (Laureatów prezentujemy w bieżącym numerze „Odgłosów"). Złożono wieńce pod pomnikami i w miejscach upamiętnionych walką i męczeństwem narodu polskiego. W Teatrze Wielkim odbył się uroczysty koncert.

Do Honorowej Księgi Przodowników Czynu Produkcyjnego wpisano nowe nazwiska.

**◄ DOROCZNYM ZWYCZAJEM,** z okazji obchodów 29 ROCZNICY WYZWOLENIA WARSZOWY przyznano nagrody miasta stołecznego Warszawy. W tym roku nagrody otrzymali: JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — poeta, prozaik, dramaturg, jeden z najwybitniejszych pisarzy współczesnej Europy, STANISŁAW SZENIC — autor wielu książek o Warszawie, HANKA BIELICKA — popularna aktorka, teatru, estrady i filmu, ZOFIA KUCÓWNA — wybitna aktorka teatru i telewizji, ZYGMUNT RYBICKI — prawnik, specjalista z dziedziny prawa administracyjnego, profesor i rektor Uniwersytetu Warszawskiego, WITOLD ROWICKI — znakomity dyrygent, kierownik artystyczny Filharmonii Narodowej, ADAM KILIAN — grafik, malarz, wybitny scenograf, JAN ZACHWATOWICZ — — profesor Politechniki Warszawskiej, członek Polskiej Akademii Nauk i Paryskiej Akademii Architektury, specjalista w dziedzinie ochrony zabytków, jeden z inicjatorów odbudowy Zamku Warszawskiego, ZBYSZKO SIEMASZKO — fotografik, stale współpracujący z redakcjami „Stolicy" i „Perspektyw", ANDRZEJ ZAHORSKI — historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, specjalista z dziedziny historii Warszawy.

**◄ FABRYKA W 7 DNI. W 7 dni — to może i przesada, ale tyle czasu trwa montaż podstawowej części konstrukcji, tzw. modułu — który można wielokrotnie powtarzać. A więc, jeśli hala fabryczna ma składać się z 5 takich części, to jej montaż trwać będzie 35 dni.**

**Projekt konstrukcji lekkich hal powtarzalnych dla fabryk opracowali inżynierowie z Biura Projektów Przemysłu Elektronicznego „UNIPRO" oraz Centralnego Ośrodka Konstrukcji Metalowych „MOSTOSTAL".**

**Pierwszą taką halę, która jest prototypem polskiego rozwiązania, montuje się dla Warszawskich Zakładów Telewizyjnych.**

**◄ „DYREKTORSKA NIEDZIELA" w Radomsku. Zorganizowali ją zetemesowcy z ZP im. Komuny Paryskiej w Radomsku. Pracowali oni w czynie społecznym przez 6 godzin w niedzielę, 13 stycznia br. Przez cały ten czas „Komuna Paryska" była zarządzana przez młodzież.**

**◄ DOM W NIECAŁE 3 MIESIĄCE** zmontowali, wykończyli i przekazali użytnikowi budowlani z Kombinatu Budownictwa Miejskiego „Południe", którzy budują warszawską dzielnicę mieszkaniową „Stegny". Sukces ten warszawscy budowlani zawdzięczają znakomitej organizacji pracy oraz współpracy ze Służewską Fabryką Domów, która elementy do montażu podwoziła wprost pod ramię dźwigu.

Autorami tego sukcesu są ekipy montażowe Kazimierza Romańskiego oraz ekipy wykończeniowe Andrzeja Dutka.

**◄ TELEFONY w Łodzi nie należą do najsilniejszej strony miasta. Wiadomo jest, że pod tym względem pozostajemy daleko w tyle poza innymi dużymi miastami kraju. Posiadamy obecnie ok. 60 tys. numerów, a budowa nowych centrali powiększy łódzki stan posiadania o 12 tys. numerów.**

**Oddanie do użytku nowych central telefonicznych na Dąbrowie i Teofilowie pozwoli numery z północy miasta przerzucić na „Śródemkę", a zwolniona centrala „piątka" stanie się podstawą dla przejścia na sześciocyfrowy, bardziej pojemny system telefoniczny. Będzie on jednak wprowadzany etapami i zakończony zostanie dopiero w 1979 roku. Niestety.**

**◄ DLA CHCĄCEGO NIE MA NIC TRUDNEGO** — głosi stare przysłowie. Dowiedli tego — jak to ujawniła „Gazeta Radomszczańska" — drogowcy z Radomska. W czasie grudniowej śnieżycy, zamiast natychmiast ruszyć z oczyszczaniem dróg, postanowili poczekać trochę, łudząc się nadzieją, że może to tylko chwilowe opady i śniegu nie będzie wiele, a więc wystarczy piasek i... sól.

Chcieli wygrać z zimą, ale zima ich zaskoczyła. Aura w tym roku jest kapryśna. W połowie stycznia na Bałtyku panował sztorm, w Zakopanem padał śnieg, w Nowym Targu pługi ruszyły na odśnieżanie dróg, a w Krakowie była... wiosna. W Łodzi przeżyliśmy od dawna nie notowaną gołoledź. Trudno więc dziwić się, że niektórzy nie wierzą w ogóle w zimę, ale drogowcom tego robić nie wolno.

Niedbalstwo na drogach w powiecie radomszczańskim spowodowało, że 8 stycznia 1974 roku na stan 120 autobusów PKS w Radomsku — 80 było w remoncie. A radomszczański PKS obsługuje 300 tras i dziennie przewozi ok. 10 tys. pasażerów. Nie może zadania tego spełnić dysponując tylko 40 autobusami.

Dlaczego tak się stało?

Drogowcy — jak pisze „Gazeta Radomszczańska" — postanowili być wygodni. Nie oczyścili dróg ze zlodowaconego śniegu, na drogach powstały ogromne wyboje, które unieszkodliwiły skutecznie transport PKS w Radomsku. Zechcieli być wygodni i to im się udało. A że za społeczne pieniądze, to już nie ich sprawa.

Gdyby tak jeszcze zechcieli dobrze pracować i gdyby im to się udało — to nasza radość byłaby ogromna.

**◄ W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM,** a także w Legnicy i Wrocławiu zainstaluje się — jak informuje PAP — liczniki w autobusach. Liczniki te będą liczyły pasażerów, aby odpowiedzieć na pytania nurtujące autorów rozkładów jazdy miejskich przedsiębiorstw komunikacyjnych. Elektronowy licznik do liczenia pasażerów skonstruował inż. Jan Saskowicz z MPK w Jeleniej Górze.

**◄ W ŁODZI** oczywiście nie ma po co instalować takich liczników. I bez tego wiemy, gdzie na liniach autobusowych jest tłok, a gdzie go nie ma. Zdolność przewidywania u nas jest tak wysoka, że kiedy budowano „Uniwersal" po południowej stronie Placu Niepodległości, nikomu nie przyszło do głowy, że łodzianie będą jeździli po zakupy właśnie do tego domu towarowego. Nie pomyślano więc o tym, że przydałoby się podziemne przejście pod jezdnią, które połączyłoby węzeł tramwajowo-autobusowy na Pl. Niepodległości z „Uniwersalem". Dziś problem tłoku na jezdni przed „Uniwersalem" rozwiązano przy pomocy... świateł sygnalizacyjnych.

Czy jest to sposób radykalny?

Aby znaleźć na to pytanie odpowiedź, wystarczy wybrać się po południu po zakupy do „Uniwersalu" i stwierdzić, że łodzianie przechodzą jezdnię mimo czerwonego światła, które — jak wiadomo — oznacza zakaz przechodzenia.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

# Za dwadzieścia parę lat jak dobrze pójdzie...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

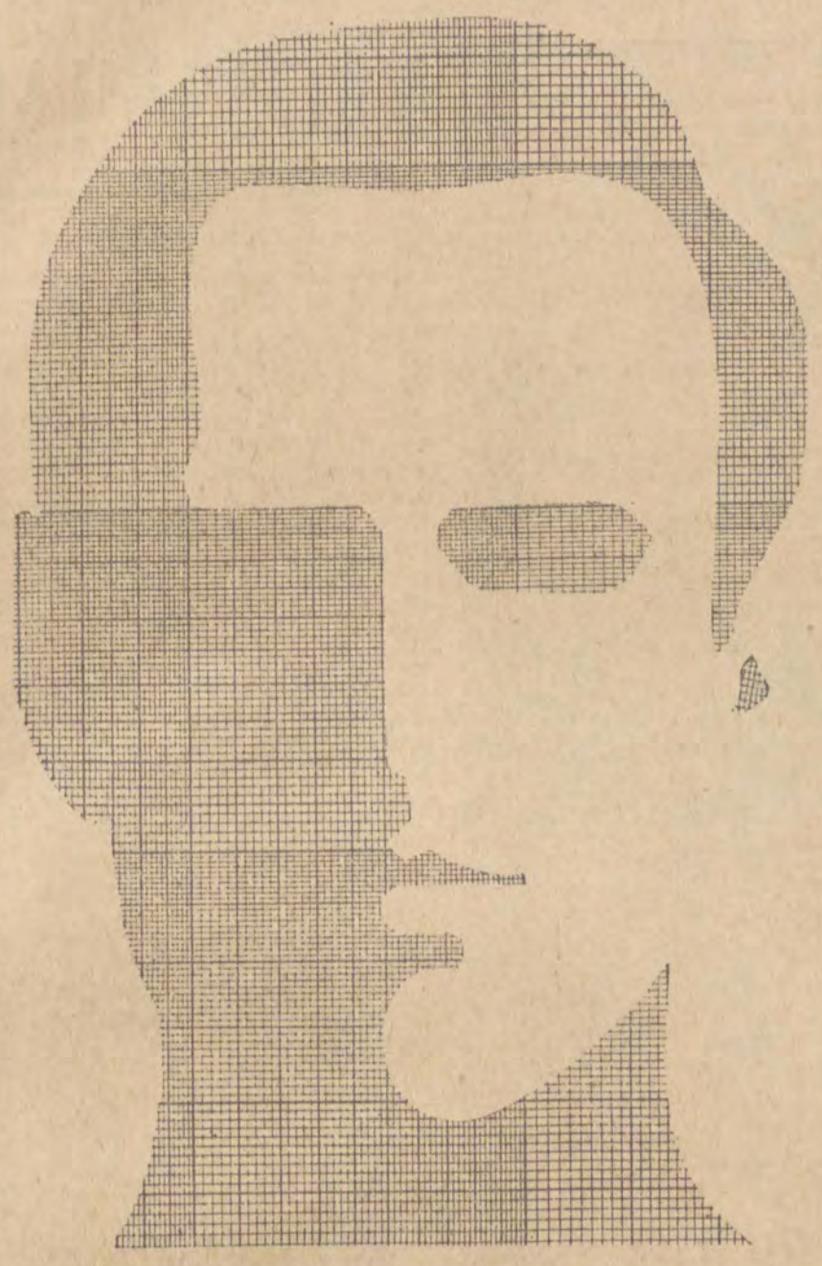

**Za dwadzieścia parę lat — jak dobrze pójdzie — będziemy mieli XXI wiek. Przed niespełna tysiącem lat, kiedy zbliżał się rok 1000, ludzie drżeli ze strachu i pielgrzymowali do Jerozolimy, aby w dniu Sądu Ostatecznego znaleźć się na właściwym miejscu. Dziś nie boimy się już roku 2000. Chętnie spoglądamy w przyszłość, bo spodziewamy się, że XXI wiek pomoże ludziom rozwiązać wiele ich kłopotów.**

Konflikt ze współczesnością zawsze powodował ucieczkę w przeszłość lub przyszłość. W dalekiej przeszłości lokowano Wiek Złoty, bo czas zacierał sprzeczności, kontury, bo wszystko, co minione wydaje się być idealnym. W dawnych wiekach nie było możliwości prognozowania na tak wielką skalę, jak czyni się to dziś. Przyszłość zawsze jawiła się tajemniczo i mgliście i nie rozjaśniały jej nawet wieszcze przewidywania. Wróżbitów najczęściej podejrzewano o szarlataństwo. Dziś przewidywanie przyszłości stało się nauką i otrzymało miano futurologii.

Przeszłość znamy dobrze, choć czasem nasze wyobrażenia o niej nie zawsze odpowiadają prawdzie, bo nie zawsze jeszcze mity i legendy skonfrontowano z dokumentami, bo jeszcze nie wszystkie archiwa stoją otworem, bo zdarza się i tak, że historia jest polityką uprawianą w przeszłość, a racje polityczne nakazują utrzymywanie pewnych prawd w cieniu lub wręcz ich przeinaczaniu. Mimo więc, że i przeszłość bywa mitologizowana, to przecież trudno okrzyczeć ją Złotym Wiekiem. Zbyt dobrze wiemy, ile w ostatnich stuleciach było nieszczęść i tragedii na świecie. Złotego Wieku można więc szukać tylko w przyszłości. Cała nasza nadzieja w futurologii. Ona odsłania nam uroki tego, co ma nastąpić. A jeśli nawet myli się, to i te pomyłki można naukowo usprawiedliwić.

## OPINIA LEMA

Wbrew wszelkim pozorom futurologia nie jest ucieczką przed współczesnością, jej konfliktami i sprzecznościami, jest tylko współczesności idealizowaniem. Wychodząc z analizy czasu teraźniejszego, rozpatrując jego konflikty, kierunki i tendencje, futurologia staje się marzeniem o przyszłości, która byłaby pozbawiona naszych konfliktów. Ale przecież z praktyki wiemy, że każda epoka rodzi swoje sprzeczności, że żaden czas nie może być ich pozbawiony i że każda epoka musi własnymi siłami, we własnych wymiarach uporać się z nimi. Z praktyki wiemy, że przyszłość przynosi nowe konflikty, o których nie śniło się futurologom.

Ukazała się właśnie książka rumuńskiego publicysty i uczonego **„KRONIKA ROKU 2000"**. Jej autor **MIRCEA MALITA** urodził się w Oredea w 1927 roku. Był absolwentem, a później profesorem Wydziału Matematycznego Uniwersytetu w Bukareszcie. Jest członkiem Akademii Nauk Społecznych i Politycznych i Związku Pisarzy Rumuńskich. Był przedstawicielem Rumunii w latach 1956 — 1969 w organizacjach ONZ, w latach 1962 — 1970 wiceministrem spraw zagranicznych, a następnie do 1972 roku — ministrem oświaty i nauki. Obecnie jest doradcą przewodniczącego Rady Państwa Socjalistycznej Republiki Rumunii. **Jego książka „Kronika roku 2000" ukazała się w Rumunii w 1969 roku. „Książka i Wiedza" wydała ją pod koniec ubiegłego roku jako 8 642 swoją publikację.**

**MIRCEA MALITA** futurologię traktuje poważnie. **„W naszym stuleciu** — pisze — **rozważania nad przyszłością nie są pustymi spekulacjami".** O przyszłości jednak rozważać można różnie.

**Stanisław Lem** pod koniec ubiegłego roku w wywiadzie dla **„Kultury"** tak mówił o futurologii:

**„Futurologii nie trzeba jednak grzebać sama się grzebie. Wykładam problematykę science fiction na Uniwersytecie Jagiellońskim i chcąc się przygotować do ostatniego wykładu, szukałem po indeksach wszystkich książek futurologicznych — a mam ich cztery półki — hasła „energia", żeby sprawdzić, co tam orzeczono o zjawisku, które już i w naszej prasie zwą „światowym kryzysem energetycznym". Otóż jego bliskości nikt nie nazwał po imieniu, w zbiorowych prognozach na lata 1970 — 1985 często nie ma w ogóle hasła „energia"! Więc, gdy teraz doszło do przesilenia, nie tylko energetycznego, bo niedostatek ropy to nie tylko brak paliw, ale cios w przemysł włókien sztucznych, w produkcję kauczuku izoprenowego, w całą syntezę plastyków, insektycydów i nawozów sztucznych czyli w rolnictwo, głucho było o futurologach. Cóż robić: nie zauważyli, nie przewidzieli!"**

A sam Stanisław Lem?

**„... odwołam się do tego, co pisałem w roku 1963 w „Summa Technologiae", o konieczności przygotowania zawczasu przejścia z energetyki wyczerpującej się na energetykę następnego okresu... Pisałem już wtedy, że swobodę manewru zdobywa się dzięki dysponowaniu energią, że więc gromadzenie wiedzy nadmiarowej, rezerwowej, jest ważniejsze nad wszystko inne, więc także ważniejsze od stawiania oszałamiających prognoz. Znaczy to, że optowałem za rozbudową badań na szerokich frontach, czyli za potęgowaniem nauki, która opiera się na modelach świata, a nie na badaniu trendów."**

## FUTUROLOGIA I PLANOWANIE

A przecież mimo wszystko, mimo zastrzeżeń i pomyłek rozważania nad przyszłością są nam niezbędne. Najbliższa nam przeszłość, rodowód naszej współczesności jest bowiem potwierdzeniem przewidywań. U podstaw naszych czasów legły naukowe przewidywania. W oparciu o cały dorobek ludzkiej myśli naukowej zbudowano prognozę przeobrażeń społecznych. Socjalizm stał się ustrojem skierowanym w przyszłość. Z myślą o przyszłości dokonywano rewolucyjnych przeobrażeń. Z myślą o przyszłości przebudowuje się dziś gospodarkę i stosunki społeczne wielu krajów. Pomyłki dokonane w trakcie tej pracy w niczym nie pomniejszają jej wyników i zamierzeń. Praktyka krajów socjalistycznych pokazała, że przyszłość można kształtować w oparciu o naukowe założenia, że człowiek może kierować swym losem, przebudowując warunki, w jakich żyje na te, w jakich chce żyć. Planowanie weszło do praktyki krajów nie tylko socjalistycznych. A planowanie wymaga dalekosiężnego prognozowania.

Mieliśmy okres planowania pięcioletniego i mieliśmy okres korygowania tych planów. W połowie pięciolecia trzeba było rezygnować z ambitnych zamierzeń, ograniczać i pomniejszać cele. **Obecnie mamy okres, kiedy też korygujemy zamierzenia, ale in plus, zwiększając zadania, stawiając sobie wyższe cele, mając tę świadomość, że dysponujemy możliwościami, aby te wyższe cele osiągnąć. I chcielibyśmy ten okres przedłużyć w nieskończoność, bo ambitne cele zmuszają nas do lepszej, wydajniejszej i skuteczniejszej pracy.**

Nasze okresowe planowanie poprzedza prognozowanie. Dziś określamy sobie już zadania na rok **1985**. Jutro sięgniemy roku **2000**. Kolejne pięciolatki są konkretyzacją tych zadań. Perspektywiczne planowanie ułatwia planowanie konkretne — na okres najbliższych 5 lat. Futurologia wyprzedza planowanie perspektywiczne, sięga dalej w przyszłość, kreśli wizję nowego stulecia. Futurologia wyrosła z szybko dokonującego się postępu technicznego, z czasów, w których dziesięciolecie przynosi niespodziewane zmiany, kiedy przemiany dokonują się w zawrotnym tempie. I chociaż futurologia się myli, choć nie zawsze zdolna jest wszystko przewidzieć, to przecież trudno zaprzeczyć, że **„w naszym stuleciu rozważania nad przyszłością nie są pustymi spekulacjami"**. Jest o tyle potrzebna, o ile potrafi rozbudzać fantazję, zmuszać do rewidowania schematów, o ile uczy patrzenia w przyszłość, uczy w miarę możności konkretnego, opartego na nauce budowania wizji tej przyszłości.

## NASZ PUNKT STARTU

Kiedy czyta się **„Kronikę roku 2000" Mircea Malita**, rodzi się sprzeciw. Do początku XXI wieku zostało 26 lat. Czas niewielki, zaledwie ćwierćwiecze. Zarysowana wizja przyszłości wydaje się nieprawdopodobna w porównaniu z teraźniejszością. Rodzi się pytanie: **czy przez 26 lat mogą zajść aż tak radykalne zmiany?** A przecież **Mircea Malita** pisał swoją książkę kilka lat temu.

**„Zaledwie w ciągu dziesięciu lat** — stwierdza on — **jeden z najbardziej skomplikowanych wynalazków, jakim jest elektroniczna maszyna cyfrowa, wszedł do normalnego użytku przy naukowym zarządzaniu przedsiębiorstwami."**

Równie w krótkim okresie obywatelstwo zdobyła telewizja zmieniając radykalnie system przekazywania informacji. Zdaniem **Mircea Malita** nasz wiek otrzyma w przyszłości miano wieku elektroniki, a nie jak przypuszczano wieku atomowego. Elektronika bowiem zdecyduje o postępie przemian, ona też wpłynie radykalnie na zmianę naszego sposobu myślenia. A to jest niezbędne.

**„Łatwiej jest zbudować fabrykę w otwartym polu lub wyrwać z korzeniami starą drzewo** — pisze Mircea Malita — **niż zmienić poglądy człowieka i dostosować w przyśpieszonym tempie jego mentalność do nowej sytuacji."**

Dalszy ciąg ze str. 6

## GDZIE NAS NIE BYŁO

**Wiadomo, chociaż nie pisze się o tym zbyt często, bowiem nowocześni historycy w odróżnieniu od dawnych na ogół stronią od anegdoty, która wydaje im się nienaukowa, że rozmaici Polacy w różnych czasach i w najprzeróżniejszych krajach robili nieraz bardzo dziwne rzeczy. Wiedziałem od dawna, że pionierem hiszpańskiego drukarstwa pod koniec XV wieku był przybysz z Polski, noszący imię Stanisław, nie wiedziałem jednak, i nie jestem pewien, czy wiedzą o tym autorzy opasłego dykcjonarza „pracowników książki polskiej" (takim to biurokratycznym terminem posłużono się w tytule pięknego dzieła, przynoszącego sumę wiedzy o polskich ludziach książki na przestrzeni wieków), że inny Polak, wprawdzie znacznie później, zorganizował pierwszą drukarnię w Chartumie. Znam informacje o bardzo różnych dziwnych Polakach, którzy służyli w najrozmaitszych armiach świata: byli dowódcami armii cypryjskiej w XIV stuleciu, służyli w wojskach wszystkich bodaj królestw, księstw i rzeczpospolitych.**

**Gdy humanistycznemu dziejopisowi Flavio Biondo przyszło opisywać jedną z wojen, jakich tak wiele dostarczała historia północnych Włoch w XV stuleciu, nie znalazł innej nazwy na określenie armii trydenckiej, jak „Polacy Mazowszanie" (co oczywiście przekręcił niemiłosiernie). Rzeczywiście też waleczni Trydentyńczycy pochodzili z równin Mazowsza i walczyli pod wodzą takiego samego Trydentyńczyka jak oni sami, o dźwięcznym nazwisku: Piotr z Kłopocina. Ale nie znałem historii emira Abd el-Kadera, dzielnego wojaka walczącego w armii sudańskiej w czasach powstania mahdystów, tego samego ruchu, o którym tak wiele, i tak nieściśle pisał autor „W pustyni i w puszczy". Ów emir zwał się naprawdę nieco mniej barwnie: miał na imię Rudolf, nazwisko zaś brzmiało Slatin, był z pochodzenia Polakiem, służył niegdyś w armii samego cesarza Franciszka Józefa, był potem w służbie brytyjskiego gubernatora, znanego nam — źle zresztą — z kart powieści Henryka Sienkiewicza, Charlesa Gordona, zanim przeszedł na stronę powstańców. Historia podobna po trosze do dziejów Sadyka-Paszy, ale o ileż mniej znana?**

**Wspomniałem o mazowieckich Trydentyńczykach w XV wieku: byli nimi jednak nie tylko rycerze, ale również duchowni: kanonicy i zakonnicy, księża i zakonnicy... wszyscy rodem z Mazowsza, tak samo jak władca księstwa Trydentu, Aleksander książę mazowiecki, biskup trydencki, potem nawet kardynał z łaski papieża Feliksa V, do niedawna jeszcze księcia sabaudzkiego, a właściwie antypapieża, skoro oficjalna historia kościelna uznała prawowitym papieżem jego konkurenta Eugeniusza IV. Kardynał z racji swej porywczości oraz skłonności do dobrego jadła i wypitki stał się przedmiotem licznych anegdot, zapisanych w ówczesnej literaturze: są one znacznie bardziej sławne niż zapomniany fakt, że prowadzona na siłę „polonizacja" Trydentu sprawiła, że wybuchło tam... prawdziwe powstanie przeciwko polskim kolonizatorom, którzy opanowali wszystkie intratne posady kościelne i państwowe. Wybuchło ono dokładnie 15 lutego 1435 roku! A więc i my, którzy tak szczycimy się tym, żeśmy nigdy nie ujarzmiali innych narodów, mamy w naszej przeszłości zapomniane tradycje minikolonizatorskie, co prawda raczej zabawne, niż serio, ale w każdym razie prawdziwe.**

**Wojciech Sulewski pobił mnie jednak na głowę, skoro odnalazł jeszcze inne „państwo" polskie, w zgoła innej stronie świata, i to w XVII wieku, mianowicie państewko położone na pograniczu Mandżurii, na ziemi Tunguzów i Daurów o staropolskiej nazwie herbowej „Jaxa", o którym wieści dotarły współcześnie nawet do Holandii. Z władcą państewka Jaxa nad Amurem, imć panem Niceforem Jaxa-Czernichowskim korespondowali po polsku w drugiej połowie stulecia sami cesarze chińscy; w roku 1669 pan Nicefor poddał się pod władzę cara Aleksego Michajłowicza dla zabezpieczenia swego państwa od napaści kozackich. „Pamięć o Niceforze Jaxie-Czernichowskim, którego Chińczycy nazywali „chanem mądrym" albo „osadczym ziem Mandżu", zachowała się przez długie lata w Chinach, Mandżurii i na Syberii. Świadczą o tym pochodzące z XIX w. mapy chińskie, na których oznaczono miejsce, gdzie przed dwustu laty zbudowany był gród Jaxa. Potomkowie Nicefora po kądzieli żyli jeszcze w osiemdziesiątych latach XIX wieku w Syberii wschodniej koło Nerczyńska: spotkał ich przebywający tam na zesłaniu Marian Dubiecki, członek Rządu Narodowego z 1863 r. i sekretarz Romualda Traugutta".**

**Był to cytat z książki Wojciecha Sulewskiego „Konterfekty dziwnych Polaków" (Iskry, 1973), dziełka, które przynosi pełny tuzin barwnych relacji o osobliwych dziejach naszych rodaków od wieku XVII po nam współczesny. Otwiera je szkic o panu Niceforze, zaś kończy opowieść o Stefanie Jodłowskim, Polaku, uczestniku Wielkiej Rewolucji Październikowej, który walczył w Maroku przeciw panowaniu hiszpańskiemu jako wojskowy doradca Abd el-Krima, przywódcy powstania marokańskiego, stłumionego przez wojska Hiszpanii i Francji. Po jednej stronie znajdował się wówczas S. Jodłowski, ale i po drugiej nie brakło też Polaka. W kampanii marokańskiej wziął bowiem udział, rzecz jasna przeciw powstańcom, ówczesny pułkownik, późniejszy generał i sanacyjny premier Felicjan Sławoj-Składkowski, który był wówczas słuchaczem francuskiej Akademii Sztabu Generalnego i odbywał praktykę w sztabie marszałka Pétaina... Zestawienie tych dwóch postaci po dwóch stronach barykady jest tu bardzo wymowne.**

LEKTOR

WITOLD SŁOTWIŃSKI

# STEROWAĆ WYBOREM

**Jest nie do pomyślenia, aby wypracowany przez dość liczne grono specjalistów i Komitet Ekspertów wzorzec dogłębnego traktowania problemów nauki i oświaty — uległ rozwodnieniu na poszczególnych szczeblach wprowadzania go w życie. Ów wzorzec, lub jak kto woli, model, winien być potraktowany nie jako doraźny, czy też koniunkturalny manewr, po którym miałby nastąpić błogi spokój dla kadry reprezentującej naszą przesławną niemożność. Sądzić raczej należy, iż tak wyrażona w tej kwestii polityka naczelnych władz partyjnych i państwowych — boć przecież stamtąd wyszły decyzje — winna być rozumiana właśnie jako wzorzec, z cechami uniwersalności, na etapie rozwiązań szczegółowych, w całym łańcuchu szczebli specjalności naukowych itp. w danym wypadku chodziłoby m.in. o sensowną manipulację w zakresie wyboru przez społeczność studencką języka obcego, który stanie się im niezbędny w najbliższej przyszłości.**

**Nie jest tajemnicą, że uprawiane specjalności naukowe w Polsce mają swoje odpowiedniki na świecie, ale pozostają one w różnym stopniu zaawansowania i preferencji rozwojowych. Istnieje zatem coś w rodzaju podziału stref specjalności. Wiadomo dla przykładu, że aczkolwiek nauki biologiczne osiągnęły znaczny poziom zaawansowania w strefie krajów RWPG, to jednak najbardziej dynamiczny ich rozwój — i to niewyłącznie w latach ostatnich — zaznaczył się w krajach anglosaskich. Jednym z bardziej, jak się wydaje, przekonywających na to dowodów jest ilość co roku przyznawanych nagród Nobla dla naukowców amerykańskich i angielskich. Także ilość i jakość literatury naukowej, wydawanej w języku angielskim, nie da się porównać z żadnym innym językiem. Wyróżnia się ona ponadto zawrotną ceną, a przeto i skąpymi zasobami w kraju. Związek Radziecki, którego stać — co zrozumiałe — na nieporównywalnie większe zakupy w tym względzie, radzi sobie w dodatku masowymi przekładami, z których nie wszystkie docierają na nasz rynek. Zresztą, identyczne tempo, iście amerykańskie, ma miejsce i po tamtej stronie oceanu, jeżeli idzie o przekłady literatury naukowej z języka rosyjskiego. Aczkolwiek ostatnie trzy lata przyniosły znaczną poprawę w zakupach tytułów ze strefy dolarowej, to jed-**

## Język obcy w szkole wyższej

Dalszy ciąg na str. 4

## LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

Obaj: dr inż. **MIECZYSŁAW BADZIAK** i mgr inż. **ZDZISŁAW WLAZŁOWICZ** związani są z sulejowską inwestycją. Sprawami wody dla Łodzi zajmują się od dawna, prawie od pierwszych wierceń, od czasów studiów nad projektami przyszłych, a już realizowanych rozwiązań.

Dr inż. **MIECZYSŁAW BADZIAK** kieruje w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego pracownią projektową, która zajmuje się sprawami Wodociągu Łódź – Sulejów. Prowadzi też zajęcia dydaktyczne w Politechnice Łódzkiej. Jest autorem oryginalnego rozwiązania, przy pomocy którego uzdatnia się wodę sprowadzaną z Sulejowskiego Zalewu.

Mgr inż. **ZDZISŁAW WLAZŁOWICZ** jest dyrektorem Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej w Łodzi i pełnomocnikiem do spraw Wodociągu Łódź – Sulejów. Jest współtwórcą koncepcji budowy tego wodociągu, a następnie jednym z jej realizatorów.

Dalszy ciąg na str. 5

# RACJĘ MIAŁ HORACY

*Fot: W. Parys*

Dalszy ciąg ze str. 1

Wybrałem wino pod jednym wszakże warunkiem, który, jak sądzę, miał i Horacy na uwadze. Otóż nie wątpię przez moment, że zadowolić go mogło co najmniej wino z greckiej wyspy Sanos, albo z winnic południa państwa rzymskiego, nie zaś byle jaki cienkusz, poprzednik dzisiejszego „patyka".

Lubię szklaneczkę burgunda, rislinga czy wytrawnego cherry, więc kosym okiem patrzyłem i patrzę na to, co oferuje nasz przemysł winiarski, owe „jurandy", „orliki" czy po prostu „białe owocowe bardzo słodkie". Na sklepowych półkach pojawiają się coraz barwniejsze etykietki, zmieniają cię ceny, tylko konia z rzędem temu, kto odróżni smak wina białego od wina „patykiem pisanego". Być może są i tacy specjaliści, ja się do nich nie zaliczam.

**W Instytucie Fermentacji i Mikrobiologii Politechniki Łódzkiej** przyjęto mnie mile. Okazało się, że dane mi będzie usłyszeć wyjaśnienie nie tylko na temat wina, ale także i na temat jakości chleba, serów i masła. Nadmiar szczęścia przytłaczał nieco mą wyobraźnię, ale na szczęście profesor dr **Stanisław Masior**, zwolennik przysłowia: „In vino veritas im aqua sanitas" i twórca wielu technologii winnych — użył nieomal na wstępie argumentu, który w myśl powyższego przysłowia pozwolił mi poznać całą prawdę.

Oto miałem na podniebieniu wino, które bywalcom przedwojennych kurortów śródziemnomorskich mówi wiele. Z dobrych moszczów śliwkowych udało się tu w Instytucie uzyskać nieomal autentyczną Maderę. Do tej pory Madera była mi znana jedynie z opowiadań rodziców raz jako wyspa, na której ponoć wypoczywał sam naczelnik Piłsudski — była zdaje się nawet piosenka niezbyt przyzwoita, upamiętniająca ten fakt — a po drugie jako wino o niebiańskim smaku i takiejż mocy.

Z naukowego natomiast punktu widzenia wino maderyzowane jest to wino poddane zabiegowi termicznemu w pewnym sensie zmieniającemu smak, a także dojrzewające w obecności dębiny i przy odpowiednim natlenianiu. Kiedy już skosztowałem tej śliwkowej madery i wyraziłem swoje uznanie, profesor Misior powstrzymał moje zapędy:

— To, co pan próbował, jest jeszcze cienkuszem, liczy sobie zaledwie rok. No, ale chyba będzie warto się tym zająć szerzej. Nie jest to zresztą jedyne aktualne wino, którym się tutaj pasjonujemy między tymi menzurkami i kolbami. Co by pan na przykład powiedział na vermut z jabłek, a może w dalszym ciągu woli pan śliwki.

Cóż miałem mówić, po prostu spróbowałem i okazało się, że odpowiednia kompozycja z naszych piołunów, lubczyków, podbiałów i innego zielska wcale nie musi być gorsza od włoskich z tyloma medalami na każdej butelce. Ale jeśli już mam być szczery, to wolę vermut jabłkowy.

I nieopatrznie wyrwało mi się pytanie:

— Kiedy zobaczymy, a raczej zakosztujemy w większych ilościach?

Nie żebym był za rozwojem pijaństwa, nie, o to mnie nie mogą posądzić nawet moi mocodawcy, ale przecież to aż żal takich dobroci.

— Muszę pana pocieszyć — odpowiedział profesor — już udało nam się opatentować te technologie i proszę mi wierzyć, że nie zatrzymamy tego dla siebie. Z trunków przygotowywanych jako hobby i tak znajdzie się zawsze coś atrakcyjnego. Wspólnie z Łódzką Wytwórnią Win udało nam się opracować metodę wykorzystania fermentacji moszczów przy pomocy drożdży pracujących w niskich temperaturach i to fermentacji moszczów świeżych niesiarkowanych, tak jak to miało miejsce do tej pory i jak ma miejsce w wielu przypadkach nadal. Myślę, że nie trzeba nikomu zbyt szeroko wyjaśniać, że pozbawienie moszczu siarki wpłynęło na poprawę walorów nie tylko smakowych, ale i zdrowotnych wina. A zatem nieco różowiej zaczyna być na naszym winnym niebie.

— Czy pan by czegoś nie przekąsił? — spytała w tym momencie rozmowy dr **Magdalena Włodarczyk**.

Po tym winnym przyjęciu zaczęły mi się natychmiast marzyć de volaie, rostboefy czy przynajmniej kurczę z rusztu, ale wnet uprzytomniłem sobie, gdzie jestem i byłem już spokojnie gotów na głony z wody czy kotlet z nafty. Przygotowany na dziwności sam się nieco zdziwiłem, gdy potraktowano mnie chlebem. Tak, zwyczajnym chlebem, no, może nie tak bardzo zwyczajnym, bo znacznie lepszym od tego ze sklepu na przeciwko. Smakiem ten wonny chlebuś przypominał mi wyroby jednego z prywatnych piekarzy i nie myliłem się, bowiem naukowcy z Instytutu przeszczepili do produkcji na skalę przemysłową dwa rodzaje kultur zaczerpniętych właśnie od „prywatnych." Zresztą i chleb, i wino mają wiele wspólnego; i tu i tam wszystko zależy od właściwej fermentacji. Natomiast piekarze chyba czasami zbyt przesadnie wykorzystują zbieżność tych dwóch potraw, wychodząc z założenia, że co się nawinie, to do kadzi, gdy tymczasem proces wypieku na przykład 40 ton pieczywa w ciągu doby musi być procesem kierowanym.

Wracając jednak do owych przeszczepów, to udało się je już w lipcu 1973 roku zaszczepić w piekarni na Tokarzewskiego i jeśli wierzyć pani dr Włodarczyk, to już podczas pieczenia chleba z na nowo sfermentowanego ciasta — rozchodził się wonny chlebowy iście zapach. No, a co z tego wyszło, miałem możność doświadczyć na własnym podniebieniu.

Cały proces oparty o fermentację mlekową wcale nie jest skomplikowany i bardzo tani. Wszystko więc wskazuje na to, że już początek 74 roku przyniesie, jeśli nie rewolucję, to przynajmniej mały zwrot w piekarnictwie. A gdyby tak jeszcze zastosować i inne ulepszenia, na przykład zamiast wody dodawać do ciasta serwatki, której duże ilości pochłaniają obecnie kanały ściekowe — to, kto wie, może byłby to chleb jak od babci ze wsi, taki wyrośnięty pod pierzyną. Do takiego chlebka dodać jeszcze trochę masełka z domowej masielnicy, serka wyciśniętego w szmatce i... niebo w gębie!

Nie wiem czy przemysł kiedykolwiek spełni moje marzenie, natomiast doc. dr **Helena Oberman** zapewniała, że przy współpracy z Mleczarnią w Łowiczu udało się dobrać taki bukiet mikroorganizmów, które powodują fermentację dużo lepszą, aktywniejszą, co w najbliższym czasie powinniśmy odczuć wyraźnie. We wszystkich bowiem potrawach tworzących się w wyniku fermentacji decydują o smaku mikroorganizmy, o czym przemysł spożywczy nie był przekonany, ale już się na szczęście przekonuje.

Powracając zatem do łaciny można by rzec: haes res tibi cordi sit — miejcie tę sprawę na sercu, panowie przemysłowcy, podobnie jak mają naukowcy. Smacznego!

KRZYSZTOF TUROWSKI

# STEROWAĆ WYBOREM

Dalszy ciąg ze str. 3

**nak stan jest stanowczo daleki jest od optymalnego.**

**Polski student, choć także i młodszy pracownik naukowy, z trudem pokonuje dwie bariery: dostęp do skąpej, a przez to rozchwytywanej literatury naukowej i barierę językową. Tę ostatnią można by złagodzić kosztami na poziomie równym zeru, gdyby... Właśnie gdyby o tym pomyślano już w czasie pierwszych spotkań opiekunów z najmłodszym narybkiem uczelni. Tymczasem dopiero pierwsze miesiące czwartego roku, powiedzmy biologii, przynoszą równie zaskakujące, co bolesne niespodzianki! Oto student dowiaduje się, że ma do przeczytania takie a takie pozycje w języku angielskim (sic!). Pozostaje bez znaczenia fakt, jakiego języka obcego uczyli się studenci tego kierunku studiów — w szkole i na lektoratach.**

**Studenci zaś, jak to studenci. Na pierwszym roku kierowali się dewizą: nie jaki język wybrać, lecz jak przetrwać lektorat. Wybierali przeto te języki, o których mieli jakieś pojęcie, lub też — ich zdaniem — były „łatwiejsze", powiedzmy — niemiecki. Teraz z rzadką miną wysłuchują, że to nikogo nie obchodzi, co na pierwszym roku wybrali... Tymczasem koszty takiego podejścia nauczycieli akademickich do żywotnych spraw — nawiasem nie tylko studentów — płacą, jak na razie, ci ostatni. Rzecz wszelako, gdy się głębiej wejrzy, ma, niestety, znacznie szersze wymiary.**

**Oto kandydat na studenta przebrnął przez wszystkie uczelniane rafy, dostał wymarzony indeks, utrzymał uchwycone rubieże pierwszych lat studiów, pozaliczał języki obce... Jak dotąd niby wszystko w porządku. Uzyskany wszakże spokój jest złudą, ciszą przed burzą. Spadnie ona rykoszetem i należy się kolcami jakże twardej rzeczywistości uczelnianej! Co począć z literaturą naukową, która, w przybliżeniu, w 80 proc. pochodzi ze strefy języka angielskiego?**

**W ten oto sposób, zarysowany obraz rzeczywistości bądź co bądź nie wydumanej, obiektywnie ujawnia znamiona negatywnej polityki i wymaga w trybie pilnym rozwiązania przez kierownictwa poszczególnych wydziałów uczelni wyższej. A więc — przez kierownictwa wydziałów i kierunków, a nie Studium Języków Obcych, które nie może mieć pełnego rozeznania w naukowych potrzebach rozlicznych wydziałów. Nie ma też możliwości wpływania na wybór odpowiedniego języka obcego.**

**Do jakiego stopnia ów problem dojrzał, świadczyć mogą wędrówki studentów starszych lat w poszukiwaniu odpowiedniej grupy, w której nadobowiązkowo pragnęliby uzupełnić niezbędny dlań język obcy. Niestety, żywiołowe poszukiwania nie zawsze przynoszą oczekiwane skutki, choćby z tej przyczyny, że spotykają się z odmową przyjęcia do — i tak już przepełnionych grup. W konsekwencji, k o g o s t a ć, wybiera płatne kursy poza uczelnią.**

**Nie dowierzam studenckim „utyskiwaniom" i pytam: dlaczego was nie przyjęto do grupy międzywydziałowej?**

**— Powiedziano nam — odpowiadają — że „nie jesteście tu potrzebni. Ma dość tych, którzy muszą chodzić".**

**— Może nie umieliście uzasadnić prośby?**

**— Pani magister wyrzuciła nas z sali...**

**Powtarzam więc prośbę studencką lektorce:**

**— Szkoda — powiadam — że tak się stało, że tak pani ich przyjęła.**

**— Grupa liczy już 22 osoby. Nie mam miejsca. Wyrzuciłam ich. Niestety.**

**Nie mogę sobie odmówić przypomnienia, że u progu rewolucji naukowo-technicznej jesteśmy pod względem kultury obcojęzycznej w stosunku do połowy ubiegłego wieku — w pozycji półanalfabetów. Dla niezorientowanych i niedowiarków służę ścisłymi informacjami. Zaś współcześnie przytaczam oderwany przykład: poznany w Polsce, będący na praktyce w zakładach „Elta" — szwedzki student III roku politechniki, rozmawiał biegle: po angielsku, po francusku, po niemiecku, po rosyjsku i całkiem nieźle po polsku.**

WITOLD SŁOTWIŃSKI

# PUSTELNICZKA I ZUBER

## ANDRZEJ GRUN

Nigdy nie byłem na wczasach FWP i był to powód główny, żeby na takie wczasy pojechać; doświadczenie wszak jest podstawowym źródłem wiedzy, a nie co innego. Poza tym zima, góry, białe szaleństwo...

— Praca dziennikarska jest trudna i niewdzięczna, więc chociaż tym razem pozwolę sobie na luksus połączenia przyjemności z obowiązkiem — myślałem sobie, jadąc do najpiękniejszej miejscowości Sądecczyzny, jaką jest Krynica będąca nie tylko zdrojowiskiem o charakterze międzynarodowym, ale również ważnym ośrodkiem turystyki i sportów zimowych.

Jechałem autobusem pośpiesznym Łódź-Krynica, odchodzącym o 7,00, a docierającym na miejsce jak Bóg da. Przez zęby nuciłem sobie na własną melodię wierszyk Jurandota:

**Na szczytach Tatr szaleje wiatr**
**I śniegiem w żleby miota**
**A poprzez żleb na zbity łeb**
**Szusuje w dół idiota.**
**Gość pierwszy raz na deski wlazł**
**I czuje w piersiach tchu brak**
**Lecz już psiakrew zbudził się lew**
**I zagrał w nim Marusarz...**

Grał więc we mnie Marusarz i grał silnik luksusowego autobusu, jakim do niedawna szczyciły się nieliczne tylko placówki Orbisu.

Kiedy cichło we mnie granie Marusarza, przepytywałem się z geografii: Krynica położona jest w części Beskidu Sądeckiego, zwanego Beskidem Krynickim, na wysokości 560—620 metrów n.p.m. Zima jest tu słoneczna, długa, z obfitymi opadami śniegu. Poza tym sama Krynica powstała w XVI wieku i nazywała się wtedy Krzenycze...

2.

Facet na siedzeniu obok trąca mnie łokciem.

— Pan na wczasy?

— Na wczasy — odpowiadam.

— To opowiem panu koledze kawał: Spotykają się dwaj górnicy:

— Wisz, Karlik, wysłałem swoja stara na wczasy do Krynicy — mówi jeden.

— Pieruna, to ty już nie możesz, chopie — dziwi się drugi.

3

Autobus wchodzi w krajobraz jak palec w słoninę. Niedołężnie. Zasp rozmemlane kołami, hamują jego swobodny pęd. Przede mną siedzi para przechodzonych trzydziestolatków. Widać po sposobie bycia, że małżeństwo. I że oboje po wyższych studiach. I widać także, że mają pretensje do świata, że podróżują autobusem, a nie własnym wozem...

Tam, gdzie staje autobus, wsiadają albo starają się wsiąść ludzie. Niestety. Dalekobieżny-pośpieszny teoretycznie ma tylko miejsca siedzące. Ale i kierowca człowiek i ludzie chcą przecież dojechać. A i pasażerowie nie jadą aż do Monte Carlo, a tylko do Krynicy... Zawsze ktoś tam wsiądzie, ktoś stoi między siedzeniami. Co mi tam. Podglądam jednym okiem (tym od okna) taśmę pejzażu, drugim drzemię sobie.

Z ciepłego błogostanu wytrąca mnie ryk lwa:

Do tyłu się przesunąć, do tyłu, nie stać mi tu nad głową, człowiek płaci czterysta złotych i chce jechać jak człowiek. Do tyłu! Won!

To przechodzony trzydziestolatek dał głos. Nie podoba mu się, że ktoś stanął obok jego fotela.

— Proszę pana, tylko do Tarnowa! — cichy głos szczęśliwca, któremu udało się dostać do autobusu tonie w spazmatycznym kwiku przechodzonego trzydziestolatka, któremu teraz na wysokich tonach wtóruje wymokła małżonka (też mocno przechodzona).

— Ten pan jest kaleka — odzywa się czyjś głos.

— Gówno mnie obchodzi, że kaleka! Ja też mógłbym być kaleką, a nie jestem...

Jakaś kobieta bierze dziecko na kolana. — Niech pan siada — zwraca się do stojącego niezdecydowanie mężczyzny.

Kierowca włącza radio. W radiu trzeszczy wyjący Niemen (co oni z tym Niemenem po tylu latach?), przechodzone trzydziestolatki debatują między sobą. Jedziemy.

4.

Facet obok trąca mnie łokciem

—Panie kolego — szepcze — czy on czasem się, no tego, nie zesrał z tej złości, bo tak coś powietrze takie nie bardzo?

— Niewykluczone — mruczę pod nosem. — Niewykluczone.

5.

Krynica wygląda jak rozdeptana w roztaplanym blocku żaba. Śnieg podobno w tak zwanych górnych partiach. Górnych partii z deptaku nie widzę. Natomiast widzę na deptaku szary tłumek. A ja tu w czerwonej wełnianej czapce z amarantowym szlaczkiem, w zielonym swetrze, w żółtym szaliku z błękitnymi frędzlami, w jasnobłękitnych spodniach typu NEGRITA i w ugrowych, wysokich butach ściągniętych purpurowymi sznurowadłami: Rękawiczki mam w kolorze marengo. Z dwoma palcami. Patrzą na mnie jak na idiotę. Chowam brodę w gogle (żółte), a gogle do kieszeni. Ale i tak patrzą na mnie dziwnie. Trudno. Jestem jaki jestem.

— Nieś siebie jak sztandar, może po śmierci owiną cię w sztandar — mówię sobie i niosę siebie po krynickim deptaku.

6.

Przed pijalnią Mieczysław staruszka poślizgnęła się ze staruszkiem. Podnoszę jak dwie perełki.

— Wszystko z tego przepicia — mówi cicho staruszka do staruszka.

— Mówiłam ci, Tadzieńku, nie pijmy tyle tego Mieczysława. Trzeba było pójść na kwaterkę Jana. Łagodniejszy, oj, łagodniejszy.

*Fot. Archiwum*

7

W domu wczasowym żarcie podłe, dwa prysznice w piwnicy, dzieci tyle, ile much w upalne lato, tranzystorów tyle, ilu wczasowiczów, albo nawet jeszcze więcej, a ja mam trzyosobowy pokój. Za to z widokiem na obskurne podwórko i szarobrudny dach przybudówki, która jest stołówką, ale stołówka jest w środku, a na zewnątrz jest równie obskurna jak podwórko, na którym stoi. Za to starościna i starosta tłuści i elokwentni.

8

W czasie posiłków posadzono mnie obok stołu starosty. Oczywiście podsłuchuję. Starosta do kelnerki:

— Marysiu, przynieś no mi jeszcze jedną porcyjkę tego gulaszu, bom dziwnie zgłodniał.

— Dla pana starosty kochanego naszego jakże by nie.

I leci gulasz.

Ja to znam. Przestaję podsłuchiwać.

9.

Starosta skarży mi się:

— Wie pan, takie mam szczęście. Dwanaście razy już jestem na wczasach, a jedenaście razy wybierali mnie starostą. Takie człowiek jakieś zaufanie u ludzi budzi. W najdalszym kącie siadam, a i to mnie wypatrzą. Popatrz pan.

A za nim starościna:

— Ze mną to samo. Identiko.

— W porządku — powiadam. — Jeszcze nieraz państwo pojedziecie na wczasy.

10.

W Krynicy bywali i tworzyli: Kraszewski, Reymont, Zapolska, Bałucki, Sieroszewski, Makuszyński, Boy, Tuwim. Podobno inni także. Jest nawet ławka Kraszewskiego i pomnik Mickiewicza, a to już dobrze świadczy o tradycjach kulturalnych. Śpiewali tu Ada Sari, Jan Kiepura, Adam Didur. Plakaty i afisze krzyczą mi, że dziś śpiewają w tymże samym miejscu Grechuta, zespół Tropicale Thaiti Granda Banda, Bractwo Kurkowe, Jarema Stępowski... W jedynym kinie idzie jedyny w swoim rodzaju film produkcji polskiej „W pustyni i w puszczy". A vis á vis kina, w „Hawanie" idzie zabawa na całego. Dansing w restauracji, fajf w kawiarni, koktajl-bar od 19 do 23.

W restauracji podchodzi do mnie facet na kaczych łapach.

— Pan ze Szczecina — pyta.

— Tak.

— Od razu poznałem.

Odchodzi na łapach jeszcze bardziej kaczych.

11

Nowa pijalnia, szklane pudełko, a raczej pudło, w środku ludzie jak ryby w gigantycznym akwarium, kaktusy, kiosk z pamiątkami, w którym leży kilka czarnobiałych pocztówek i siedzi szara panienka, krany z napisami: Zuber 1, Zuber 2, Zuber 3, Jan, Kryniczanka... i na koniec Woda zwykła. Pijąc wody trzeba pić powoli i chodzić. Takie są przepisy.

Wszyscy piją powoli i chodzą. Ja też piję powoli, choć chciałbym wypić szybko i chodzę, choć wolałbym siedzieć. Przez szklane ściany widać kawałek Krynicy, który jest kawałkiem akurat najmniej ciekawym i nadal nie widać śniegu. Więc piję powoli i chodzę. Ale nie wolno tu palić, więc wychodzę i wchodzę kolejno do czterech kawiarń, gdzie palić wolno, ale gdzie nie ma miejsca. Wchodzę więc (nie wjeżdżam!) na Górę Parkową, na której nie ma nic ciekawego, bo nie ma śniegu, gdzie natomiast jest w restauracji koniak. Pytam się kelnera (dobry kelner wie wszystko, albo prawie wszystko) czy można zobaczyć tor saneczkowy.

— Nie. Zabudowali, bo wypadali z niego. A w ogóle zamknięty. Ale może pan zjeść polędwicę po angielsku i zostać na fajfie. Polecam jedno i drugie.

Zostałem. Polędwica znakomita. Polecam. Fajf do niczego. Samotnym nie polecam. Z powrotem zjeżdżam kolejką, która przypomina windę ustawioną ukośnie. Po co schodzić, skoro można zjechać, zwłaszcza, gdy się jest po polędwicy po angielsku.

— Panie Andrzeju! Panie Andrzeju!

Idę sobie deptakiem, a ktoś woła: Odwracam się i widzę: włosy rozwiane, kożuszek brązowy rozpięty powiewa, dżinsiki zalotnie podwinięte do kolan, kozaczki. Z. biegnie i dłonią białą, szczupłą kiwa na powitanie. Zajazgotało coś we mnie, zawyło z cicha.

— Ja tu przyjechałem po śnieg, na narty, na białe szaleństwo, a nie żeby Wiosnę oglądać — wycharczałem.

— Zaraz! Chwileczkę! Panie Andrzeju! Na kawę pana...—

Zabierze mnie pod rękę, a oczy jej są samym śmiechem i słońcem.

— Wiosna! A miał być mróz i śnieg...

Zaraz, chwileczkę — budzi się we mnie szakal. — Na kawę? Nie ze mną. Na pstrąga po polsku to i owszem. To zresztą tu bliziuteńko, niedaleczko. Ot, za tym laskiem jeno. Ta karczma „Cichy Kącik" się nazywa!

— A opowie mi pan jak to było z tymi cudownymi źródłami kryniekimi? Panie Jędrusiu, ja bajki tak lubię ogromnie...

— Opowiem.

13.

**KRÓTKA OPOWIEŚĆ O CUDOWNYCH ŹRÓDLACH**

Dawno temu szumiał tu bór prastary, a odwieczny, gęsty, a mroczny. Zwierza w nim było wszelakiego od metra. Takoż i ptactwa nie brakowało. W środku boru żyła sobie uboga i mała pastereczka. Była cnotliwa i piękna. Aliści pewnego razu wskroś boru przejeżdżał rycerz dzielny, też piękny i obowiązkowo szlachetny. Zoczył pastereczkę pośród matecznika jak coś tam pasła i się w niej od pierwszego wejrzenia zakochał. I ona go pokochała całym swoim nieskalanym jeszcze sercem. Lecz życie nie jest bajką. Okazało się niebawem, że ojczyzna jest w okrutnej potrzebie. Rycerz przywdział zbroję. Pasterce, którą miłował, obiecał wrócić żyw i cały, na konia wiernego wsiadł i pojechał gromić Tatarów, co się ośmielili...

Mijały lata. Wszyscy już z wojny powrócili, a rycerza ani widu, ani słychu. Tłumaczą wokół pięknej pastereczce, że po próżnicy go wypatruje, i żeby przecież jakoś sobie to życie w borze głębokim ułożyła. A ona nic tylko czeka i czeka.

Nadziei nie tracąc w międzyczasie postanowiła zostać pustelniczką. Poszła zatem jeszcze głębiej w bór, zbudowała chatkę maleńką i zajęła się dokarmianiem zwierzątek: wilczków, lisków, króliczków, kitków, tchórzyków i takich innych. I znowuż mijały lata.

Aż pewnej nocy, wyjątkowo ciemnej, zbudził pastereczkę-pustelniczkę głos męski, wołający o pomoc. Wybiegła z chatynki i cóż widzi? Oto człeka jakowegoś straszny zwierz zjada i tarmosi. Padła pastereczka-pustelniczka na kolana i do niebios się modli. Modliła się tak i modliła, aż pomiędzy chmurami rozległ się z lekka poirytowany głos damski:

— Odpędź najpierw, idiotko, zwierzę od człowieka, a potem wykąp go w strumieniu, bo brudny okrutnie i strudzony podróżą.

Pastereczka-pustelniczka oprzytomniała i co rychle uczyniła tak, jak jej poradzono. Po odpędzeniu i umyciu w uratowanym przez siebie człeku rozpoznała swego rycerza, który stanął przed nią żyw i cały. Radość była wielka. I od tej to pory źródła okoliczne mają sławę uzdrawiających. Ciągnęli do nich ludzie zewsząd drzewiej; ciągną i dzisiaj.

**MORAŁ**

Cnota, cierpliwość i wody mineralne zapewnią ci długie i szczęśliwe życie.

14.

Po obiedzie łapie mnie starosta.

— Podobno pan jest piosenkarzem?

— Jestem.

— Ale czy pan jest tym bardzo znanym piosenkarzem?

— Tak. Bardzo znanym.

— Czy nie mógłby pan zaśpiewać dzisiaj po kolacji dla naszych przemiłych..."

— Nie. Nie mógłbym.

— Dlaczego?

— Piosenkarz został w Łodzi, a tu przyjechał wczasowicz.

— Pan jest świnia! Gdyby każdy tak jak pan, to byśmy mieszkali na śniegu. Ja wszystkim opowiem...

— Po pierwsze — mówię — śniegu nie ma. Po drugie — pan jest łobuz. Po trzecie — idę na szklaneczkę Zuberjana z Mieciem, bo to moja pora.

Odchodzę ze stoickim spokojem..

15.

Cmentarzyk krynicki niewielki, ale pakowny. Nie wiem czy akurat tu

**Dalszy ciąg na str. 7**

## LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

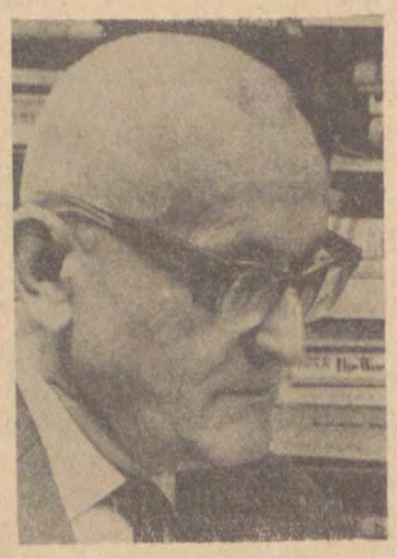

### HENRYK RUDNICKI

Redaktor **HENRYK RUDNICKI** przez 45 lat był dziennikarzem łódzkich gazet. Po wojnie pracował w „Głosie Robotniczym", gdzie pełnił różne funkcje redakcyjne. Od 19 lat – nieprzerwanie – pisuje na łamach „Głosu Robotniczego" felietony, podpisując je pseudonimem „Hendryk". Obecnie jest już na emeryturze, ale nie zarzucił swojej dziennikarskiej pracy i nadal pisuje felietony, które ukazują się w „Głosie Robotniczym".

Dziennikarska twórczość Henryka Rudnickiego ściśle związana jest z Łodzią. Obecnie obok felietonów „Ze środy na piątek" Hendryk publikuje nowy cykl: „Kartki z dziejów Łodzi", gdzie w oparciu o legendy i opowiadania z przeszłości miasta uczy nie tylko szacunku do tradycji, ale popularyzuje te wszystkie wartości, które powinny cechować każdego współczesnego człowieka.

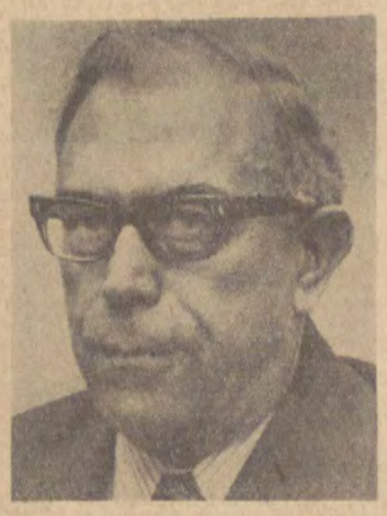

### WITOLD ŚMIECH

Prof. dr **WITOLD ŚMIECH** jest kierownikiem Zakładu Współczesnego Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, a także prorektorem tej uczelni. W swoim dorobku naukowym ma przeszło 30 publikacji, w tym trzy monografie, dotyczące fonetyki i morfologii języka polskiego.

Przez wiele lat pracy naukowej i dydaktycznej w Uniwersytecie Łódzkim wychował liczne grono polonistów. Działa też od lat w Łódzkim Towarzystwie Naukowym, gdzie zajmuje się popularyzacją niełatwej gramatyki języka polskiego.

# LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

## JERZY LEYKO

Prof. dr Inż. **JERZY LEYKO** jest dyrektorem Instytutu Mechaniki Stosowanej Politechniki Łódzkiej. Zajmuje się wytrzymałością i statecznością konstrukcji. Jest autorem ok. 40 prac, a także kilku podręczników akademickich.

Prace prowadzone w Instytucie Mechaniki Stosowanej PŁ mają ścisły związek z gospodarką naukową. Ostatnio Instytut Mechaniki Stosowanej PŁ prowadził obliczenia konstrukcji baterii cienkościennych zbiorników fermentacyjnych. Są to nowego rodzaju zbiorniki, do tej pory w Polsce nie stosowane. W Instytucie Mechaniki Stosowanej PŁ prowadzono też badania nad możliwością zwiększenia wytrzymałości taboru kolejowego w warunkach zwiększonej prędkości. Wyniki tych badań stosuje się już w praktyce w zakładach w Pruszkowie.

Prof. dr Inż. Jerzy Leyko – kierując pracami Instytutu Mechaniki Stosowanej – zajmuje się też wychowywaniem licznej rzeszy specjalistów – mechaników.

## PROJEKTANCI

**z Laboratorium Przemysłu Jedwabniczego i Tkanin Dekoracyjnych**

W skład zespołu projektantów Pracowni Wzornictwa w **LABORATORIUM PRZEMYSŁU JEDWABNICZEGO I TKANIN DEKORACYJNYCH** wchodzą: **IRENA CHRZASZCZ, ROMAN KORBIK, BARBARA KUBIK, HENRYK KUBIK, MARIA ŁAPIŃSKA, HALINA ŁADANOWSKA, STEFANIA OLSZAK, ZOFIA SAMOGGY i ZYGMUNT SUTY.**

Zespół zajmuje się projektowaniem dywanów i tkanin dekoracyjnych. Stworzył rodzimą kolekcję dywanów, opartych o tradycje polskiej tkaniny i osiągnięcia sztuki współczesnej. Ich sztuka zdobyła ogromne uznanie zarówno w kraju, jak i poza granicami. Kolekcja była nagradzana na międzynarodowych wystawach.

Zespół zaprojektował kobierce, które znajdują się obecnie w pomieszczeniach Rady Państwa, Urzędu Rady Ministrów, Ministerstwa Obrony Narodowej oraz w Komitecie Centralnym PZPR.

Prace tego zespołu rosławiły Imię Polski i Łodzi daleko poza granicami naszego kraju.

*Zdjęcia: J. Głowacki*

## JERZY KATARASINSKI

# FORMALNE, TAKTYCZNE, FIKCYJNE...

**Dom przy al. Kościuszki 33 w Łodzi ma prasę dość bogatą. Zwłaszcza, kiedy się chce podłapać jakiś pikantny szczególik z życia tzw. sfer, a to artystycznych, a to rzemieślniczych, a to innych, można tam walić jak w dym. Zawsze coś się znajdzie. Ja wszelako chciałbym się uczepić tematu bardziej przyziemnego.**

Dom ten, znany obiegowo, a najniesłuszniej, jako „SPATiF", jest, **formalnie** rzecz biorąc, siedzibą Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych. **Faktycznie** zaś, i to prawie wyłącznie — siedzibą restauracji klubowej, do której prawo wstępu w godzinach obiadowych mają wszyscy, w godzinach wieczornych zaś — posiadacze klubowych kart. **Formalnie** prawo do kart wstępu mają członkowie związków i stowarzyszeń twórczych oraz osoby przez nich polecone, **faktycznie** jednak, przy pewnej dozie sprytu i jakich takich towarzyskich koneksjach nabycie takiej karty, lub choćby sam wstęp bez karty, nie sprawia szczególnych trudności.

Rozmaita jest więc proweniencja osób bywających w klubie, zwłaszcza w godzinach wieczornych; rozmaitość tej proweniencji sprawia, że reprezentowane są tu najróżniejsze style bycia i życia — od najbardziej godnych szacunku, po mniej godne. **Faktyczne** bardzo często miesza się tu z **formalnym, a formalne z faktycznym,** tak jak żytnia z winiakiem.. W sumie atmosferę klubu, zwłaszcza w godzinach wieczornych, trudno określić jako niefrasobliwie artystyczną, czy artystowską. Główny ton nadają jej nie ludzie dysponujący charmem, dowcipem, polotem, lecz raczej — gotówką. (Nie chcę przez to powiedzieć, że charme, dowcip, polot, nigdy nie kojarzą się z gotówką — i odwrotnie oraz, że na szacunek zasługują tylko ci, co nie mają gotówki — i odwrotnie. Chodzi mi tylko o to, że w wyżej wspomnianej atmosferze coraz mniej chęci do przebywania w klubie, zwłaszcza w godzinach wieczornych, mają ci, dla których klub, czy też w stanie obecnym — restaurację — utworzono).

Nie bez wpływu na tzw. atmosferę pozostaje wyżej wspomniany fakt, że klub nie jest **faktycznie** klubem. Działalność restauracyjna, która **formalnie** miała być tylko smaczną przystawką **(faktycznie** świetna kuchnia), do szerokiej działalności środowiskowej, artystycznej itp. **faktycznie** jest jedynym rodzajem działalności, którym KZiST może się poszczycić w swojej siedzibie. Imprezy klubu — takie choćby jak recitale aktorskie, piosenkarskie, wizyty teatrów małych form, kabaretów, występy przygarniętego przez klub „Bractwa Kurkowego" odbywają się z reguły w salach wynajmowanych w różnych punktach miasta, nie kojarzą się więc bywalcom z domem przy al. Kościuszki 33. Do restauracji chodzą inni, a na imprezy inni ludzie. Sztuka mięs to jedna sprawa, sztuka zaś — inna i gdzie indziej.

A dzieje się to znów z powodu poplątania **faktycznego** z **formalnym. Formalnie** klub dysponuje wielofunkcyjną salą widowiskową na parterze gmachu, **faktycznie** jednak w sali tej od początków roku 1970 trwa (czy też zastygł), remont prowadzony przez **Łódzkie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Handlu Wewnętrznego.** Trudno dociec wszystkich przyczyn, z powodu których **PRBHW** tak się ze swą pracą grzebie, niemałą jednak rolę odgrywa zapewne fakt, iż **MZBM** Łódź-Śródmieście, **formalny** właściciel gmachu, a więc i inwestor, **faktycznie** traktuje budynek jak kukułcze jajo. Przyznaje się do niego, gdy trzeba ściągać czynsz, zapomina o nim, gdy trzeba naprawić a to rynnę, a to CO lub też — co w tej sprawie najważniejsze skoordynować prace związane z remontem. W **MZBM** Łódź-Śródmieście znów, zatrudnieni są chyba fachowcy — gdy jednak przyjdzie co do czego, gdy trzeba zamawiać dokumentację, targować się z wykonawcą, ponaglać, wykwaterowywać lokatorów, spychają te wdzięczne zadania na barki takich specjalistów z KZiST jak aktor, muzyk, filmowiec, dziennikarz itp. Bierze się to zapewne z zaufania do potencji intelektualnej twórców; co jednak będzie, jeśli w zamian zacznie się żądać od dyrektora, jego zastępców oraz inspektorów nadzoru z **MZBM** Łódź-Śródmieście, aby zaczęli grywać po teatrach, filharmoniach itp?... Lepiej już, aby i **formalnie** i **faktycznie,** każdy został przy swoim.

Ale nie tylko z tego powodu restauracja odgrywa w **Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych** rolę centralną. Obiecałem, że będę pisał o sprawach przyziemnych, zniżmy się więc do samego dna. Cały czas chodzi o pieniądze. **Formalnie** KZiST jest federacją 11 związków i stowarzyszeń twórczych, dotowanych centralnie i w związku z tym (ponoć) nie może otrzymać ani grosza dotacji od władz terenowych. **Faktycznie** więc właśnie restauracja — dochody z niej są głównym i w zasadzie jednym środkiem utrzymania klubu. Z nich opłaca się czynsze, płace pracowników i poszczególne deficytowe imprezy. Zmniejszyć obroty restauracji, to tak, jakby całemu klubowi poderżnąć gardło. Dlatego też zarząd klubu, chcąc nie chcąc, (a przede wszystkim nie chcąc się do tego przyznać) — musi godzić się z tym, iż krąg bywalców restauracji jest nadmiernie szeroki. Stąd owi członkowie rzeczywiści (członkowie stowarzyszeń twórczych — aktorzy, muzycy, architekci, filmowcy, plastycy, dziennikarze i in.) oraz „wprowadzeni", którym członkowie rzeczywiście wypisują akredytacyjne karty z nadmierną tolerancją. Im więcej bowiem gąb, tym większe szanse, iż klub będzie wypłacalny...

Już, już zmierzam do końca, do wniosków. Pomieszanie **faktycznego z formalnym** powoduje, iż od kilku lat **Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych** jest **fikcją** krążącą w zamkniętym kole niemożności. Od kilku lat szlag mnie trafia z tego m. in. powodu, że jako do członka zarządu tegoż klubu mają pretensje do mnie i do innych kolegów z zarządu: 1. **władze miasta** (że się w klubie nie prowadzi działalności twórczej, artystycznej), 2. **koledzy twórcy i artyści** (jak w pkt. 1 oraz — że bardzo dziwni ludzie w klubie bywają, uderzą czasem, albo i zepchną ze schodów), 3. **dziwni ludzie czujący się w klubie jak u siebie w domu** (że — nie wiadomo po co przychodzą do klubu jacyś tam hołysze — aktorzy, muzycy, filmowcy itp. i ja).

A wyjście jest takie proste:

**Jeśli Urząd Miasta Łodzi spowoduje, aby wreszcie zakończono remont sali widowiskowej — będzie gdzie prowadzić działalność twórczą i artystyczną.**

**Jeśli Rada Narodowa m. Łodzi przyzna klubowi dotację** — (choćby na takich zasadach, na jakich są dotowane podobne kluby we Wrocławiu, Olsztynie, czy Kaliszu), **można będzie ograniczyć skład bywalców do bywalców pełnoprawnych i klub przestanie być restauracyjnym utrzymankiem.**

Warto by do tego doprowadzić, bo faktycznie Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych, z bogatym programem działalności ideowej, artystycznej — miejsce w którym twórcy mogliby się spotkać ze sobą, poznać na wzajem, wspólnie pracować — jest Łodzi bardzo potrzebny. **Faktyczne** potrzeby powinny być zawsze ponad wszelkimi **formalnymi** i innymi przeciwnościami.

*Fot. Archiwum*

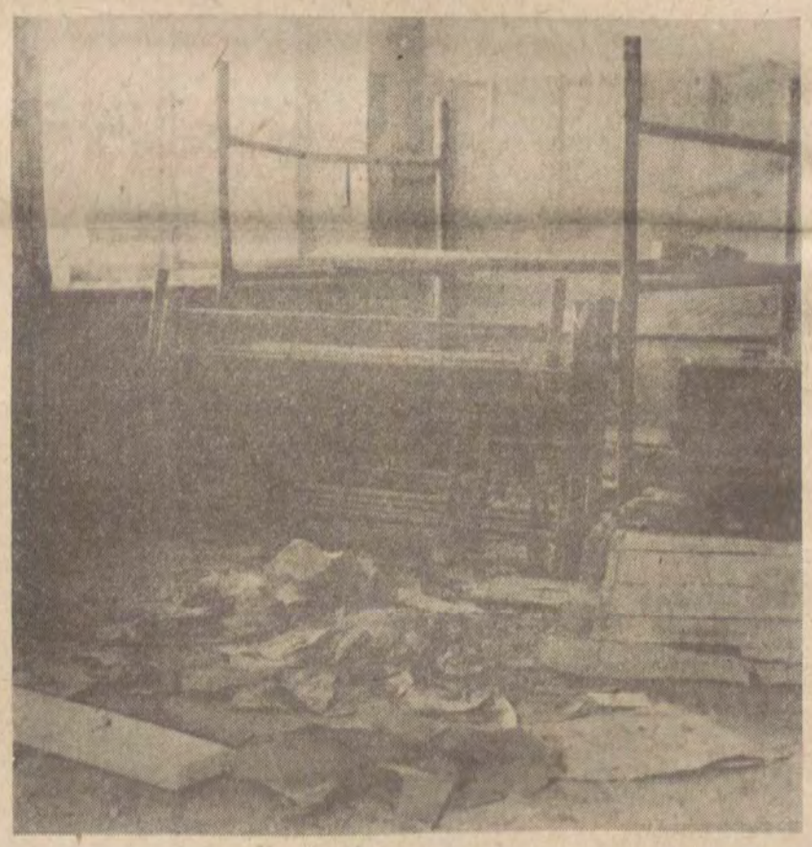

# ZA DWADZIEŚCIA PARĘ LAT...

Dalszy ciąg ze str. 3

Ale trzeba zmieniać poglądy człowieka, trzeba jego sposób myślenia przystosowywać do nowych sytuacji, gdyż w przeciwnym wypadku to właśnie może stać się czynnikiem hamującym. Trzeba doceniać siłę przyzwyczajeń, obyczajów, siłę tradycji, która choć niewymierna może okazać się niebywale trwała.

Zamierzaliśmy wybudować w Łodzi 150 tys. izb i uczynić miasto nowoczesnym. Zapoczątkowaliśmy w bieżącym pięcioleciu proces tych przemian. Budujemy nowe osiedla już nie tylko w tradycyjnych rejonach Łodzi, ale sięgamy do terenów pokrytych zabudową tradycyjną. Zdajemy sobie sprawę, że przez intensywną budowę nowych dzielnic mieszkaniowych musimy rozwiązać współczesny problem mieszkaniowy. Dziś zapisując się do spółdzielni mieszkaniowej młody człowiek otrzymuje zapewnienie, że jego mieszkanie będzie budowane dopiero za 10 lat, gdyż przedtem trzeba będzie zapewnić mieszkania tym wszystkim, którzy zapisali się do spółdzielni przed nim.

Kiedy więc mając świadomość tej, współczesnej sytuacji sięgamy do wizji mieszkania z początku XXI wieku, w którym konsola informacyjna ma stanowić centrum, gdzie można będzie odgrodzić się od innych, zmienić kolor ścian, dla otrzymania określonego nastroju, gdzie zamiast regałów z książkami będzie zainstalowany komputer biblioteczny — to wizja ta odsuwa się nam na dalsze dziesięciolecia. Zdajemy sobie sprawę, że współczesność wymaga rozwiązania problemu ilościowego, odsuwając jakość na plan dalszy. Z drugiej strony mamy świadomość, że budowane dziś domy stać będą przez pół, albo i trzy ćwierci wieku, bo i dziś modernizując Łódź borykamy się z budownictwem sprzed kilkudziesięciu lat. A jednak i dziś coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że rozwiązując problem ilości budownictwa mieszkaniowego musimy inaczej patrzeć na problem jego jakości. I tę sprzeczność uświadomia nam perspektywiczne myślenie.

Wręcz nieprawdopodobnie brzmi wizja łączności, która według futurologów ma być powszechna za dwadzieścia parę lat: Sięgając po słuchawkę telefonu, czekając kwadransami na sygnał, z niedowierzaniem czytamy o kieszonkowych telefonach, o możliwości wykorzystywania aparatu telewizyjnego do kontaktu z biblioteką, czytelną prasy, filmoteką, o możliwości korzystania z systemu łączności do załatwiania spraw w urzędzie, zakupów, usług. Brzmi to wszystko jak piękna baśń, o której z góry wiadomo, że jest nieprawdziwa, nierealna i od początku do końca zmyślona nam ku zabawie. A przecież wizja przyszłości opiera się tylko na współczesnych osiągnięciach techniki i na zawartych w niej możliwościach. Konfrontacja teraźniejszości z wizją przyszłości nie musi dyskwalifikować tej drugiej, choćby nie wiem jak fantastyczna wydawała się przyszłość.

## KRACH FUTUROLOGII?

Rzeczywistość coraz częściej podważa słuszność futurologii, przekreślając jej przewidywania. Jak twierdzi **Stanisław Lem** z futurologów nikt nie potrafił przewidzieć współczesnego kryzysu energetycznego. **Mircea Malita** wspomina o kryzysie paliwowym, uznając energię atomową za jedyne źródło elektryczności w XXI wieku, która jest obecnie droga i jeszcze nieumiejętnie wykorzystywana (poza celami wojennymi — niestety), a która przyczyni się w przyszłości do wyzwolenia ludzkości od koła młyńskiego, którego unowocześniona formą jest też turbina parowa. W nie tak dalekiej przyszłości, dzięki zastosowaniu pola magnetycznego można będzie otrzymywać energię bezpośrednio z ciepła spalających się atomów ciężkiego wodoru. Kilogram tego surowca może dać w przyszłości 20 milionów kWh. A surowiec znajduje się w ilościach nieograniczonych w wodach oceanów.

Czy przyszłość energetyki światowej pójdzie istotnie w tym kierunku pokaże praktyka. Ale jeśli nawet nie wszystkie przewidywania futurologów znajdą później potwierdzenie, jeśli stająca się rzeczywistość wprowadzi korekty do ludzkich marzeń i przewidywań, to — mimo wszystko — futurologia spełnia jedną ważną rolę, burzy nasz spokój, zmusza do rewizji sposobów myślenia, każe inaczej patrzeć na otaczającą rzeczywistość, przyczynia się do dalszego rozwoju techniki, pobudza fantazję i inicjatywy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

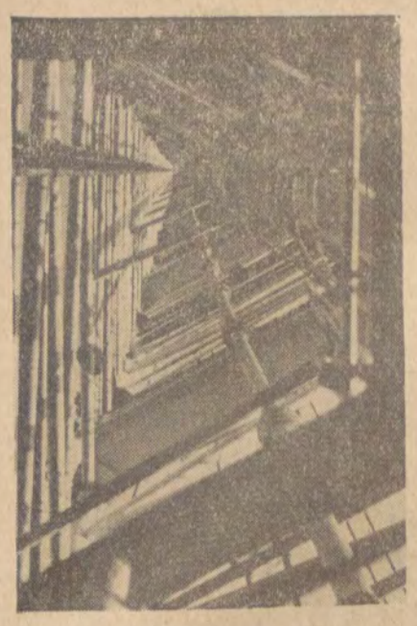

Wyścig w niebo trwa. Kiedyś, przed laty, nasi dziadkowie dostawali zawrotu głowy na myśl, że w Paryżu inż. Eiffel zbudował wieżę wysokości 300 metrów. Cud techniki lat międzywojennych — nowojorski Empire State Building sięgał już 380 metrów... Potem była słynna telewizyjna wieża w Ostankino pod Moskwą, potem berlińska wieża telewizyjna na Alexanderplatz...

A oto jest maleńka miejscowość Konstantynów koło Gąbina w powiecie kutnowskim, gdzie rośnie maszt telewizyjny... najwyższy w Europie.

Proszę sobie wyobrazić będzie to maszt d w u k r o t n i e wyższy niż paryska wieża Eiffla. Równe 644 metry! Do budowy zużyje się blisko 250 kilometrów lin stalowych, a ile stali — tego już sobie wyobrazić nie sposób.

Słyszy się nieraz o montażu urządzeń przy pomocy helikoptera. Tu, niestety. zawrotna wysokość na to nie pozwala. Po prostu ażurowość konstrukcji i odchylenia jej na skutek wiejącego w górze wiatru nie pozwoliłyby na precyzję montażu. Tylko człowiek jest niezawodny w takich sytuacjach. Tak więc brygady robotników pracujących p ó ł k i l o m e r t a ponad ziemią muszą zastępować technikę.

Wiele dramatycznych momentów zapisały już kroniki tej budowy. Na przykład ZBIGNIEW PŁÓCIENNIK, czołgając się po stalowej rurze kilkaset metrów nad ziemią sam naprawiał uszkodzone elementy instalacji... W złotej księdze tej budowy zapiszą się na pewno nazwiska E. BORKOWSKIEGO. H. SMYKLA, J. JOŃCA, H. NOWAKA. J. LATOCHY, J. KASPERKA, W. STĘPNIA, S. KOWALCZYKA oraz kierującego budową inż. ANDRZEJA SZEPCZYŃSKIEGO... Obiektyw naszego fotoreportera uchwycił go w sytuacji typowej — 300 metrów nad ziemią...

J. WIL.

FOTOREPORTAŻ:

## Masztem w niebo...

# PIOTRA JASKOWA

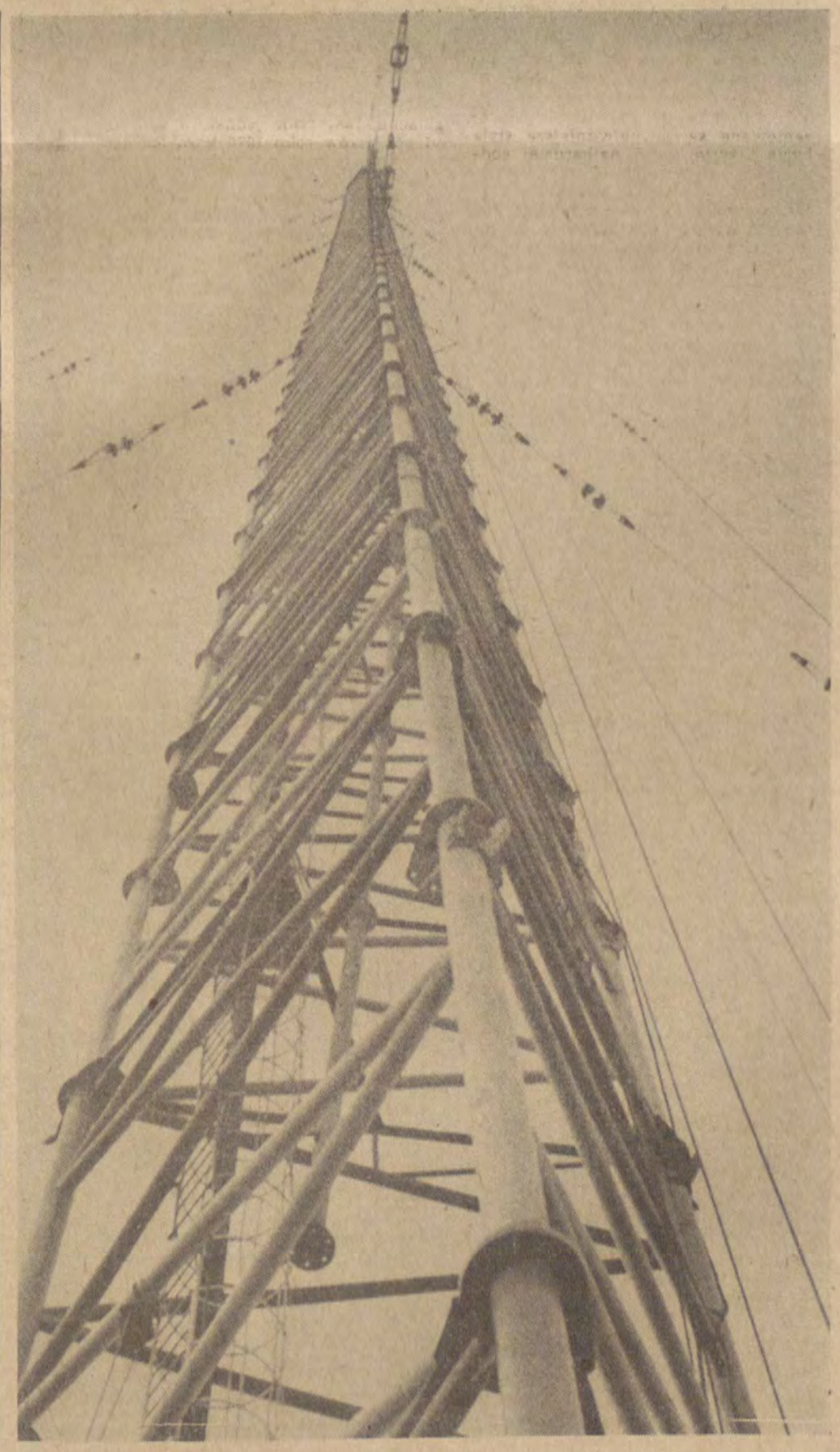

# PUSTELNICZKA I ZUBER

Dalszy ciąg ze str. 5

chciałbym ostatecznie spocząć, ale miejsce jest miłe, nastrojowe i swojskie. Przeważnie rodzinne grobowce i grobowczyki nie tandeta, ale porządne i wygodne. Kompleksy żywych w stosunku do umarłych ujawniają się najczęściej właśnie na cmentarzach, właśnie w pomnikach, w nazwach ulic, placów.

Grób Nikifora inny od wszystkich. Dwie nie obrobione płyty piaskowca postawione na sobie na kształt ołtarza ofiarnego. A na nim otoczaki oprawione w metal grupę świątków beskidzkich przypominające.. Ktoś dobrze myślał, ale źle zrobił. Wszystko w sumie, łącznie z nieczytelnym napisem — nieudane.

Dlaczego w Krynicy nie ma stałej galerii obrazów Nikifora, tego nie rozumiem zupełnie. Przecież zwą go NIKIFOREM KRYNICKIM. Ostatni to chyba artysta, któremu, jak w dawnych wiekach, nadano nazwisko od miasta, w którym tworzył. Eh, panowie od kultury. A wy ciągle przy orkiestrach dętych. Niech wam śpiewa Grechuta.

16.

Obecnie w Krynicy zarzucono malarstwo. Wiodącym gatunkiem jest tu teraz rysunek. W nowej pijalni facet równie niechlujny, jak niechlujny był Nikifor, uprawia z powodzeniem „karykaturę w ujęciu łagodnym" (z natury). Ołówek na brystolu. Ceny przystępne. Kolejka. Stoję. Siadam. Pozuję. Cierpliwie. Na karykaturze wyglądam jak jeden z wielkich brodaczy. No i gdzie tu łagodność? Reklamuję. Facet patrzy na mnie i mówi:

— Bo pan się zupełnie nie nadaje.

17.

Część wczasowiczów mieszka na kwaterach prywatnych. Dom wczasowy jest niekomfortowy. Kwatery prywatne — również. Różnica leży w zapachach. Na kwaterach pachnie domowym bigosem, zupą grzybową, pierogami z mięsem. W domu wczasowym śmierdzi bigosem i grochówką.

Zaczepia mnie starosta.

— Podobno pan nie sypia u nas?

— Nie sypiam. Wynająłem apartament w „Patrii". Tam, gdzie przyjeżdża Kiepurowa.

18.

Śniegu nie ma. Siedzę z panią Z. na ławce na zboczu Góry Parkowej. U naszych stóp pijalnia jak gigantyczne akwarium. Ludzie jak ryby. Właściwie cisza. Palimy cienkie, długie cygara hawańskie. Zagryzamy astrachańskim kawiorem. Rozmawiamy o polityce. Z. twierdzi, że świat długo nie potrwa, no, jeszcze półtora roku. Góra. Liczę. W takim razie zdążę jeszcze przyjechać tu na narty. Na pewno będzie śnieg. Na razie Krynica jest rozdeptana żaba w rozciapanym błocku. Może zresztą przyjadę tu nie dla śniegu, nie dla wód, lecz dla gastronomii. Dla polędwicy po angielsku, dla pstrąga po polsku, dla pyzów ziemniaczanych, dla tatara świeżutkiego, dla grzecznych kelnerów, którzy wiedzą wszystko o torach saneczkowych. A może jeszcze dla czegoś innego...

19.

Z. nie wie, jaka wodą na co dobrze robi.

— Bo widzi pan, panie Andrzeju, nie jestem pewna czy mam używać Jana czy Zubera, czy być może Miecia.

— Ależ drogie dziecko. Pójdziemy zaraz zobaczyć. Tam zapewne wiszą plansze informujące co na co — mówię i biorę ją za rękę. Idziemy. Plansze wiszą. Wiemy już, ile osób przyjechało „do wód" w 1895, ile w 1923, ile w 1975 przyjedzie.

Pijemy wszystkie wody po kolei, łącznie z Wodą Zwykłą i Wodą Ognistą (piersiówka).

ANDRZEJ GRUN

*Fot: A. Wach*

# PRZY MAŁEJ STACJI CHORZEW

Dalszy ciąg ze str. 1

**bohatera. Przecież inni mogą coś niecoś powiedzieć o jego pracy. Z uzyskanych już źródeł wiem, że BOLESŁAW WIŚNIEWSKI urodził się w roku 1913 we wsi Staw, pow. wieluński. Wkrótce po przyjściu syna na świat rodzice przenieśli się do Siemkowic. Ojciec walił młotem w kowadło, mały Bolek piątał się po kuźni; wpatrywał się w sypiące spod młota iskry, układające się w gwiezdne girlandy, i dziwował, gdy pod ręką ojca żelazo stawało się uległe i w oczach zmieniało kształty.**

**Zagapił się nieraz, matka musiała wyciągać go z kuźni na kolację, ale nikt mu nie miał tego za złe, gdyż wszyscy czuli, że Boleś jest dzieckiem jakimś innym, takim wrażliwym.**

— Ma duszę artysty — **orzekli sąsiedzi** — podków pewnie nie będzie robił, bo krzepy kowalskiej też w nim nie znajdziesz.

**Kiedy zaczął uczęszczać do szkoły powszechnej w Siemkowicach, uwidoczniły się jego zdolności do przedmiotów artystycznych. Na „robotach" i rysunkach, bo tak się to wówczas nazywało, Bolek był najlepszy. Nikt jak on nie ulepił z gliny koguta, świątka, piukającego wesoło ptaszka; nikt też lepiej nie odtworzył w rysunku starej chorzewskiej chałupy; udawały mu się również pisane wierszyki oraz ich recytacja. Wszystkie te talenty odkrył w chłopcu ówczesny kierownik szkoły, WINCENTY DZIEGIEĆ, który starał się jak mógł, aby Bolek nie zmarnował zdolności.**

**Ale w latach dwudziestych niełatwy był dla chłopskiego dziecka wstęp do szkół artystycznych. Nie przelewało się w domu starego Wiśniewskiego, gdyż Bolek po ukończeniu szkoły powszechnej, w roku 1929, spakował manatki, ucałował dłonie rodziców i ruszył w świat za chlebem. Chociaż prawdę mówiąc, co innego pchało go w ten świat: chęć poznania ludzi, bliższy kontakt z artystami, pragnienie nauki. Ostatecznie wylądował w Warszawie, gdzie złapał pracę w restauracji kategorii I „Pod Wiechą". Był więc w wielkim świecie, oszołomiony stołecznym blichtrem. Futra, cylindry, piękne panie, róże i perfumy, zapach drogich tytoniów i wódek. A co on miał z tego? Boleś tam kłaniaj się, usługuj, czasem drobny napiwek.**

**I gubił się w wielkim mieście, ale zawsze był sobą. Nie dojadał, sypiał 4-5 godzin na dobę i kosztem tych wszystkich wyrzeczeń, począwszy od osiemnastego roku życia, przerobił program dwóch klas gimnazjum. Na dalszą naukę nie starczyło pieniędzy i zdrowia. Przegrał swoje młodzieńcze marzenia. Schorowany wrócił do Siemkowic.**

**Siedząc nad wystygłą herbatą przypomniałem sobie ten fragment życiorysu Wiśniewskiego. I postanowiłem nie rezygnować.**

**— Proszę pani — zwróciłem się do bufetowej — czy mogłaby pani wskazać, gdzie mieszka Bolesław Wiśniewski?**

— Trzeba pojechać prosto — **powiedziała, nie przerywając układania widelców i noży** — to tylko kawałek, i po lewej stronie będzie taki drewniany domek.

3.

**Jedziemy więc przez Chorzew. Wieś niewielka, jakieś 150 zagród, ponad pół tysiąca mieszkańców, ale czysto utrzymana; domy murowane, przed nimi małe ogródki, okolone kolorowymi płotkami. Do Wiśniewskiego łatwo trafić, gdyż w Chorzewie stoją, i to obok siebie, trzy drewniane chałupy.**

**Otwieram z haczyka omszałą furtkę, potem drzwi przybudówki, przesłonięte zasłonką. Ciemno, ujada mały, rudy psiak. Z niskiej kuchni wychodzi drobna, opatulona w kufajkę kobieta.**

— Nie, nie ma męża — **mówi słabym głosem** — jego można zastać tylko w niedzielę.

**— Proszę pani, ja przyjechałem z Łodzi, aby o nim napisać. Może pani by mi pomogła, powiedziała coś na temat życia i pracy męża?**

— Nie, nic nie powiem, jestem bardzo chora. Od kilku dni łamie mnie grypa, tak się pociłam, że trzy razy musiałam zmieniać obłeczenie na pierzynie. Mąż i syn przez te dni nie jedzą obiadu, bo nie ma kto im ugotować. Że też pan musiał dzisiaj przyjechać — **mówi wskazując na nie posłane łóżka, porozstawiane wszędzie naczynia, talerze z resztkami jedzenia.** — Bałagan taki, wstyd mi, jak nie wiem...

**Tłumaczę się, że nie chciałbym zabierać jej czasu, skoro jest chora, ale skrycie myślę, że przecież nie powinienem rezygnować z zebrania dodatkowych informacji o Wiśniewskim. Zaczynam więc z innej beczki.**

**— Nie ma się czego wstydzić — mówię — a taki mały bałagan to u artysty narmalna rzecz.**

**Wiśniewska uśmiecha się słabo, więc ciągnę:**

**— Posiadacie państwo jakieś gospodarstwo?**

— Nie, tylko tę chałupinę pod strzechą.

— A dzieci?

— Córka Marysia wyszła za mąż i mieszka w Łodzi, pracuje na szwalni, jeden z synów wyniósł się do Działoszyna, drugi, najmłodszy, pracuje w „Mostostalu". Mieszka z nami, bo stacja blisko, PKS też dojeżdża, ale chciałby się budować. Trzeba mu pomóc, po co ma płacić w mieście pięćset złotych za mieszkanie, prawda? Dobrze, że tu zostanie to i my jakoś po ludzku pomieszkamy na starość.

**— Mąż znany jest nie tylko we wsi, ale i w powiecie — przerywam, aby zmienić temat.**

— Eee, widzę, że się przed panem nie opędzę! Pokażę, co on takiego robi...

**— Ale nie zdąży pani ugotować obiadu!**

— Do wieczora dam radę — **mówi i wprowadza mnie do drugiej izby, równie niskiej. Strop podtrzymywany kantowanymi belkami, sufit, ściany powleczone bladą ultramaryną.**

**— W jakim zakładzie w Częstochowie pracuje pan Bolesław? — pytam.**

— Oni tam robią takie rzeczy, co wcale nie są związane z tym jego domowym dłubaniem, różne części porcelanowe do elektryki, rączki do ubikacji, rurki. W książeczce „Ubezpieczalni" będzie, jak się ten zakład nazywa.

**Jest: „Spółdzielnia Pracy „Ceramika Mineralna", ul. Mokra 13.**

— Ale to zdjęcie było dawniej robione — **wyjaśnia Marianna Wiśniewska.** — Teraz mąż schuchrany bardziej...

**— Skąd on bierze czas na działalność artystyczną? Przecież do Częstochowy kawał drogi...**

— Budzę go o trzeciej rano. Wraca wieczorem. Zje obiad, posiedzi z dziesięć minut, a potem nawet w telewizję nie popatrzy, tylko bierze się do tego dłubania. On ma, proszę pana, to wrodzone. Nic, tylko dłubie i ćmi papierosy, o, pełna popielniczka petów jeszcze od wczoraj została. Na zdrowie mu szkodzi, ale on mówi, że jak pali to ręce tak nie drżą i może wszystko zrobić dokładniej.

Widzi pan tę brązową płaskorzeźbę Ostrobramskiej? Wygląda jak z drewna, a to jest wypalana glinka. A te portrety świętych na złotawym papierze, które wiszą nad łóżkiem, zrobił ołówkiem, gdy miał osiemnaście lat, podczas pobytu w Warszawie. A jaki pomnik zrobił rodzicom! Można zobaczyć na cmentarzu w Siemkowicach.

W 45 roku, jak żeśmy się sprowadzili do Chorzewa, oprócz tej twórczości ludowej, zaczął prowadzić działalność kulturalną. Zorganizował zespół teatralny, kierował nim i reżyserował. Pieniądze z przedstawień szły na budowę nowej szkoły i na wyposażenie świetlicy w prywatnej chałupie.

**— No, tak — mówię — ale nie tylko takie pomniki, jak szkoła, powstały dzięki jego działalności.**

— A pewnie! Proszę spojrzeć na tę ścianę.

**Na ścianie, tuż przy oknie, zawieszony szereg płaskorzeźb. Twarze ludzkie, jak żywe.**

**— To postacie z jego rodziny, tylko jeden jest obcy. Mąż robił to bardzo długo. Najpierw lepi te rzeźby z gliny, na podstawie fotografii, potem z modelu odlewa formę. Do formy wpuszcza masę porcelanową. Jak wszystko wyschnie, to wiezie do Częstochowy, wkłada do pieca ceramicznego i wypala w bardzo wysokiej temperaturze. Wyjmuje wypaloną płaskorzeźbę i czyści, i wypala jeszcze raz. Potem maluje i jeszcze raz wypala. Te płaskorzeźby można robić w porcelanie i gipsie. Zaraz panu pokażę z gipsu.**

**Wspina się mozolnie na stołek i ściąga z szafy biały odlew ludzkiej głowy.**

— Teraz właśnie robi takie głowy. To jest głowa jego ojca. Widzi pan, jakie to dokładne, znać każdą zmarszczkę, każde pasemko włosów.

**Wiśniewska pokazuje mi jeszcze widoki, malowane farbami olejnymi na ciężkiej płycie pilśniowej. Są to obrazy pajęczańskiej wsi: pola w zimie, chaty, las. Niektóre nawet udane, inne mniej, z nieudolnie dobranymi kolorami, ale przecież Wiśniewskiego nikt nie uczył techniki malarskiej.**

**Warto w tym miejscu dodać, że Bolesław Wiśniewski wykonuje również rzeźby w drewnie lipowym. Widziałem też w jego mieszkaniu szopkę, wykonaną z tektury, oblaną gipsem, pięknie wymalowaną. Uczestniczył w powiatowych konkursach i wystawach, sześć lat temu otrzymał I nagrodę za rzeźbę i III za obrazy.**

4.

**Przez dwadzieścia sześć lat każdą wolną chwilę, kosztem własnego odpoczynku, poświęcał pracy z zespołem teatralnym. Przedstawienia prezentowały wysoki poziom artystyczny, prasa amatorskiego ruchu artystycznego wystawiała pochlebne recenzje, o „Balladynie" np. pisano, że jej wystawienie równa się poziomem spektaklowi w teatrze zawodowym. W repertuarze zespołu z Chorzewa znalazły się m. in. takie sztuki, jak: „Mieszczanin szlachcicem", „Grube ryby", „Pani Dulska przed sądem", „Śmierć Felicjana Dulskiego" i inne.**

**Jeździli z przedstawieniami do Działoszyna, Lipiny, Siemkowic, Pajęczna i Ożegowic. Dochód przeznaczono na budowę szkoły i remizy strażackiej. W 1961 roku w dawnym Domu Kultury w Działoszynie odbywały się powiatowe eliminacje amatorskich zespołów teatralnych. Zespół teatralny przy OSP w Chorzewie zdobył wtedy I miejsce i 10 tysięcy złotych nagrody za sztukę „Skąpiec" Moliera.**

— O, to mój Bolesław — **mówi Wiśniewska, wskazując jedno z licznych zdjęć, zamieszczonych w pamiątkowej księdze.** — Sam był tym Skąpcem, bo nie mógł nikogo znaleźć, kto by się nadawał do tej roli. Panie, kim ten mój stary nie był! Sam uczył wszystkich, czyli był reżyserem. Robił i malował dekoracje, był kierownikiem i aktorem, nawet mnie wciągnął do tego wszystkiego, bo materiały zanosił krawcowi, aby do wykroju, a ja musiałam z mężem szyć kostiumy. A ile on sam nawypisywał wierszyków i piosenek, choćby na wszystkie dożynki.

**Przeglądając dokumenty, trafiam na ciekawe zobowiązanie. Podpisali się pod nim członkowie zespołu, obiecując, że nie będą się spóźniać na próby ani ich opuszczać. Są tam i inne ciekawostki, np. pisane „do wiersza" streszczenie cieszącej się dużym powodzeniem baśni „Za siedmioma górami". Oto, co widz będzie mógł obejrzeć:**

**„zakięty las i poranne zorze,**
**I leśnego dziada, co gra na fujarze,**
**Wielkiego smoka, muchomory,**
**wlewiórki,**
**króla i jego dwie urodne córki".**

**Jak niegdyś w trupie teatralnej, aktorzy z Chorzewa witali i żegnali widzów odpowiednim wierszem, pisanym przez Wiśniewskiego.**

— Przez tę ciągłą gonitwę, przez to nieszczędzenie zdrowia Bolesław zapadł na serce — **ciągnie Marianna Wiśniewska.** — Ale choć zimą leżał przez pięć tygodni w łóżku, nie odmówił nikomu pomocy. Paliłam w obu izbach, przychodziło osiemnastu młodych ludzi i mąż robił z nimi te próby do „Balladyny". To była jego ostatnia sztuka, od lipca 1971 roku przestał się udzielać, bo zdrowie mu nie pozwala...

**Niemal naprzeciw chaty Wiśniewskiego znajduje się Klub Rolnika. Dwa małe pokoiki, gustownie urządzone, radio, magnetofon, telewizor, dość dobrze zaopatrzony bufet. Ale czy po odejściu Wiśniewskiego klub nadal jest centrum życia kulturalnego wsi? Dotąd ten klub zawsze zajmował I lub II miejsce w powiecie, raz był pierwszy, raz drugi w województwie. W księdze pamiątkowej znajdują się wpisy goszczących w nim pisarzy, aktorów „Teatru Wielkiego", im. St. Jaracza, Ziemi Łódzkiej. Pełniąca od 10 lat funkcję kierowniczki klubu Maria Jakubowska, mówi, że niebawem zwalnia się z pracy.**

**— Dlaczego? — pytam.**

— Pracy jest dużo, a pensja 1000 zł, bez żadnego zabezpieczenia socjalnego. Na kierowników mają teraz przyjmować po maturze, nie wiem jednak, czy ktoś się zgodzi za takie wynagrodzenie. Poza tym wyrosła mi pod bokiem konkurencja. „Chorzewianka" ma większą frekwencję. Ci, co tu zachodzą, obejrzą telewizję, pogadają, przejrzą czasopisma. I to wszystko. Gości coraz mniej, bo młodzieży w Chorzewie mało. Uciekają do miasta, do szkół i internatów, na Śląsk. Kiedy Wiśniewski był zdrowy, było inaczej. On nadal jest członkiem Rady Klubu, ale nie ma już tyle sił, żeby rozkręcić życie kulturalne wsi.

**— Dużo wam pomagał?**

— Panie! Prowadził dla nas przedstawienia, dożynki, konkursy. Te wszystkie dekoracje i malowidła on wykonał. Tego orła, co wisi na ścianie, też odlał z ołowiu.

**Wyprowadziła mnie przed klub, odgarnęła miotłą śnieg i pokazała dużego, ułożonego z drobnego, szarego kamienia orła.**

Wiśniewski, proszę pana, to człowiek, któremu wszystcy powinni dziękować...

**Potem powiedzieli mi we wsi młodzi, i nie tylko, bo Antonina Pasieka, była aktorka zespołu, przekroczyła już trzydziestkę, że Wiśniewski umie dotrzymywać słowa. Był chory, ale nie odmówił pomocy przy wystawieniu „Balladyny". Prawdziwy społecznik. Ale nie zawsze spotykał się z wdzięcznością. Miał również przykrości. Jakie? No, z tymi nagrodami, wyróżnieniami, zresztą lepiej nie mówić.**

**Myślę, że pewną satysfakcję dał mu dzień 13 maja 1967 roku, kiedy to został wyróżniony przez ministra kultury i sztuki odznaką: „ZASŁUŻONY DZIAŁACZ KULTURY".**

**Teraz odsunął się od życia społecznego, ale wciąż tworzy. Tam, w tej niskiej izdebce, kiedy nad wsią noc, cisza, czasem ostry gwizd parowozu, pochylony, z dłutkiem lub skrobakiem w dłoni, stara się rzeźbić twarze ludzi, którzy odeszli, by inni nigdy ich nie zapomnieli...**

RYSZARD BINKOWSKI

---

ANDRZEJ SZONERT

# DUŻO ARTYSTÓW – DUŻA KLĘSKA

Istnieje bodajże chińskie przysłowie, mówiące „Mały deszcz — mała klęska, duży deszcz — duża klęska, a gdy nie ma deszczu, to dopiero klęska." Przysłowie tyleż przewrotne co i prawdziwe, mogące nade wszystko spełniać funkcję wzoru do podstawiania. W miejsce niewiadomej „deszcz" wystarczy wpisać „artyści" i zaczyna się zabawa.

Przysłowie owo w nowej formie brzmiałoby: „Mało artystów — mała, klęska, dużo artystów — duża klęska, a gdy nie ma artystów, to dopiero klęska."

Mało artystów — mała klęska — brzmi to dosyć prawdziwie, a skalę prawdziwości tego sformułowania ocenić jest w stanie każde z ministerstw kultury na świecie.

Dużo artystów — duża klęska — rozmiar tej klęski może unaocznić stosunek oficjalnych władz miasta Paryża do osób podających w rubryce „zawód" — artysta malarz. Urzędniczka z urzędu paszportowego wypytywała mnie nerwowo, pełna niekłamanych obaw i nadziei:

— A może ma pan jeszcze jakiś zawód, jakieś miejsce pracy?

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mogłem ją usatysfakcjonować, otrzymując w zamian uśmiech ostatecznie aprobujący to dziwne zajęcie.

Wizja artystycznego Paryża w oczach przeciętnego człowieka jawi się w świetlistych kolorach impresjonizmu i równie żywych kolorach niewątpliwego sukcesu, mającego ozdobić laurem głowy malarzy znad Wisły czy Łódki.

Prawda, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, jest znacznie banalniejsza i wielokroć mniej barwna.

Placyk du Tertre usytuowany na samym szczycie wzgórza Montmartre odwiedzają turyści z całego świata. Stenotypistki z Nowego Jorku, biuraliści z Hamburga, sklepikarze z Holandii, również i turyści z Polski, zaciskając w pięści urzędowo wymienione sto dolarów, pragną doznać olśnień i wzruszeń, jakie przekazał im literacki mit tego miejsca, gdzie żył Utrillo, Vlaminck, Soutine.

Wszyscy oni wiedzą, że van Gogh malował słoneczniki i obciął sobie ucho, a Utrillo był tytanem alkoholowym, malującym nawet latem wszystko na biało. Dla nich to właśnie placyk zaludnia barwny, przedziwnie przystrojony „na bohemę" ludek pacykarzy, który z uporem nakłada szpachlą na płótno kontury katedry Notre-Dame, pilnie wpatrując się w odrapany mur kamieniczki, w której sprzedaje się frytki w tekturowych pojemnikach.

Jesteśmy świadkami misterium nie tyle tajemniczego, co powiedzmy sobie szczerze — rentownego. Stylowo obdarci kapłani tego miejsca kultu tandety i bzdury artystycznej wykazują wiele przebiegłej nahalności, kusząc na

*Fot: E. Przybyłowicz*

# OPOWIEŚCI MYŚLIWSKIE

## TADEUSZ GICGIER

Nazywa się **Sergiusz Waszkiewicz** i mieszka w Białowieży na Tropince. „Tropinka" to z rosyjskiego „dróżka leśna", a chociaż dzisiaj jest to już ulica, na swym krańcu przechodzi ona w leśną drogę. Przez wiele lat był gajowym, potem strażnikiem łowieckim, teraz jest przewodnikiem na emeryturze. Niełatwo jednak zastać go w domu. Przepada ciągle w lesie, nie zerwał też ze zwierzyną.

**— Mało jest przewodników, a ja las dobrze znam, więc choć jużem stary, czasem jeszcze prowadzę polowanie. Ale najbardziej lubię okres przed polowaniem, kiedy chodzę po lesie, żeby wyczuć, wysłuchać, w jakich miejscach obraca się zwierzyna. Idę zwykle skoro świt, a nieraz i całą noc przesiedzę w puszczy. Nasłuchuję, gdzie i jaki byk ryczy, bo wiadomo, że młody drze się raz za razem, a stary odzywa się rzadko i grubo. Myśliwym idzie przede wszystkim o stare okazy jeleni, im cięższy wieniec, tym wspanialsze trofeum. Podobnie jest z kozłami. Przy czym młody i stary kozioł jednako jest wrażliwy na głos sarny.**

Pan Sergiusz wyjmuje z kieszeni łuskę od naboju, w której wydrążony jest cienki otwór. Przykłada ją do ust i naśladuje do złudzenia pisk sarny. Potem sięga po dużą muszlę — teraz słychać ryk starego żubra. Jak wiadomo, żubry są pod ochroną. Jeśli je wabi, to tylko po to, aby przyjrzeć się jakiemuś ciekawemu okazowi. W ogóle jest on szczególnym gatunkiem łowczego. Nie wiem, ile w tym prawdy; ale mówiono mi w Białowieży, że kiedy prowadzi myśliwych, często robi to tak, aby nie naprowadzić ich na zwierzynę.

Jest zimowy wieczór, stoimy sobie w dużej kuchni przy piecu i gawędzimy.

**— Obrosłem tłuszczem jak borsuk na zimę** — śmieje się pan Waszkiewicz. **— Sporo chodzę, ale niewiele to pomaga. Niedługo po łowach zostaną mi już tylko wspomnienia.**

### OPOWIEŚĆ PIERWSZA

Pamiętam, przyjeżdżał tu ze starej Polski jeden minister z Warszawy. Bardzo był grymaśny, trudno mu było wyznaczyć strażnika. Kiedyś pojechałem z nim polować na głuszca w nadleśnictwie Biały Lasek. A trzeba tu zaznaczyć, że głuszec to ptak rzadki, wielki rarytas łowiecki. Poluje się na niego wczesną wiosną, w okresie godów. Powiadają, że głuszec gra, ale jest to pieśń dosyć dziwaczna, składa się z kilku części, a każda z nich ma swoją nazwę.

W Białym Lasku strażnik już głuszca zasadził, to znaczy wysłuchał wieczorem pieśni i czekał na nas. Przyjechaliśmy jeszcze po ciemku. Trochę zaczekaliśmy, zaczyna brać się na świt. Było to w obwodzie strażnika Dymitra Olezło i on poprowadził dalej ministra. Poszli kawałek w las, a minister na niego rozmaicie, z takim grubym wymysłem:

— Ty durniu — powiada — ty taki owaki! To ja mam z tylu iść i wąchać od ciebie?...

Ten w strachu, puszcza ministra przodem. Uszli kawałek, a minister znów na niego:

— To ja mam ciebie prowadzić na polowanie, a nie ty mnie, ty cepie!

Na to Dymitr:

— Panie ministrze — powiada — albo polować, albo się kłócić.

Minister uspokoił się. Podeszli pod głuszca, strzelił, zabił z pierwszego razu. Zadowolony. Zapalił. Przyszli do ogniska, pogadali trochę. Minister wsiada do samochodu, wyjmuje 40 zł i daje strażnikowi na „herbatę". Wtedy Olezło:

— Dziękuję, panie ministrze. Jednak każden dureń złotówkę wart.

### OPOWIEŚĆ DRUGA

Innym razem, pamiętam, przyjechał jeden gość z Włoch. Nic nie rozumiał po polsku i na głuszca też nigdy nie polował. Powiedzieli mu, że ma wykonywać wszystkie moje wskazówki na polowaniu. Pojechaliśmy na to polowanie, no i już trzeba podchodzić pod głuszca. Więc ja jego wziął za rękę i idziemy. Teren był bagnisty, miejscami jeszcze zamarznięty, bo to początek marca. W pewnej chwili odzywa się głuszec. Trzeba teraz podchodzić po cichutku, i to w pieśń. Jak ja skoczę, trzymam go za rękę, to i on. Przebiegliśmy kilkanaście kroków, nagle mój gość potknął się i upadł w bagno. Wtedy ja go za kark i trzymam, bo było niebezpiecznie. Głuszec pieśń przerwał, ale ja trzymam go dalej, żeby nie spłoszyć ptaka. On tak na mnie patrzy miłosiernie, jakby się mnie przestraszył. Nareszcie głuszec znowu zaczyna. Puściłem Włocha. Podskoczyliśmy jeszcze ze dwadzieścia metrów. Strzelił, głuszec nasz. Wróciliśmy do Białowieży do pałacu i wtedy mój gość zaczął się śmiać i powiada:

— Wiecie, panowie, a ja myślałem, że ten strażnik to mnie chciał zamordować...

### OPOWIEŚĆ TRZECIA

Najzabawniejsza przygoda spotkała jednak hrabinę Ciano, która przyjechała zapolować w Białowieży na rysia. Rysia spudłowała, ale protokół dyplomatyczny nie pozwalał, żeby mogła spudłować. W tym samym czasie jeden z towarzyszących polowaniu naszych myśliwych strzelił rysia, więc powiedziano mu, że ze względów wyższych trzeba uznać, iż tego rysia strzeliła hrabina. Był to jednak pierwszy ryś owego myśliwego, też zaczął się sprzeciwiać, wreszcie wpadł na chytry pomysł i zaproponował, że dostarczy hrabinie wypraw'oną skórę zwierzęcia.

Hrabina wróciła do Włoch, myśliwy zatrzymał rysia, natomiast kupił w Warszawie, gotową, spreparowaną skórę. Bardzo uroczyście wręczał ją w Rzymie pani Ciano ambasador Wieniawa-Długoszewski. Powszechny zachwyt, gratulacje, zwłaszcza że ryś to zwierz we Włoszech nie znany. Traf chciał, że na uroczystości wręczania był pewien profesor zoologii, który najpierw mocno się zdumiał, a potem zaczął wykrzykiwać:

— To niezwykłe! To fascynujące Fachowa literatura nic o tym nie mówi, że na terenie Polski żyją kanadyjskie rysie!

### OPOWIEŚĆ CZWARTA

Dostaliśmy zarządzenie, żeby w Białowieży zaprowadzić niedźwiedzie. Przywieziono z ogrodu zoologicznego osiem młodych sztuk. Poiliśmy je mlekiem, póki nie podrosły. Wtedy wyprowadziliśmy niedźwiedzie do lasu. Wypuściliśmy je z klatek, ale jak my zaczęliśmy iść do domu, to one za nami. Jakoś je wreszcie odpędziliśmy. Za parę dni przyszły do wsi, do Białowieży. Ludzie przed nimi uciekają. Spotka robotnik leśny takiego niedźwiedzia, ucieka, a niedźwiedź za nim, bo chce, żeby mu dał chleba. Wreszcie człowiek zmęczony pada, niedźwiedź przychodzi do niego i liże. Później wyjdą na pola, na pszenicę, zaczynają urządzać swoje żniwa. Gospodarze alarmują, że co to się dzieje, inspektor wysyła nas, żeby niedźwiedzie przepędzać do lasu. Ale one boją się lasu. Szukają ludzi.

Nie było rady, trzeba było strzelać do nich solą albo drobnym śrutem. No i tak żeśmy odzwyczaili je od ludzi. Po trzech — czterech latach niedźwiedzie przeszły w stan dziki. Zaczęły napadać na ludzi. Dwa były takie groźne. Inspektor zarządził, żeby je schwytać.

Za jagiellońskim nadleśnictwem mieszkał leśniczy Kurażyński, który trzymał pszczoły. Jeden niedźwiedź — zbójca przychodził tam podbierać miód. Wstawiliśmy miskę z miodem do stodoły. Przyszedł i zjadł. To dobrze, na drugą noc znowu przyjdzie. Zbudowaliśmy klatkę z klapą na sznurku, wstawiliśmy miód do klatki. Usiadłem na górze na żerdzi i trzymam za sznurek. W nocy przyszedł niedźwiedź. Ostrożnie podszedł do klatki. Schwycił łapą miednicę z miodem, wyciągnął i miód pożarł.

Nalaliśmy miodu do garnka, a garnek przywiązaliśmy za ucho do klatki. Na drugą noc znowu czatujemy. Niedźwiedź był już teraz śmielszy, wszedł do klatki, a ja spuściłem klapę.

---

## ANDRZEJ GRUN

## PLASTYKA

# MIEJSCE DLA TKANINY

**W październiku i w listopadzie ub. roku odbyły się w Łodzi w salach Muzeum Historii Włókiennictwa Pierwsze Targi Polskiej Tkaniny Artystycznej. Organizatorami Targów były Zakłady Artystyczne Związku Polskich Artystów Plastyków — Doświadczalne Pracownie Plastyczne — Łódź oraz Biuro Handlu Zagranicznego „DESA" — Warszawa. Tkaniny artystyczne, eksponowane na Targach, mogli nabywać zarówno klienci krajowi jak i zagraniczni; zarówno osoby prywatne jak i przedsiębiorstwa i instytucje. Należy dodać, iż poziom artystyczny wystawionych na Targach tkanin unikatowych oceniony został wysoko. Impreza miała charakter handlowy. Zaskoczeniem dla organizatorów była duża, o wiele większa niż na innych ekspozycjach par excellence artystycznych, liczba osób zwiedzających (ponad 200 dziennie). Przypuszczać należy, iż z faktu tego potrafią oni wyciągnąć korzystne dla imprezy wnioski.**

Ale jak powiedzieliśmy — impreza miała charakter przede wszystkim handlowy. Więc pytania: sprzedano? ile i za co? komu? Zanim odpowiemy na nie, godzi się jeszcze wspomnieć, iż po zamknięciu Targów odezwały się głosy o-

Dalszy ciąg na str. 15

---

zrobienie portretu z uporem, jaki znamy u handlarza „stalowymi spinaczami do włosów" z ulicy Piotrkowskiej.

Szczęśliwi kolekcjonerzy wywożą za Atlantyk swe konterfekty, przyozdobione w napis: „Paris", gwarantujący niejako wartość wyrobu. Trudno nawet powiedzieć, abym się temu nazbyt dziwił, skoro wielu naszych nawet renomowanych artystów woli podpisywać i opisywać swe dzieła w języku francuskim, co ma dowodzić niewątpliwej ich europejskości i przynależności do kultury łacińskiej.

Młodzi, starzy z całej Europy (i nie tylko), w pelerynach i bez — rysują, malują, wycinają sylwetki w czarnym papierze i przesiadują w kafejce, która dostosowując się do sytuacji zachowała optyczny charakter „mordowni" z epoki apaszów. Wszyscy oni zapytani o zawód, odpowiadają z dumą: „artiste peintre". Pozwala to nieco łagodniej ocenić nieufność urzędniczki z urzędu paszportowego. Dzieło sztuki, a więc i artysta stały się przemysłem w tym mieście. Jak w każdym przemyśle istnieją mistrzowie, wyrobnicy i obiboki. Paryż jest tym miastem, którego każdy niemal mieszkaniec wie coś nie coś o sztuce. Jest jednocześnie miastem, w którm studentka III roku humanistyki w swobodnej towarzyskiej rozmowie zapytała mnie, czy Polska ma dostęp do morza. Nie wnioskuję stąd pochopnie, że nie miała ona dostępu do książek.

Malownicze uliczki słynnego Montmartre'u poprzetykane są, niczym świąteczny placek, rodzynkami, pracowniami malarzy, rzeźbiarzy grafików, którym nie znane jest uczucie zażenowania. Odsłonięte okna-witryny podsuwają pod nos w artystycznym nieładzie nagromadzony towar. Imitatorstwo i nieudolność stanowią zgrany tandem.

Wielki podziw zawsze budził we mnie brak przywiązania do dyplomu uczelni artystycznej wśród studentów paryskiej Beaux Arts. Tłumaczono mi cierpliwie, że nieważny jest papier z oficjalnymi pieczęciami, lecz talent i umiejętności. W sumie myślę podobnie z tym jedynie warunkiem, że będzie to talent rzeczywisty i umiejętności niewątpliwe.

Sądzę, że większość spośród artystycznych rezydentów Placu du Tertre nie lubi być nauczana i pouczana. Postawili na samorodność artysty, niechętni akademiom i profesorom.

Znany mi jest przypadek pożarcia dyplomu przez jednego z rodzimych adeptów sztuki, co miało znamionować uniezależnienie się twórcy od akademickich wzorców. Aczkolwiek osobiście przedkładam sznycel po wiedeńsku nad twarde okładki, skłonny jestem jednak zrozumieć ten akt kulinarnego samozaparcia. Zrozumieć o tyle, o ile można nabrać awersji do okrągłych i pozornie kompletnych sformułowań przekazywanych w okresie studiów artystycznych.

Ludzie z Placu du Tertre, mimo że najbardziej widoczni, jednak z Bogiem a prawdą (i na szczęście) nie stanowią o prawdziwym obliczu środowiska artystycznego Paryża.

Skupione niczym skansen na lewym brzegu Sekwany galerie prezentują dorobek wszystkich tych, którzy każdą próbę indentyfikacji z „tymi z placu" uznaliby za osobistą zniewagę. Zarówno ci młodzi, nikomu nie znani, jak i artyści, których nazwiska są symbolem sukcesu i wyznacznikiem drogi sztuki współczesnej.

Przyjmując nasz specyficzny system oceny — kto jest artystą a kto nim nie jest — można założyć, że cała ta wielka rzesza ludzi, żyjących lub probujących żyć z malarstwa, stanowi przeogromny ruch plastyków-amatorów. Z reguły są to ludzie bez żadnej legitymacji i formalnej przynależności do jakiejkolwiek oficjalnej organizacji artystycznej. Wyłącznie skala i poziom twórczości ich łączy, a nade wszystko właśnie to ich dzieli.

Nie znane są mi formy opieki Republiki Francuskiej nad jej artystami, nie wątpię jednakże, iż minister kultury pan Duhamel, ma noce niespokojne a dni pracowite. Dużo artystów — duża klęska.

# Nie śpij, bo cię okradną

Czerwcowy, wczesny ranek zapowiadał piękny dzień. Śpieszącą do pracy kierowniczka kiosku spożywczego nr 3 w R. przystanęła przed stojącym nie opodal stacji kolejowej kioskiem i wyciągnęła klucze...

**„...kierowniczka Stefania D stwierdziła brak kłódek przy drzwiach. Szczegółowe oględziny drzwi, skobli, antab żelaznych nie ujawniły żadnych uszkodzeń, zadrapań lub zarysowań na częściach metalowych i drewnianych. Użyto specjalnego magnesu do ewentualnego ujawnienia opiłków metalowych, lecz takowych nie znleziono..."** — stwierdzał protokół, sporządzony kilka godzin później. Straty oceniono zaledwie na 1.400 zł, ukradziono kilkadziesiąt sztuk czekolad, trzy puszki konserw i 320 zł gotówką.

**— Kiedy zauważyłam brak kłódek, zawołałam dozorcę nocnego, którego zadaniem było pilnowanie znajdujących się nie opodal magazynów GS oraz mojego kiosku. Powiedziałam mu: — Panie M., jak pan pilnuje? Przy kiosku nie ma kłódek...** — zeznawała Stefania D.

**— Przez całą noc sprawdzałem dokładnie wszystkie magazyny** — mówił dozorca. — **Kiosk spożywczy sprawdzałem trzy razy: o godz. 2, o godz. 3 i ostatnio o godz. 5 rano. O godz. 3 i o godz. 5 było widno. Stwierdzam z całą stanowczością, że o godz. 5 sprawdzałem kiosk spożywczy i że przy drzwiach wejściowych wisiały kłódki i były zamknięte, gdyż szarpałem je. Psy, z którymi chodziłem w czasie służby, nie szczekały. Jakby wyczuły obcego, to by szczekały. Od 5 do 6.30 siedziałem przed portiernią na krzeselku i nikogo z obcych nie widziałem. Kiedy sklepowa stwierdziła brak kłódek, zawiadomiłem milicję i pilnowałem kiosku do przybycia funkcjonariuszy. Zauważyłem też, że jak sklepowa podeszła do kiosku i wyjęła klucze, to przez dłuższą chwilę stała nieruchomo.**

Dochodzenie trwało. Niebagatelne znaczenie miało w nim właśnie owe zeznanie nocnego dozorcy, tym bardziej że większość poszlak obciążała nie kogo innego, a właśnie sklepową Stefanię D.

Szczegółowy remanent wykazał, że w kiosku brakowało towaru o wartości ponad 7 i pół tysiąca złotych. Milicji było wiadomo, że w kwietniu córka sklepowej miała wesele i właśnie w dzień przed uroczystością, o godz. 21,30 pod kiosk zajechał „Żuk" i coś tam przez pół godziny do niego ładowano. Stwierdził to z całą stanowczością ten sam dozorca, Józef M., który chcąc nie chcąc znalazł się sam w gronie podejrzanych o włamanie, a w jego mieszkaniu dokonano nawet rewizji, która nic nie wykazała. Podobnie jak w mieszkaniu Stefanii D., nie dała spodziewanych rezultatów. Sklepowa nie zaprzeczała, że przed weselem córki podjechała furgonetką pod sklep, ale pożyczyła stamtąd tylko pojemniki na pieczywo i wędlinę. Cóż, kiedy wszystko wskazywało na to, że nikt inny, jak tylko właśnie sklepowa Stefania D. uprzedzała włamanie, by w ten sposób pokryć powstałe w sklepie braki.

W jednym z aresztów w mieście powiatowym województwa łódzkiego oficer śledczy przesłuchiwał włamywacza.

**— Przyznaję się do włamania do sklepów w J., w G. i... do kiosku spożywczego w R.. W nocy wyszedłem od znajomego w R., kiedy wszyscy spali. Wziąłem klucz francuski, który miałem pod siedzeniem w motorze. Do kiosku podszedłem od razu, ponieważ w pobliżu nie widziałem żadnych osób, jak również stróża. Urwałem dwie kłódki przy drzwiach znajdujących się w ścianie frontowej kiosku, a następnie wszedłem do środka. Kłódki wyrzuciłem...**

Włamywacz poniesie zasłużoną karę. Sklepowa Stefania D. nadal pracuje, podobnie jak trzeci bohater tej opowieści — dozorca nocny Józef M.

Morał stąd tylko płynie taki, że nocny stróż — jak sama nazwa wskazuje — powinien w nocy czuwać, a nie spać, a później zacierać ślady po włamaniu, aby tym zatrzeć ślady swojej głupoty.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

# W SŁUŻBIE PRZYJAŹNI

**Od 25 lat nieprzerwanie funkcję sekretarza Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej pełni WŁADYSŁAW STRZELECKI.**

**— Przez 25 lat nieprzerwanej pracy zebrał Pan wiele doświadczeń w pracy zawodowej i społecznej?**

— Jest to praca zawodowa, która skierowana jest w sferę pracy społecznej. Działamy w różnych środowiskach: na wsi, w mieście, w zakładach pracy, w szkołach. Popularyzujemy tam wiedzę o Związku Radzieckim, jego społeczeństwie, osiągnięciach w dziedzinie nauki, techniki, kultury. Popularyzujemy politykę międzynarodową Kraju Rad.

Działalność nasza — zarówno Zarządu Wojewódzkiego, jak i zarządów powiatowych — spotyka się z serdecznym przyjęciem i wielkim zainteresowaniem społeczeństwa województwa łódzkiego. To zainteresowanie mobilizuje nas — działaczy TPPR — do jeszcze większych wysiłków, zobowiązuje nas do szukania coraz to bardziej atrakcyjnych i interesujących form działania.

**— Jakie to formy?**

— Najszerzej znaną jest konkurs na piosenkę radziecką. Trwa już 12 lat. Zaczynamy go w najniższych ogniwach, a następnie poprzez eliminacje szkolne, zakładowe, środowiskowe, powiatowe, miejskie i wojewódzkie kandydaci dochodzą aż do festiwalu w Zielonej Górze. Festiwale te, dzięki Telewizji Polskiej ogląda cały kraj.

**— Czy województwo łódzkie zanotowało w tej dziedzinie jakieś sukcesy?**

— Nasi przedstawiciele brali kilkakrotnie udział w koncertach w Zielonej Górze. Byli to przedstawiciele Zduńskiej Woli, powiatu wieluńskiego i Piotrkowa Trybunalskiego.

Ale wróćmy do naszych długofalowych przedsięwzięć. Drugim takim przedsięwzięciem jest Olimpiada Języka Rosyjskiego dla młodzieży szkolnej. Ostatnio finałowe eliminacje tej Olimpiady odbywały się w Moskwie. Brali w nich udział przedstawiciele szkół z krajów socjalistycznych.

Trzecim takim przedsięwzięciem jest organizowany co drugi rok Konkurs Recytatorski Poezji Radzieckiej.

Do tych wieloletnich, długotrwałych przedsięwzięć doszedł ostatnio Turniej Wiedzy o Włodzimierzu Leninie, organizowany wspólnie z CRZZ. W skali kraju wygrał go przedstawiciel Pabianic.

**— To są te wielkie, długofalowe przedsięwzięcia. A inne?**

— To już sprawa naszej codziennej pracy. Składają się na nią między innymi stałe kontakty z zespołami artystycznymi Domu Kultury Radzieckiej w Warszawie, redakcją „Kraju Rad", zespołami Armii Radzieckiej, a także odwiedzającymi nas systematycznie delegacjami Ziemi Smoleńskiej.

**— Województwo łódzkie od lat współpracuje z Ziemią Smoleńską.**

— Tak, ale odwiedzają nas też delegacje z innych rejonów Związku Radzieckiego. Są to najczęściej przedstawiciele różnych grup zawodowych i środowisk. Przebywając na Ziemi Łódzkiej zapoznają się z naszymi osiągnięciami, problemami, dokonują wymiany doświadczeń. Spotkania z ludźmi województwa łódzkiego, którzy posiadają znaczną wiedzę o Związku Radzieckim, ułatwiają wymianę poglądów.

**— Ale tę wiedzę popularyzuje głównie TPPR.**

— Prowadzimy szeroką akcję odczytów. Na spotkaniach w różnych środowiskach mówimy o tradycji przyjaźni między narodem polskim a rosyjskim, o rozwoju ZSRR, jego pokojowej polityce, a także osiągnięciach nauki i techniki w poszczególnych dziedzinach życia. Są to odczyty organizowane centralnie, przez lektorów z Warszawy, przez naszych lektorów z województwa oraz przez lektorów w powiatach. Organizujemy te odczyty niemal we wszystkich środowiskach — zarówno w dużych miastach, jak i na wsi, w zakładach pracy i w szkołach.

Popularyzujemy też Związek Radziecki w setkach fotogramów.

**— Czyli propaganda wizualna, o której niedostatkach tak teraz głośno.**

— Dzięki pomocy ZG TPPR, redakcji „Kraju Rad", Agencji Prasowej „Nowosti" dysponujemy sporym zestawem fotogramów i wykorzystujemy to w naszej codziennej pracy.

Ale jest to tylko jedna z licznych form naszej działalności. Dużą wagę przywiązujemy do występów estradowych artystów radzieckich. Jak tylko trafia się nam okazja, korzystamy z takich możliwości i organizujemy koncerty w miastach województwa łódzkiego. Spotykają się one z serdecznym przyjęciem i dużym zainteresowaniem.

**— Podobnie zresztą jak i działająca od lat „Estrada Przyjaźni". Jest to chyba inicjatywa województwa łódzkiego?**

— „Estrada Przyjaźni" powstała przed niespełna 20 laty, a pomógł nam w jej utworzeniu — ówczesny pracownik Filharmonii Łódzkiej — Janusz Cegiełło. Daje ona koncerty w zakładach pracy, w szkołach, a nade wszystko — na wsi. W ramach „Estrady Przyjaźni" występują artyści scen łódzkich, a czasem i warszawskich. W czasie koncertu urządzamy też krótki konkurs wiedzy o ZSRR. Te nasze inicjatywy spotykają się z dużym uznaniem szczególnie na wsi.

**— A inne wasze inicjatywy?**

— Typowo łódzką inicjatywą była Olimpiada Języka Rosyjskiego organizowana dla młodzieży szkolnej. Otrzymała ona rangę imprezy ogólnopolskiej, a z doświadczeń Polski skorzystały i inne kraje socjalistyczne.

Zorganizowaliśmy również konkurs poetycki, na który od 100 autorów wpłynęło 300 prac. Dziesięć z nich nagrodzono, a 25 wydano w zbiorku. Wydawcą było Wydawnictwo Łódzkie.

**— Jak przedstawiają się kontakty społeczeństwa województwa łódzkiego ze Związkiem Radzieckim?**

— Stosujemy różne formy kontaktów. Organizujemy „Pociągi Przyjaźni". W ubiegłym roku zorganizowaliśmy dwa pociągi z powiatów: kutnowskiego i z Tomaszowa Mazowieckiego. Ostatnio z podobną inicjatywą wystąpił Zarząd Powiatowy TPPR w Łowiczu.

A poza tym trzeba wymienić sporo wycieczek do ZSRR organizowanych wspólnie z „Orbisem". To wszystko ludziom z województwa umożliwia bliższe poznanie Związku Radzieckiego.

Chciałbym tu jeszcze wrócić do współpracy województwa łódzkiego z Ziemią Smoleńską. Ta współpraca trwa już od 12 lat. Od 7 lat TPPR w naszym województwie współpracuje z Towarzystwem Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Smoleńsku.

Podobne kontakty utrzymujemy z 15 miastami ZSRR, a jest wśród nich Mińsk, Wilno, Nowosybirsk, Alma Ata, Kijów, Swierdłowsk, Kazań, Riazań, Taszkient, Lwów. Otrzymujemy stamtąd różnorodne materiały. W tym roku postanowiliśmy zaprosić do województwa łódzkiego delegacje ze Smoleńska, Kijowa, Nowosybirska i Taszkientu.

**— Jest tych form pracy dużo i są one bardzo różne.**

— Staramy się docierać poprzez różnorodność form oddziaływania do wszystkich środowisk społecznych Ziemi Łódzkiej, rozumiejąc, że nasza rola polega na umacnianiu przyjaźni między naszymi narodami — między narodami Związku Radzieckiego a narodem polskim, rozumiejąc, że sojusz z pierwszym państwem socjalistycznym jest gwarancją nie tylko naszej siły, bezpieczeństwa, pokoju, ale też wszechstronnego rozwoju.

**Rozmawiała:**
**BOGDA MADEJ**

*Fot. Archiwum*

**WŁADYSŁAW STRZELECKI** urodził się w 1915 roku w Borzymowicach w powiecie włocławskim. Jest absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Łęczycy i Uniwersytetu Łódzkiego. Pracował jako instruktor kulturalno-oświatowy, nauczyciel, a w czasie wojny jako robotnik. Po wyzwoleniu był przewodniczącym PRN w Łęczycy, długoletnim radnym WRN, działaczem FJN.

Do roku 1949 był sekretarzem Wojewódzkiego Zarządu Stronnictwa Ludowego, a w latach 1951—1956 członkiem Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łodzi. W latach późniejszych pracuje w komisjach WK ZSL.

Od 1949 roku pełni nieprzerwanie funkcję sekretarza Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

W 1933 roku w łódzkim konkursie poetyckim otrzymał pierwszą nagrodę za wiersz pt. „Matka". W 1936 roku wydał zbiór wierszy pt. „Czerwone jagody". W dwa lata później — powieść pt. „Bracia".

W 1947 roku ukazał się zbiór jego wierszy pt. „Pieśni niepodległe", w 1950 roku otrzymał drugą nagrodę Rady Narodowej m. Łodzi za poemat pt. „Śpiew o trudzie".

Nakładem Rosyjskiego Stowarzyszenia Kulturalnego ukazały się „Arkusze poetyckie" Władysława Strzeleckiego: „Dzień się zaczął" w 1969 roku, „Śpiew o trudzie" w 1971 roku i w tym samym roku „Polska".

W 1961 i 1963 roku był laureatem nagrody im. Tomasza Nocznickiego, przyznawanej przez Naczelny Komitet ZSL za publikacje w prasie ludowej.

W 1971 roku otrzymał nagrodę województwa łódzkiego.

Jest kawalerem Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

## BUDOWNICZYM

**Sławię Was mojej pieśni**
**Powszednim słowem.**
**Dzień po dniu z Wami jestem**
**W miejscach budowy.**

**Często wskazuję innym**
**Wasz przykład dobry —**
**Myśl jasną, ręce zwinne**
**I serca szczodre.**

**Dziełom z pracy wyrosłym**
**Hołd składam w wierszu**
**I darzę Was miłością**
**Moją najszczerszą.**

**1965**

# Tajemnice czwartego wymiaru

Dalszy ciąg ze str. 1

łem się dotrzeć do widzenia osoby, od której ona pochodzi; znalazłem się w jakimś obszernym pokoju, przyćmionym grubymi firankami w oknach, pośród ciężkich staroświeckich mebli widziałem stół czy biurko z ciemnego drzewa; pochylona nad nim osoba kreśliła na kartce to, co mi dano potem do odgadnięcia; po sposobie prowadzenia piórem łatwo wywnioskowałem, że nie są to wyrazy, nawet nie litery. Wpatrzyłem się baczniej — stwierdziłem, że jest to jakiś rysunek — niejako samo mi się we mnie obliczyło, że rysująca ręka poprzestała na kilku tylko kreskach. Po sposobie kreślenia widziałem, że nie może to być nic innego tylko figura geometryczna. Wydawało mi się, że 4 razy nie więcej, pociągnięto na papierze".

**Telepatia i jasnowidzenie należą do zjawisk budzących kontrowersyjne komentarze. Przez wiele lat uważano u nas, że podobne zjawiska nie istnieją i niewiele mówiło się na ten temat a jeszcze mniej pisało. To co nie jest znane niechętnie się przejmuje. Oto przykład traktowania maszyny parowej przez warszawiaków w końcu XIX wieku zaczerpnięty z książki W. STERNERA pt. „Narodziny kolei".**

— „Cukiernik pewien, przybyły z francuskiej Szwajcarii, nazwiskiem Bisier, wynajął był w nowo wybudowanym na Krakowskim Przedmieściu domu zwanym Pałacem Grodzickich, wspaniały lokal na parterze, w którym oprócz cukierni chciał urządzić fabrykę czkolady. W tym celu sprowadził z zagranicy elegancką kilkukonną machinę parową, którą ustawił w ogromnym, z jednej tafli szkła, oknie od ulicy. Rzecz ta, niesłychana podówczas w Warszawie, wzbudziła niepokój wśród lokatorów domu, którzy obawiali się wysadzenia w powietrze. Jakkolwiek znalazło się kilku gapiów co odważnie zbliżali się do okna, w którym funkcjonowała machina, większość spokojnych przechodniów przechodziła ostrożnie na drugą stronę ulicy. W końcu władza rozkazała by machina piekielna co naraża całą dzielnicę miasta na wysadzenie w powietrze, została natychmiast usunięta. Bisier wskutek tego zbankrutował".

**Dziś nikogo nie przeraża machina piekielna — era pary przeminęła, mija era elektryczności a ludzkość odkrywa coraz to nowe zastosowania siły atomowej. Równolegle z postępem techniki następuje rozwój innych dziedzin m.in. badań nad nie rozwiązanymi jeszcze zjawiskami telepatii, jasnowidzenia i telekinezy, które prowadzi się intensywnie w wielu krajach, m.in. ZSRR, USA, a nawet w Holandii. Tym właśnie badaniom poświęcony był odbyty niedawno I Międzynarodowy Kongres Badań Psychotechnicznych w Pradze.**

**Zatrzymajmy się na chwilę w Holandii. MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ w swojej książce pt. „Niezbadane ścieżki wychowania" pisze:**

„Ogół po staremu krzywi się na telepatię. A tymczasem ... Na Uniwersytecie w Utrachcie działa od lat Instytut Psychopatologii współpracujący stale i systematycznie z... policją kryminalną. Zacytujemy za „Science et Vie" fragment notatki służbowej komisarza policji holenderskiej J. Anstoota z miejscowości Zvilichen:

**„8 lipca 1959 roku zostałem powiadomiony o zniknięciu, prawdopodobnie utonięciu 13-letniego chłopca... Sondowanie dna Renu i poszukiwanie z łodzi nie dały żadnego rezultatu...**

**11 lipca na żądanie rodziców zwróciłem się do p. Croiseta, który tego dnia znajdował się w Enschede ... Nie wypytując o bliższe dane p. Croiset podał mi, że trup znajduje się w chwili obecnej w odległości 10—12 metrów na zachód od pewnej boi, charakterystycznej przez to, że posiada szczerbę i w odległości 30 do 50 metrów od jakiejś tratwy lub pomostu do lądowania, że w miejscu tym w tej chwili znajduje się statek stojący prostopadle do brzegu rzeki i że trup powinien się znajdować u północnego brzegu rzeki... Zapytałem p. Croiseta, czy statek ten jest promem. Odpowiedział na to, że nie potrafi tego określić".**

Dalej idzie opis poszukiwania tego miejsca przy założeniu, że poprzecznie przecinający rzekę statek jest promem. Gdy w dwie godziny potem policja odszukała miejsce posiadające wyszczerbioną boję, prom i pryzmę kamienną przy brzegu, przypominającą pomost do lądowania, odnalazła zwłoki, ale już o sto metrów dalej co odpowiadało drodze, którą mogło przebyć przez ten czas ciało pod działaniem prądu rzecznego.

Śmiejemy się dotąd tradycyjnie z telepatii, uważamy ją za wymysł oszustów lub ignorantów.

A tymczasem w Związku Radzieckim w roku 1960 i 1961 odbyło się wiele dyskusji i konferencji elektroników, psychologów, lekarzy i psychiatrów, poświęconych tej właśnie sprawie. W samym tylko roku 1960 odbyły się w Moskwie i Leningradzie trzy takie konferencje. Sprawozdania z ich przebiegu znajdziemy w czasopiśmie „Znanie i żyźń" nr 2 z 1961 roku.

**Tak pisał M. Kozakiewicz w książce wydanej w 1964 roku. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło. U nas i zjawiska te są bardzo rzadko tematem publikacji. O atmosferze jaka panuje w tej dziedzinie najlepiej świadczy to, że pewien znany lekarz posługujący się z powodzeniem hipnozą unika dziennikarzy w obawie, że ogół czytelników posądzi go o szarlatanerię lub wręcz kuglarstwo.**

**Na sali obrad Międzynarodowego Kongresu Badań Psychotronicznych w Pradze wśród naukowców z całego świata znalazł się Tofi Daszew z ZSRR — najlepsze medium telepatyczne w tym kraju. W trakcie obrad (w których uczestniczyli naukowcy z całego świata, ale nie było Polaków) padło znamienne sformułowanie zmarłego fizjologa radzieckiego Leonida Wasiliewa.**

„Odkrycie energii biologicznej posiadać będzie dla ludzkości taką samą wagę jak odkrycie energii atomowej".

**Tak na pewno będzie tyle tylko, że nasza obecna wiedza w Polsce w tej dziedzinie niewiele odbiega od tego co wiedziano w czasach, gdy Adam Grzymała — Siedlecki spotykał się ze Stefanem Ossowieckim.**

MACIEJ ZDZIENICKI

ЛИТЕРАТУРНАЯ ГАЗЕТА
№ 1 (4446)
9 января 1974 г. СРЕДА

**„Obecnie szaleństwa rozprzestrzeniają się na podobieństwo chorób zakaźnych"** – stwierdził książe **FRANCISZEK de la Rochefoucauld,** autor głęboko mądrych aforyzmów. Miary szaleństw zupełnie niedawno dopełniło urzeczenie kiczem, jakie ogarnęło paryskich, a następnie innych europejskich i amerykańskich snobów. Urzeczenie istotnie rozprzestrzeniające się z szybkością epidemii grypy.

Modne na Zachodzie słowo **„kicz"** ma interesujące pochodzenie. Powstałe przeszło sto lat temu w kręgach monachijskiej cyganerii artystycznej, było używane przede wszystkim dla oznaczenia banalnych, niewyszukanych płodów literackich. Następnie znaczenie tego słowa rozszerzyło się i zaczęto określać nim wszelki brak gustu, **„niezliczone rodzaje pseudoartystycznego, ckliwego naśladownictwa dzieł sztuki". (Wielki Słownik Dudena).**

### SŁOMIANE PANTOFLE

Obecnie Zachód opanowała moda programowego złego gustu. Triumf kiczu w Paryżu — tradycyjnej stolicy wykwintnego smaku — mógłby okazać się zaledwie kaprysem mody, na podobieństwo sztuki wymagającej ofiar, zmuszającej modnisie do noszenia topornej „biżuterii" z plastyku i zadawania szyku pantofelkami ze słomy. Jednakowoż kicz jest czymś więcej niż kolejnym dziwactwem zblazowanych snobów od dawna stanowiących łatwy cel felietonowych uszczypliwości.

Jedna z francuskich dziennikarek wymienia wszystko to, co według niej powinno zaliczyć się do kiczu:

**„Kicz to kolorowy tatuaż amerykańskich dziewczyn, różowe cadillaki, luksusowa rewia w kabarecie „Folies Bergère", historyczne szlagiery kinowe, filmy o wampirach, okulary z mikrotranzystorowym odbiornikiem w oprawce, pseudoorientalne pamiątki, sklepiki z literaturą porno, popularne magazyny ilustrowane, prospekty reklamowe itd."**

W tym różnorodnym wykazie kicz w rzeczywistości staje się uogólnionym pojęciem różnych form „kultury masowej" społeczeństwa zachodniego.

Inaczej zapatruje się na to **Jacques Sternberg,** jeden z założycieli i redaktorów paryskiego czasopisma artystycznego **„Kicz".** Wspominając o sporach, jakie wybuchły w łonie kolegium redakcyjnego przy próbach zdefiniowania pojęcia „kicz", pisze:

**„Dla jednych „kicz" przedstawia to, co najżałośniejsze, najbardziej ordynarne i płaskie w sztuce. Inni mieszali kicz z pop-artem. Trzeci mają czoli coś o pornografii, która jest zaledwie jednym z licznych odgałęzień kiczu. Pozostali wreszcie przekonywali, iż jest to wynik odmienności dawnej sztuki, kiedy w modzie był idiotyczny wdzięk „cudownej epoki" 1890—1914".**

Francuski socjolog, dyrektor Instytutu Psychologii Społecznej Uniwersytetu Sztrasburskiego, **Abraham Moles,** jest autorem badań dotyczących „psychologii kiczu". Stwierdził on, że kicz jest **„specyficznym rodzajem estetycznego traktowania rzeczywistości, stosunku człowieka do przedmiotu".** Kicz, usilnie krzewiony na Zachodzie, jako styl życia i wzorzec „kultury" dla szerokich mas, wciela dążność niektórych myślicieli i działaczy do „uzdrowienia" ideologicznej, moralnej i estetycznej atmosfery społeczeństwa konsumpcyjnego.

**„Kicz nabiera wszechogarniającego znaczenia** — twierdzi zachodnioniemiecki socjolog, Christian Keller, w swej książce „Światowa kariera kiczu" — **ponieważ nasza kultura obarczona jest przeciwieństwami, które poszczególnym jednostkom wydają się nie do pogodzenia". W kiczu dopatruje się „wyrazu standardyzowanej sztuki, elementu cementującego utracone poczucie celowości życia".**

Tak pojęta „kultura masowa", która stawia przed sobą zadanie umocnienia społeczeństw w przekonaniu o wartościach współczesnego, kapitalistycznego świata, sprowadzenia do tego wzorca całości wewnętrznego życia człowieka — jest czymś wręcz przerażającym. Niepohamowana propaganda okrucieństwa i seksu, przemocy i patologii sprzyjała utracie „celu życia". Zdaniem większości naukowców i publicystów odczłowieczanie życia duchowego na Zachodzie doszło zbyt daleko.

**„Po obu stronach Atlantyku** — pisał paryski tygodnik „L'Express" — **daje się obecnie słyszeć nowe hasło wzywające do walki o jakość życia".**

### CZYM JEST „SINISTROZA"

Równocześnie po obu brzegach Atlantyku jedna po drugiej ukazują się książki, których autorzy, tuszując silne kontrasty klasowe i przeciwieństwa rzeczywistości zachodniej, usiłują dowieść, iż **„podstawową siłą społeczeństwa konsumpcyjnego jest prawo każdej jednostki do maksymalnego rozwoju".** Ta optymistyczna deklaracja wzięta jest z francuskiej książki **„Niech żyje społeczeństwo konsumpcyjne!".** Twierdzi się w niej z całą stanowczością, że zadaniem publikatorów jest przekonywanie opinii, że współczesny kapitalizm osiągnął zadowalający stopień **„praktycznego zbratania ludzi"** i dostateczną „jakość życia". Autor nie silił się na oryginalność, gdyż już przed nim niektórzy „myśliciele" nazywali współczesne **społeczeństwo konsumpcyjne — rajem, jaki udało się stworzyć ludzkości na swojej długiej i ciernistej drodze.**

Wszystko też układałoby się zachwycająco i bezkonfliktowo, gdyby cywilizacje Zachodu nie cierpiały na **„sinistrozę"** (od francuskiego: „sinistre" — nieszczęsny, zgubny, katastroficzny — przyp. tłum.), czyli rodzaj obsesyjnego widzenia świata w ponurych, mrocznych barwach. Jak się więc okazuje — atmosferę ogólnego dobrobytu i zadowolenia mącą tylko poszczególni intelektualiści i buntownicza młodzież ogarnięta głębokim pesymizmem, odnoszącym się do społeczeństwa konsumpcyjnego i perspektyw jego rozwoju.

I tu dochodzimy do istoty kiczu. Oto stanowi on „sztukę szczęścia", co potwierdzają badania cytowanego wyżej **A. Molesa „Psychologia kiczu, sztuki szczęścia"** — więcej, stanowi antidotum na „sinistrozę".

### SZTUKA Z „PCHLEGO RYNKU"

Kicz, według tego uczonego, nie tylko charakteryzuje styl „kultury masowej", ale również wciela jej istotę. Według Molesa, kicz nie zna granic (w dosłownym znaczeniu tego słowa), ponieważ włączone są tu zarówno niegustowne przedmioty codziennego użytku czy dzieła sztuki, jak „działania i sytuacje rzucające wyzwanie poczuciu estetyki, moralności i zdrowemu rozsądkowi". Nie oznacza to jednak, iż kicz rzuca wyzwanie ustrojowi klasowemu. Po prostu trywialność filisterskich gustów ucieleśnioną w kiczu badacz ten podnosi do rangi wieczystej kategorii ludzkiej egzystencji. **„Kicz jest tak odwieczny, jak grzech** — stwierdza. — **Coś z niego jest we wszystkim i w każdym z nas".**

Gdzie jednak odnalazł Moles element kiczu we współczesnej, otaczającej go rzeczywistości? Przede wszystkim w gigantycznych domach handlowych, supermarketach, reklamie i publikatorach. Żaląc się na nieostrość pojęcia „kicz", daje mu zadziwiająco słuszne, demaskatorskie określenie, nazywa go bowiem **„wynikiem funkcji posiadania".**

Kicz powinien, stosując sformułowanie tego autora, upoetycznić **„kojącym, ogłupiającym gustem"** standardowe szczęście standardowej jednostki, dać jej złudę pełni i wszechstronności istnienia, przydać jej bytowaniu szczyptę tego, co niezbędne jest dla stworzenia jakości życia". W kiczu Moles znalazł nawet **„system wychowania społecznego... szkołę sztuki życia",** szkołę, która powinna włączyć jednostkę do systemu zachodnich wartości.

Można więc powiedzieć, że zakupując wszystko, co ci podpowiada reklama, nie powinieneś wstydzić się swego filisterskiego, trywialnego gustu, uczyń konsumpcję sztuką, a uzyskasz szczęście! W psychologii kiczu przejawia się jeden z najbardziej antyhumanitarnych rysów „kultury masowej" — sprowadzenie sztuki do funkcji „rzeczy", zastąpienie stosunku człowieka do sztuki — konsumpcją przedmiotu.

Nie wyjaśniony zostaje wszakże problem, skąd władcy supermarketowych imperiów powinni czerpać ową „poezję" mającą uduchowić „sztukę szczęścia". Paradoksalność tej kwestii polega na tym, że współczesny kicz posługuje się kiczem „klasycznym" z lat 1900-nych. Na słynnym paryskim „pchlim targu" za grosze, bez trudu można zakupić dowolną ilość „arcydzieł" złotego okresu kiczu — wzorów filisterskiego smaku „rozkosznej epoki" lat 1890—1914: luster w złoconych ramach z nimfami i amorkami, gobelinków wyobrażających zadumne piękności i „gotyckie" zamki, szkatułek i puzderek, wielkanocnych pocztówek i tysięcy innych drobiazgów. Z tego źródła czerpie natchnienie kicz współczesny — produkt i wzorzec „kultury masowej".

**„Nostalgia** — ostatni krzyk intelektualnej mody w NRF, Anglii i Stanach Zjednoczonych — twierdzi zachodnioniemiecka gazeta „Die Welt" — **ta tęsknota do bezpowrotnie minionej przeszłości, do okresu młodości naszych babek, do „cudownej epoki", jej architektury i wnętrz, obrazów i książek. Całe życie kulturalne nosi obecnie stygmat tej nostalgii.**

**„Co oznacza to wszystko?** — zapytuje inny publicysta zachodnioniemiecki. — **Jak wyjaśnić, że właśnie nasza epoka tak przyjmuje wpływy innej, już zapomnianej? Dlaczego obiektem wzruszeń i elegijnych westchnień stają się czasy naszych babek, czasy, w których dotąd upatrywano wcielenia prymitywnego naśladownictwa, epigonizmu i wyobcowania człowieka?"**

Autor nie wiąże mody na kicz z ogólnym kryzysem swojej cywilizacji, z krachem jej obyczajowych, estetycznych i ideowych wartości. Mimo to żali się, **że „chyba coś istotnego stracono bezpowrotnie i uczestnikom szczęśliwego społeczeństwa konsumpcyjnego przychodzi zadowalać się „naśladownictwem imitacji".**

„Cudowną epokę" (zwaną tak w jaskrawym zaprzeczeniu surowej prawdy historycznej o tych czasach) — liczni publicyści burżuazyjni — apologeci kiczu — kreują na okres sielankowego szczęścia, promienną Arkadię, erę klasowego i militarnego pokoju. We wszystkich zachodnich czasopismach pojawiają się stylizowane fotografie luksusowych salonów i intymnych buduarów „końca wieku" z wytwornymi damami i nienagannymi dżentelmenami. W Paryżu zaaranżowano bal, gromadzący znakomitości wielkiej finansjery i najwybitniejszych przedstawicieli środowiska artystycznego, odzianych w kostiumy bohaterów powieści Marcela Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu".

Kicz, przypisywany niegdyś filistrom, przeniesiony na grunt współczesny, jest jaskrawym potwierdzeniem twórczej jałowości „kultury masowej". Coraz trudniej przychodzi stwarzanie wzorców załganego świata, ukrywanie istoty społeczeństwa konsumpcyjnego. Dlatego też z pomocą kiczu pewni myśliciele usiłują narzucić woal poetyczności na wartości i ideały tego społeczeństwa. Ale „jakość życia" i walka o nią, do której obecnie wzywa się na Zachodzie, w ostatecznym bilansie również okazuje się kiczem, nową wielką mistyfikacją ideologów i producentów przemysłu kultury.

LEONID TOKARIEW

# TRYUMF KICZU

# ŁODZIANIE 1973

W ostatnim, ubiegłorocznym numerze „Odgłosów" zaprezentowaliśmy Czytelnikom kandydatów do tytułu „Łodzianie 1973". Jest to już szósty tego typu plebiscyt organizowany przez „Odgłosy", a po raz pierwszy wspólnie z „Expressem Ilustrowanym."

Przypominamy, że w naszym plebiscycie do tytułu „Łodzianie 1973" kandydują:

– **Delfina Ambroziak** – solistka Teatru Wielkiego,

– **Jadwiga Andrzejewska** – aktorka Teatru Powszechnego

– **Zdzisław Ciechanowski** – współtwórca elektronicznego urządzenia do bezpośredniego masażu serca „Rekard-4",

– **Wiesław Garboliński** – artysta malarz,

– **Wanda Karczewska** – pisarka,

– **Antonina Kłoskowska** – socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego,

– **Andrzej Olczak** – pracownik „Wifamy",

– **Henryk Rudnicki** – dziennikarz, autor felietonów „Ze środy na piątek", drukowanych w „Głosie Robotniczym",

– **Konstanty Rychtik** – pracownik „Hydrobudowy-6", budowniczy wodociągu Sulejów-Łódź,

– **Mirosław Wiśniewski** – architekt.

Przypominamy, że kupony plebiscytowe z zaznaczonymi nazwiskami trzech wybranych kandydatów można nadsyłać do 1 lutego 1974 roku.

**ŁODZIANIE 1973**
**(Kupon plebiscytowy)**

| | |
|---|---|
| 1. Delfina Ambroziak | |
| 2. Jadwiga Andrzejewska | |
| 3. Zdzisław Ciechanowski | |
| 4. Wiesław Garboliński | |
| 5. Wanda Karczewska | |
| 6. Antonina Kłoskowska | |
| 7. Andrzej Olczak | |
| 8. Henryk Rudnicki | |
| 9. Konstanty Rychtik | |
| 10. Mirosław Wiśniewski | |

Nazwisko i imię . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

ZDENKA MAROK

# ILE ZARABIA KOBIETA „NIE PRACUJĄCA"

**Oryginał niniejszego ukazał się w jugosłowiańskim czasopiśmie „Wiestnik u sriedu", a jego tłumaczenie zamieściła m.in. rosyjska „Litieraturnaja Gazieta". Jak widać, los „kobiet przy mężu" jest taki sam bez względu na język i narodowość.**

**Jeżeli masz znajomego, którego żona prowadzi gospodarstwo domowe — spróbuj go zapytać, czym zajmuje się jego towarzyszka życia. Najprawdopodobniej odpowie: — W zasadzie nie pracuje, zajmuje się gospodarstwem.**

**Jak wygląda sytuacja kobiety, która „w zasadzie nie pracuje" i ile jest wart jej trud? Na te pytania spróbujemy odpowiedzieć z pomocą Eleonory Sironić, żony, matki i byłej urzędniczki. Przed ośmiu laty Eleonora zrezygnowała z pracy zawodowej w związku z sytuacją rodzinną. Bezpośrednią przyczyną były narodziny córki. Estery, która obecnie z nagrodą ukończyła pierwszą klasę szkoły podstawowej. Jej młodszy brat, Dawor, wkrótce pójdzie do szkoły. Eleonora ma więc za sobą blisko dziewięć lat pracy biurowej i osiem lat stażu, który nigdy przez nikogo nie będzie uznany za pracę — stażu gospodyni domowej.**

**Zastaliśmy ją wczesnym rankiem przed drzwiami mieszkania. W rękach niosła wypchane siatki dodźwigane na trzecie piętro domu nr 4 przy ulicy Szenoa w Zagrzebiu.**

**Umiejętność gospodarowania groszem to pierwszy temat naszej rozmowy.**

**— Z sumy, którą pierwszego wręcza mi mąż, przede wszystkim wydzielam środki na opłatę komornego, uregulowanie rachunków za gaz, światło, sumy na produkty żywnościowe, na niezbędne wydatki dla dzieci i męża. I dla mnie — dodaje ze wstydliwym uśmiechem. — Ale należy uwzględnić jeszcze takie pozycje, jak meble czy remont mieszkania. Od tych trosk czasem głowa pęka. Odkąd rzuciłam pracę zawodową ubyło mi dziesięć kilogramów — przyznała Eleonora podając kawę i setki razy podrywając się, żeby uspokoić malca, opróżnić popielniczkę, przygotować śniadanie, żeby...**

**Gospodyni ma zaczerwienione białka. Tej nocy źle spała. Któreś z dzieci gorączkowało. Matkom nie musimy tłumaczyć, co znaczy spełnianie funkcji „lekarza domowego".**

**— A któż może nim być? — dziwi się Eleonora. — Mąż wcześnie wstaje i wychodzi z domu do pracowni urbanistycznej. Nie można wymagać, aby jeszcze nie dosypiał nocy.**

**— Ciekawe, kto panią dogląda w chorobie — zainteresowaliśmy się.**

**Zdziwienie.**

**— Mnie? Po co? Od czasu, kiedy w moim życiu pojawiły się dzieci — po prostu przestałam chorować.**

**Grypy, zaziębienia — to nie choroby wymagające leżenia i oszczędzania się.**

**— Czasem trochę dolega mi serce, ale na ogół jestem zdrowa — wyjaśnia spokojnie.**

**Tak więc nasza rozmówczyni jest z zawodu gospodynią domową. Wstaje przed siódmą. Musi wyprawić dziecko do szkoły. I nigdy nie kładzie się przed godziną jedenastą wieczorem. Co wypełnia jej czas?**

**— Trudno wyliczyć wszystkie czynności — mówi. — Praca jest dosyć monotonna. Przez cały dzień człowiek kręci się na jednym miejscu, dziesiątki razy powtarza jedne i te same ruchy. Kto zliczył, ile razy trzeba zmywać naczynia, zamiatać podłogę, przebierać dzieci? W kółko jedno i to samo. Automatycznie. Znaczną część prac domowych wykonuję jak robot. Tych niedogodności nie zauważa nikt, kto ich nie doświadczył na własnej skórze. A to właśnie one są najbardziej dokuczliwe...**

**Bywa, że mężowie — patrząc na swoje połowice noszące papiloty we włosach i dzierżące w dłoni szczotkę — myślą: „Dlaczego ona nie ma żadnych szerszych zainteresowań? Przecież kiedyś można było z nią pogadać o literaturze, teatrze i polityce. Kiedyś rozumieliśmy się tak dobrze!"**

**Bo i czyż wszystko nie dowodzi szkodliwych i otępiających skutków prowadzenia gospodarstwa domowego? Dość zastanowić się, co wymaga większego napięcia nerwów — czy praca, uregulowana ustawami i ograniczona do ośmiu godzin, czy też nieustająca troska o zabezpieczenie potrzeb rodziny? „Przy mężu", „gospodyni domowa" — symbol bezpieczeństwa i beztroskiego spokoju; tego, co jest niezbędne dla mężczyzny pracującego „serio" w fabryce czy biurze. Ona, strażniczka domowego ogniska, wydaje się wcieleniem stabilizacji i atmosfery, w której nie ma miejsca na stressy. I to jest jej zawód. Jeżeli natomiast zapoznamy się ze statystyką prowadzoną przez służbę zdrowia, okaże się, że coraz większa liczba gospodyń domowych cierpi na dolegliwości psychonerwicowe.**

**W domu, którego żona nie opuszcza, aby pracować zawodowo — podłogi błyszczą, zlew i wanna lśnią, należycie złożona bielizna leży na półkach... Wydaje się, że współczesne techniczne wyposażenie domu ogromnie ułatwia życie kobiet. A tymczasem...**

**— Oczywiście, pralka uwalnia mnie od wielkiego wysiłku fizycznego — mówi Eleonora. — Za to obecnie, zaledwie na bieliźnie pojawi się plamka — już taka przybrudzona sztuka wędruje do kosza. A przecież pralka nie będzie bielizny prasować! Dlatego też ten czas, który poprzednio zajmowało mi pranie obecnie spędzam na prasowaniu. Gdybym nie miała pralki, nie uznawałabym z tak lekkim sercem bielizny za brudną. Sprzęt mechaniczny uwalnia kobiety od ciężkiej pracy fizycznej, trzepania dywanów, prania bielizny, noszenia i grzania wody, ale czas konieczny do wykonania wszystkich prac nie zmienił się na naszą korzyść.**

**Eleonora podsumowała czas pracy w gospodarstwie domowym (przy czym uwzględniła tylko czynności podstawowe) i obliczyłyśmy, ile wynosiłaby opłata za analogiczne świadczenia punktów uspołecznionych. Wartość jedynie tych zasadniczych operacji wskazuje, że gospodyni domowa „zarabia" (a ściślej — oszczędza) ilość pieniędzy stanowiącą równowartość pensji dyrektora dużego przedsiębiorstwa, tj. około 8.210 nowych dinarów.**

**A przecież nie ma na świecie tak uniwersalnego pracownika, który mógłby być porównany z panią i sługą domu w jednej osobie. Wykonuje równocześnie zajęcia fizyczne i umysłowe.**

Tłumaczył:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

BERNARD SZTAJNERT

# NOTATKI MORDERCY

*Fot. Archiwum*

WIEDZA

Jestem niewątpliwie mordercą. Ponieważ mogę, będąc mordercą, pracować, czytać, myć się i jadać, mogę i prowadzić notatki.

Jakże to — mógłby ktoś zapytać, czy notatki takie, jeżeli wpadną w niepowołane czy raczej w powołane ręce, nie będą stanowić dowodu dokonanych zbrodni, czy nie powiodą cię przed sąd, do więzienia, na szubienicę? Otóż nie, bowiem natura i sam fakt zbrodni są równie czyste jak mroczne, a przyznanie się nie stanowi dowodu, w końcu, czy notatki i zawarte w nich stwierdzenia są dowodem o wartości prawniczej? Gdzie się zaczyna i kończy prawda życia, a gdzie ornament, metafora, czynnik estetyczny, gdzie moment czysto subiektywny, wewnętrzny, a gdzie przedmiotowe spełnienie?

Oto zginął Piotr — wstaję i wołam: „To ja zabiłem Piotra". Urzędnicy prowadzący śledztwo usuwają mnie niedbale. „Nie pleć pan, niech obywatel nie przeszkadza, sprawa jest poważna — zabito człowieka". Odchodzę więc, myśląc, że absolutna wiara osób kompetentnych w moją niewinność czyni mnie prawdziwie niewinnym.

Zbrodnia jest sprawą autorytetu — gdzie jest winny, którego wszyscy poważni i kompetentni orzekli niewinnym? Czyżby zespół miarodajnych opinii był tożsamy z prawdą przedmiotową?

Kiedyś zabito człowieka, zgłosił się młody winowajca, przyznał się, kajał, prosił, by go ucapić, sądzić, więzić, wieszać. Doświadczeni urzędnicy odepchnęli go z lekceważeniem. Oni właśnie pojmali już mordercę, który głosił swą niewinność, nie lubił więzienia i sądu, stronił od szubienicy.

Przez moment ten, który uznawał się daremnie mordercą i ten — który głosił się daremnie niewinnym, stali w izbie śledczej, patrząc sobie w oczy. Każdy z patrzących pragnął, by przyznano rację temu, na którego patrzył. wspólnym wysiłkiem usiłowali stworzyć dogodną dla obu prawdę, wysiłek ten jednak przekreślono a przyznającego się do morderstwa odesłano do domu, a głoszącego swą niewinność ukarano. Czy obaj ci ludzie kłamali, czy też nie znali prawdy, a może istniała jeszcze trzecia prawda, prawdziwsza od ich subiektywnych prawd i czwarta prawda, prawdziwsza od trzeciej...

Ci, którzy orzekli niewinność i winę podobni byli do mędrców, osuwających warstwy ułudy tego, który się obwiniał i tego, którego obwiniano. Czy można być mędrcem w sprawie własnej zbrodni i dlaczego napisałem, że jestem niewątpliwie mordercą...

ŚWIADECTWA MĘDRCÓW

Oczywiście nie należy się spodziewać, że mędrcy dadzą świadectwa w sprawie moich zbrodni na piśmie. Nie byliby wtedy mędrcami, ale głupcami.

Mędrcy zazwyczaj są plotkarzami i prawdy swoje nie ogłaszają w dokumentach, wypowiadając je na rynku, w czasie pijackich uczt, lub zgoła w maglu. Zważcie, że prawda wypowiedziana wobec dwóch świadków jest wiążąca, dostępna kontroli, sprawdzeniu, natomiast prawda wypowiedziana na rynku wobec stu, lub dwustu świadków, nie jest wiążąca, dostępna kontroli, sprawdzeniu. Dwaj świadkowie zeznają zwykle z powagą tę samą wersję, natomiast stu świadków wywrzeszczy sto różnych wersji.

Wobec tej znanej historycznie i aktualnej współcześnie przezorności mędrców, niezmiernie trudno ustalić treść ich świadectw, zwłaszcza w kwestii tak drażliwej jak orzeczenie morderstwa.

Powie mi niejeden, że mędrcy głosili swoje prawdy w sposób sprawdzalny i odważny, że płonęli za nie na stosach, wypijali cykutę, łamani byli kołami i rozrywani końmi. Istotnie mędrcy bywali tak traktowani, ale wcale nie za prawdy, które głosili, podobnego traktowania mędrców domagała się, zdaniem ówczesnych polityków, racja stanu. Nic bardziej obojętnego dla władców Aten, niż to, czy na Olimpie zasiada jeden, trzech czy trzystu trzydziestu trzech bogów. Oni potrzebowali wskazać gniewnym tłumom domniemanego sprawcę klęsk wojennych i głodowych. Nic bardziej obojętnego dla małych despotów włoskich, czy Słońce kręci się wokół Ziemi, czy Ziemia wokół Słońca. Oni potrzebowali wskazać gniewnym tłumom domniemanego sprawcę przewlekłych epidemii, głodu i najazdu obcych wojsk.

Mędrcy mówili to i owo — najczęściej nikt ich nie słuchał, a na pewno nikt nie rozumiał. Pewnego dnia czyjeś bezwzględne ręce stawiały mędrca na politycznej szachownicy, na zupełnie mu obcym polu jako pionka, czy figurę przeznaczoną do strącenia. Ponieważ podobne traktowanie mędrców trwało przez tysiąclecia, trudno się dziwić ich stale rosnącej przezorności, która zresztą zupełnie im nie pomagała — największy z mędrców nawoływał wreszcie, by mówić tylko „Tak", lub „Nie" — pomimo to ukrzyżowano go za niepopełnione winy i niewypowiedziane słowa.

Może w tej sytuacji mędrców, przyzwoitość wymaga zrezygnowania z rozstrzygania przez nich spraw drastycznych, mędrcy mają dość kłopotów, lepiej nie pytać jakich — bardzo zresztą trudno stwierdzić, kto jest mędrcem, a kto nim nie jest.

ŚWIADECTWA LUDZI ROZTROPNYCH

Człowiek Roztropny, w przeciwieństwie do mędrca, nie naraża się. Wprawdzie mędrzec także nie naraża się świadomie, ale Człowiek Roztropny nie naraża się ani świadomie, ani nieświadomie, to jest Człowiek Roztropny, oprócz świadomości nienarażania się, posiada instynkt nienarażania się.

Jakże więc mam liczyć, że Człowiek Roztropny, broniony rozumem i instynktem nazwie mnie mordercą? Otóż zrobi to w momencie przesilenia narażeń, w sytuacji, w której ryzyko nazwania mnie niewinnym będzie większe, niż ryzyko nazwania mnie mordercą. Roztropność jest najwyższym stopniem afirmacji istnienia — jednak nie powszechnego ludzkiego istnienia, lecz jedynie osobniczego bytu jednostki roztropnej. Przeciwnikiem Roztropnego nie jest Morderca, przeciwnikiem Roztropnego jest Szalony.

Szaleństwo jest realizacją i przejawem maksymalnego braku rygorów i granic, roztropność jest realizacją ścisłych rygorów, jest największym ograniczeniem.

Roztropny pomyśli sto razy zanim nazwie mnie mordercą, lub niewinnym, Szaleniec będzie milczał, lub rzuci zarzut zbrodni, czy zarzut niewinności bezzwłocznie. Tak, lecz cóż za obroną będzie dla mnie opinia: „Jego Szaleniec nazywa niewinnym", lub co za ciosem słowa: „Jego Szaleniec zwie mordercą".

Z tych dwóch: Szaleńca i Roztropnego. Szaleniec jest sympatyczniejszy, Roztropny wydaje się bardziej godny zaufania.

Oto sielska scena z mojego dzieciństwa, w czasie której Człowiek Roztropny zdecydował się nazwać mnie mordercą. Lato, lato i oczywiście dużo słońca i dużo trawy, którą wtedy nazywano murawą, takie to miejsce roztropnie wybrał sobie Roztropny, by się rozprężyć, opalić, nasycić wonią, obnażyć, wziął pod uwagę nawet położenie skowronka i nośność jego głosu. Ja byłem wtedy małym mordercą z procą, mordercą bardzo cierpliwym i celnym. Roztropny wylegiwał się nagi, naświetlony, upojony dźwiękiem. Niedaleko był wiejski cmentarz, porośnięty zielenią, uciszony wiekuiście. Skowronek dzwonił tym dobitniej, im dotkliwiej cmentarz milczał. Roztropny akceptował silny kontrast życia i śmierci, on oczywiście był po stronie życia i pragnął życie uczynić jeszcze żywszym, a śmierć bardziej martwą. Ja — mały mordercza z procą — myślałem o jakimś bezmiernym istnieniu, wznoszącym się ponad życiem i śmiercią i w imię owego istnienia pragnąłem uciszyć życie i rozbudzić śmierć. Zamordowałem skowronka, zdumiewająco celnym strzałem, ponieważ był reprezentacyjnym, intensywnym punktem życia, przeszkodą dla wyczuwalnej, bezgranicznej jedni. Skowronek spadł na ową, tak nazywaną wtedy, murawę. Trzymałem go na dłoni, umierał otwierając i zamykając dziobek. Stanął nade mną Roztropny — nagi i naświetlony jeszcze słońcem, nasycony woniami, ale pozbawiony dźwięku. „Morderco!" — wołał na mnie Roztropny — „Morderco!". Myślę, że zdążył już przemyśleć sprawę dziesięć razy, nie dotarł jednak do jej istoty.

ŚWIADOMOŚĆ PRYWATNA

Świadomość Prywatna różni się od wiedzy podobnie jak łyk wody w ustach, od wody w szklance. Wodę w szklance widzą wszyscy (ciekawe, że szczególnie dobrze widzimy rzeczy przezroczyste, niewidzialne poniekąd). Można wnioskować, że nabrałem wody do ust po moim milczeniu, po baniowato rozdętych policzkach. Będą to tylko wnioski hipotetyczne, niewielu odważy się nagle i mocno nacisnąć moje policzki, by stwierdzić czy z ust tryśnie woda.

Tak zatem mam w sobie Świadomość Prywatną i nikt nie potrafi jej wydobyć. A ja, gdybym pragnął szczerze i otwarcie, ja także nie potrafię. Jeżeli z mojej woli z ust popłynie woda powiedzą „Ma podrażnienie gruczołów ślinowych", stwierdzą „Ale ten się ślini do tego lub owego" bądź orzekną, że pienię się, jestem pieniaczem.

Tak trudno przejść ze Świadomości Prywatnej do Publicznej, tak trudno jak trudno oderwać się od niedobrej metaforki z wodą w ustach i w szklance. Metafora kiepska wciąga i przykuwa silniej od metafory dobrej — podobnie jak zbrodnia wciąga i przykuwa silniej, niż czyn godziwy. W to, że jesteśmy dobrzy wierzymy, pragniemy zatem poznać zło — rzecz nam podobno obcą.

Nawet gdyby istniały protokoły wszystkich moich wypowiedzi nie zdołam w nich przekazać informacji o zbrodni. A przecież wszystko to co powiedziałem w życiu — to wypowiedzi winnego, nie obwinionego, lecz winnego, bowiem nikt mnie nigdy nie obwinił, a ja ustawicznie mówię i piszę mowę obrończą. Trudno o adwokata bardziej gorliwego i mniej dostrzeganego — to nic, że nie przyjmuję w Zespole, że nie należę do Izby.

Istnieje silny dowód przeciw moim zbrodniom — każdy morderca, jest także samobójcą (kto zabija człowieka, zabija i ludzkość), a ja żyję. Z faktu, że mogę pracować, czytać, myć się, jadać, prowadzić notatki, wynika dla otoczenia moja niewinność. Morderca będąc także samobójcą powinien być trupem — żywi mordercy nie istnieją.

Sprawa ta jest nieporozumieniem, dzięki któremu posiadam kapitalne alibi, moja trwająca całe życie mowa obrończa jest zbyteczna, niegodna słuchania. Bowiem, aby dowieść mi winy należy wykazać wstępnie dwie rzeczy — po pierwsze kim jestem ja, po drugie co to jest życie. Kiedyś znano tylko jedną śmierć, dzisiaj nauka zna cały szereg śmierci określonej jednostki, śmierć kliniczną, śmierć biologiczną, jesteśmy w toku ustalania dalszych rodzajów śmierci. Co do tego kim jestem ja, wykazać by to można tylko wtedy, gdyby udało się przekształcić moją świadomość prywatną w Świadomość Publiczną, a w możliwych obecnie sposobach przekształceń nie jest to wykonalne — może jednak być wykonalne w niedalekiej przyszłości.

„Tylu umarło a wszyscy żyją
Śmierć nie jest własną ale niczyją"

pisałem kiedyś wierszem. Nie rozumiano mnie i niezrozumienie stanowiło o bezkarności.

BERNARD SZTAJNERT

# PORAŻENIE SŁONECZNE

Mówił mi znany publicysta w palącym słońcu na ławce w ogrodzie
Mieszkańcy Europy są mieszańcami
Są tacy mieszkańcy Europy którzy wiedzą są tacy mieszkańcy Europy którzy nie wiedzą o tym
Można to odkryć po skórze po głowie
Mieszkańców Europy zdradza ich sposób chodzenia
Mieszkańców Europy demaskują kości policzkowe
Kolor i wypukłość oczu obnażają tajemnicę mieszkańców Europy
Tajemnicę której zwykle mieszkańcy Europy nie znają tajemnice że są mieszańcami
Mówił mi znany publicysta w palącym słońcu na ławce w ogrodzie
Mam w redakcji nieświadomego ćwierć-tatara
Bezwiednego półżyda trzymam w korekcie
I słowo po słowie
Kreślił rasowy obraz Europy zagmatwany i mętny
Europy porwanej przez byka przewożonej przez okręty
Tajemnicę Europy przybyłej z azjatyckich stepów
Można poznać z ruchów mieszkańców mieszańców z ich oczu z ich czerepów
Mówił mi znany publicysta w palącym słońcu na ławce w ogrodzie
Że wyszło czwarte wydanie książki o Himmlerze
Himmler był szalony
Pojmował rozwój ludzkości jak hodowlę drobiu
A pragnął rządzić światem
Utożsamiał Hitlera z Torem lub Wotanem
Wierzył że tajemnicą Europy jest pierwiastek jasności obecny w naturze
Z trudem mówił mi znany publicysta uniknęliśmy zagłady
Z rosnącym bólem głowy zobaczyłem znanego publicystę w mundurze
Oddziałów Ochronnych Narodowo-Socjalistycznej Niemieckiej Partii Pracy
W palącym słońcu na ławce w ogrodzie.

# SZPIEDZY

Nie mów Bogu kto wie dla kogo zbiera informacje
Nie mów śmierci kto wie dla kogo zbiera informacje
Nie mów diabłu kto wie dla kogo zbiera informacje
nie mów człowiekowi kto wie dla kogo zbiera informacje
Nie mów zwierzęciu
(Czort wie kto je tu przysłał)
Co do Boga to ten się ukrył
(wyjąwszy ludzi prostego serca
Od których ciągle zbiera informacje)
Domyślam się dla kogo pracują zwierzęta
śmierć ustroiła się na nicość a nie jest nicością
Agenci diabła głoszą o nim, że umarł a śmierć jest nicością
Bóg ukrył się jak Żyd w czasie okupacji
Trudno uwierzyć w te gierki dlatego nie mów
Człowiek który jest jeden (wiemy od Platona)
Przedstawia się nie za wielość
Za połówką jedynie
Szuka drugiej połówki i nie pragnie znaleźć
Nie mów Bogu śmierci Diabłu Człowiekowi Zwierzęciu
Przecież nie wiesz kto ich tu przysłał.

# ŚWIAT ABSURDU

Nie miał szczęścia w życiu bohater „Śmierci Prokuratora", książki Bernarda Sztajnerta, wydanej niedawno w Wydawnictwie Łódzkim. Krótki moment dzieciństwa, rozdarty od razu wojną. Obóz koncentracyjny, gruźlica, pobyty w sanatoriach. Imał się ten człowiek wszelkich możliwych zawodów. W żadnym nie osiągnął sukcesu. Znakomicie nabijał tylko korki do buteleczek z wonnymi olejkami. Lubił nosić chorych w szpitalu. Kierownikiem był żadnym, ponieważ widział sam siebie z zewnątrz. Siebie na fotelu za biurkiem. Cierpiał ten człowiek na rozmaite obsesje i na rozdwojenie jaźni. Nie wiem, czy może spaść więcej nieszczęść na jedno ludzkie indywiduum, których w istocie sam jest twórcą i nosicielem.

Życie — jak wiadomo — nie jest landrynką, rozkosznie rozpuszczającą się na języku i spływającą słodyczą do gardła. Bywają jednak ludzie, którzy widzą absolutnie wszystko w krzywym zwierciadle. Kończą przeważnie taki proces przyglądania się sobie i światu — schizofrenią.

Schizofrenia jest również przedmiotem badania literatury, albowiem jest przypadłością ludzką. Słabsze psychicznie jednostki nie wytrzymują uderzeń życia, czasem w ogóle samego procesu istnienia.

Wszystko więc byłoby zupełnie dobrze, gdyby „Śmierć Prokuratora" nie miała ambicji znacznie szerszych, wykraczających poza próbę odtworzenia wnętrza i postaci człowieka z „poszatkowaną" jaźnią. Należy tę książkę zaliczyć także do tzw. „literatury rozrachunkowej". A to już — jak powiadają — całkiem inna sprawa.

Prawda, że doczyta się w niej tego rozrachunku tylko czytelnik bardzo wyrobiony. Nie zmienia to przecież samego założenia autorskiego.

Rozrachunek z historią przeprowadzony w konwencji majaku nie jest rzeczą poważną. Tu już nie chodzi o nadwerężoną życiem jaźń jednostki. Zbyt poważny jest sam przedmiot — los ludzki w historii i płynące z tego faktu konsekwencje, aby topić je we mgle absurdu. Zwłaszcza, gdy automatycznie jawi się tu uogólnienie, ponieważ historia to losy jednostkowe w zbiorowości.

Chciałoby się powiedzieć, że nie wszystko na świecie daje się załatwić za pomocą nonsensu, gdyby nie było to takie ewidentne, że aż głupio wspominać.

Ludzkie czyny i działania przedstawione, jako stek niezbornych aktów, nie wiadomo po co i w jakim celu podejmowanych, pozornie oskarżając, rozgrzeszają absolutnie wszystko. W ten sposób, mierząc wysoko, nie osiąga się niczego. Być może jedno — silny „katzenjamer".

„Śmierć Prokuratora" jest książką skomplikowaną od strony formalnej. Oddaje dzięki temu stany duchowe człowieka różnego od innych. Jest napisana dobrze, oceniając jedność treści i formy powieści. Jej lektura jednak nastręczy przeciętnemu czytelnikowi dziesiątki barier nie do pokonania. Zdawał sobie z tego sprawę wydawca, przeznaczając książkę dla czytelnika „elitarnego".

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

# „UDRĘCZONY POCZUCIEM WŁASNEJ NIEOKREŚLONOŚCI"

Tytuł tej recenzji można rozumieć jako propozycję nazwania pewnego obszaru ludzkich doznań, na którym rozgrywają się dramaty bohaterów opowiadań Bernarda Sztajnerta. Zacytowałem ostatnie słowa opowiadania „Przed lustrem" jako jedną z możliwych metafor, które mogą stać się formułą interpretacyjną jego pisarstwa. Jedną z możliwych — bowiem, choć jest to pisarstwo bardzo jednorodne, wymaga łączenia kilku punktów widzenia w całość możliwą jedynie dlatego jako całość, że występujące w niej przeciwieństwa nawzajem wzmagają swoją intensywność. Ich zlikwidowanie zniszczyłoby całą materię życia bohatera Sztajnerta i uniemożliwiłoby istnienie tej prozy.

Ogromna sfera swobody autorskiej w kreowaniu świata fikcji literackiej i jednocześnie nie mniejsza dyscyplina wewnętrznej poetyki prozy Sztajnerta potwierdzają tę od dość dawna znaną i, w końcu już mało interesującą w swoich objawach, prawdę o zasadniczej sprzeczności między rzeczywistym rozwojem poetyki powieści XX wieku a czytelniczymi nastawieniami wobec tych gatunków literackich.

Sztajnert jest prozaikiem bardzo współczesnym. Jeżeli lektura jego utworów sprowokowała mnie do przypomnienia sobie sporu między miłośnikami powieści tradycyjnej a nowoczesnej, to nie dlatego, by jego utwory przywoływały w reminiscencjach kanon realistyczny. Świadomość rozbieżności obydwu poetyk powieści jest potrzebna tutaj dla umotywowania jej następstwa: nie można przy pomocy filozofii zdroworozsądkowej sensownie analizować i rozumieć ogromnych i decydujących o współczesności obszarów współczesnej prozy powieściowej. Dotyczy to również pisarstwa Sztajnerta.

Tak więc próbując klasyfikować tę prozę, trzeba przede wszystkim stwierdzić, że świat jego utworów nie jest światem absurdu, bohater nie jest schizofrenikiem i że nie można „Śmierci prokuratora" zaliczyć do tzw. literatury rozrachunkowej. Realia opowiadań Sztajnerta, jakkolwiek fascynujące swoją dokładnością, nie posiadają walorów bezstronnego historycznego opisu. Nie znam pisarza, który by lepiej opisał Łódź, ale powiadam, że biada temu naiwnemu, który by chciał przy pomocy cytatów ze „Śmierci prokuratora" opisywać to miasto.

Aby bliżej przyjrzeć się poruszonej tutaj sprawie, trzeba starannie zanalizować postać bohatera i sposób jego istnienia wśród innych i wśród przedmiotów. Wtedy, gdy nic się nie dzieje, podejrzewam, że ów bohater wcale nie istnieje. Jego cechy osobowe ujawniają się dopiero w konkretnym działaniu. Należałoby powiedzieć, że dopiero wtedy one się stwarzają. Nie ma bowiem świadomości w ogóle. Świadomość istnieje tylko o tyle, o ile jest świadomością czegoś. Tak więc świat Sztajnerta został podzielony na dwie części: podmiotową świadomość bohatera i przedmiotowość wszystkiego, łącznie z ludźmi, co istnieje poza nim. Z reguły mamy do czynienia z narracją w pierwszej osobie. I nie może być inaczej. Nie można bowiem przeżyć cudzej świadomości. Zawsze będzie ona oglądana z zewnątrz, rozpoznawana po pewnych cechach, które zostały uznane za objawy jej istnienia.

# Żyła złota w Bu-Kraa

Zamach na życie 70-letniego premiera rządu hiszpańskiego, Carrero Blanco, który spowodował istotne przesunięcia w rządzie, represje, zamieszanie i niepokój w kołach rządzących kraju, słowem wszystkie te wydarzenia są szeroko komentowane i przyciągają uwagę europejskiej opinii publicznej. Natomiast bardzo mało miejsca poświęca się wstydliwej sprawie tzw. „hiszpańskiej Sahary", będącej de facto hiszpańską kolonią w zachodniej Afryce. Warto o tym przy okazji przypomnieć.

Zachodnia Sahara, „hiszpańska", jak się przyzwyczajono nazywać ją w Madrycie, jest ostatnią „twierdzą" hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej w Afryce. W tym umocnionym rejonie, całkowicie odizolowanym od reszty świata, żołnierz znaczy więcej niż cywil. El-Aajun, administracyjne centrum tego niewielkiego kraju o powierzchni 266 tysięcy kilometrów kwadratowych, jest maleńkim miasteczkiem z dziesięcioma tysiącami mieszkańców, wybudowanym w 1932 roku na lewym brzegu rzeki Segiet-el-Chamra. Ze wszystkich stron otacza je pustynia. Ludności wolno się poruszać wyłącznie w promieniu 30 kilometrów od miasta. Dalej są rozrzucone posterunki policji — na wjazd i wyjazd z tej strefy trzeba mieć specjalne pozwolenie.

W El-Aajun nie ukazuje się ani jedna gazeta. Hiszpanie mieszkają w całkowitej izolacji od ludności miejscowej, która ich absolutnie nie interesuje. Po uliczkach i placykach El-Aajun krążą jeepy z patrolami policji wojskowej, policji terytorialnej, piechoty morskiej, spadochroniarzy i Legii Cudzoziemskiej...

Ani jeden tutejszy mieszkaniec nie ośmieli się rozmawiać z cudzoziemcem o polityce. Przy najmniejszej próbie poruszenia tego tematu, natychmiast milknie, starając się wymijająco i możliwie krótko odpowiedzieć na zadawane pytania. Ludzie są zastraszeni i obawiają się represji. Na pytanie o narodowość pada lakoniczna odpowiedź: „Jesteśmy Hiszpanami". Ta odpowiedź owych „Hiszpanów" w błękitnych okryciach (tradycyjny kolor ubioru rdzennej ludności tego rejonu) i w turbanach na głowach wzbudza wesołość nawet wśród najbardziej naiwnych rozmówców.

Pewien handlowiec, lecący samolotem z żoną i dziećmi do Las Palmas, głośno i z przekonaniem zapewniał, że miejscowa ludność uważa siebie za Hiszpanów i nie ma najmniejszych ciągot do samostanowienia. Jednakże po opuszczeniu samolotu na lotnisku w Las Palmas przyznał się swemu towarzyszowi podróży: „Wszystko, co tam naopowiadałem, to bujda. Myślałem, że pan jest policjantem w cywilu. Rzecz w tym, że mieliśmy mnóstwo nieprzyjemności od wojskowych i policyjnych szpiclów".

Nowo przybywającym, którzy pragną się udać z El-Aajun w głąb kraju, administracja terytorialna przydziela obowiązkowo miejscowego „przewodnika" lub „przypadkowego towarzysza podróży", który właśnie jedzie w tym samym kierunku do „wsi rodzinnej", by odwiedzić „krewnych". Jest to zazwyczaj donosiciel, któremu poleca się obserwować cudzoziemców.

Drogami, tymi życiodajnymi arteriami kraju, bez których 15 tysięcy Hiszpanów cywilnych i 50 tysięcy w wojskowych mundurach nie wytrzymałoby tutaj nawet miesiąca, nieprzerwanie toczą się auta ciężarowe z żywnością, zaopatrzeniem wojskowym, bronią, częściami zamiennymi do pojazdów wojskowych oraz bydłem. Za kierownicą samochodów widać często byłych koczowników, którzy w poszukiwaniu zarobku zdecydowali się na osiadły tryb życia. Ziemia w tym pustynnym kraju jest tak bezpłodna, że rzadkie laski palmowe, oddzielone od siebie setkami kilometrów, nie mogą zapewnić ludności nawet daktyli.

240 kilometrów na wschód od El-Aajun leży drugie miasto — Smara, religijne centrum Zachodniej Sahary. W 1913 roku zostało ono zburzone przez Francuzów, w 1934 roku zagarnięte przez Hiszpanów, w 1957 roku zajęły je wojska marokańskie, ale już w 1958 roku ponownie zajęła je hiszpańska Legia Cudzoziemska. Dziś stacjonuje w Smarze garnizon wojsk hiszpańskich, gotowych do akcji na pierwszy sygnał alarmu. Żołnierzy Legii Cudzoziemskiej spotyka się tutaj na każdym kroku. Kontrolują wszystkich i wszystko, śledzą każdego przyjezdnego od pierwszego kroku, który postawi na lotnisku.

Władze chętnie zaspokajają potrzeby tradycyjnych wodzów plemion, pozostających na żołdzie władz hiszpańskich. Udostępniają transport, dostarczają żywność, odzież, lokują na ciepłych posadkach ich przyjaciół i krewnych. Hiszpańskie władze administracyjne i wojskowe próbują wzbudzić w miejscowej ludności uczucie „hiszpańskiego ducha" oraz wdzięczności dla „dobroczyńców" z metropolii.

Cudzoziemcom zabrania się kategorycznie zbliżania do złóż fosforanu w Bu-Kraa, gdzie pracuje kilka tysięcy koczowników. Zarabiają oni ośmiokrotnie mniej od robotników hiszpańskich. Ponadto ci ostatni korzystają z licznych ulg i przywilejów, których nie rozciąga się na robotników pochodzenia arabskiego. Fosforan dostarcza się na wybrzeże położone sto kilometrów na wschód od El-Aajun.

Złoża fosforanu w Bu-Kraa, jedne z najbogatszych w świecie, szacuje się na około dwa miliardy ton. Staje się zrozumiałe, dlaczego ani zalecenia ONZ, ani żądania Algierii, Mauretanii i Maroka o udzielenie mieszkańcom Zachodniej Sahary prawa do samostanowienia nie zmieniły zamiaru Madrytu utrzymania przy sobie za wszelką cenę tej „złotej żyły", która pozwala Hiszpanii zajmować jedną z czołowych pozycji w świecie w wydobyciu fosforanu. Nie przypadkiem też w rejonie złóż stacjonuje kilkutysięczny garnizon wojsk hiszpańskich. Będąc przy tym, warto wspomnieć, iż kontyngent wojsk hiszpańskich na Zachodniej Saharze liczy grubo ponad 50 tysięcy ludzi.

Walkę z siłami patriotycznymi, określaną jako „utrzymywanie porządku publicznego", prowadzi miejscowa policja, całkowicie kontrolowana przez Hiszpanów, która dysponuje szeroko rozbudowaną siecią dobrze opłacanych informatorów.

Generalny dyrektor jednego z amerykańskich koncernów naftowych, poirytowany widać kontrowersją hiszpańsko-amerykańską w sprawach Bliskiego Wschodu, powiedział zjadliwie, ale trafnie, że rząd madrycki pod pretekstem „obrony interesów" miejscowej ludności poszukuje usilnie lokalnego Czombe, którego by można postawić na czele przyszłego „niepodległego" państwa saharyjskiego, będącego czymś w rodzaju fosforanowej Katangi...

„Jakąś niezwykle cudaczną „prowincją" jest ta Zachodnia Sahara, do której nie mają dostępu nawet hiszpańscy dziennikarze" — mówi się z ironią w Madrycie. Zagraniczni dziennikarze nie mogą o tym nawet marzyć. Włoski korespondent opowiadał swym kolegom, że dziennikarze akredytowani w Hiszpanii, regularnie każdego roku zwracają się do ministerstwa informacji z prośbą o wydanie pozwolenia na obejrzenie tej afrykańskiej „prowincji" Hiszpanii. I niemniej regularnie ministerstwo odpowiada, że oczywiście „nie wyraża sprzeciwu, ale ze względu na jedyny hotel w El-Aajun, w dodatku fatalnie wyposażony oraz z uwagi na szacunek, jaki żywi ministerstwo wobec dostojnych przedstawicieli prasy zagranicznej, nie pozwala sobie na podjęcie decyzji, która by w tej sytuacji uchybiała tradycyjnej hiszpańskiej gościnności"...

Ostatnio krążą pogłoski, że Madryt zamierza wykonać zalecenia ONZ. Ale czy oznacza to, iż Hiszpania odstąpi od swego zamiaru trwałego pozostania na Saharze i zgodzi się przeprowadzić referendum na warunkach, zaproponowanych przez ONZ i przywódców trzech wspomnianych wcześniej krajów arabskich, nie wiadomo. Warunki te przewidują przede wszystkim neutralizację hiszpańskich oddziałów wojskowych oraz policji przed referendum, stworzenie komisji kontrolnej ONZ, wpuszczenie do kraju przedstawicieli krajów arabskich w charakterze obserwatorów i wreszcie przeprowadzenie referendum.

Komentator polityczny „Jeune Afrique" jest przekonany i nie jest w tym odosobniony, iż obecność Hiszpanii na Zachodniej Saharze można wyjaśnić jej dążeniem do zabezpieczenia interesów 405 wielkich hiszpańskich biznesmanów mocno powiązanych z zagranicznymi kompaniami wydobycia i przeróbki fosforanu.

W Hiszpanii właściwie tylko studenci i urzędnicy wiedzą, gdzie znajduje się Rio-de-Oro. Z wyjątkiem wąskiego kręgu wtajemniczonych, nikt nie wie ani o starciach Hiszpanów z oddziałami sił wyzwoleńczych, ani też o dużych stratach, które poniosła hiszpańska Legia Cudzoziemska. Niedawno powstał tam nowy ruch wyzwoleńczy: Narodowy Front Wyzwolenia Segiet-el-Hamry i Rio-de Oro. Rozpoczął on działania wojenne przeciwko kolonizatorom w drugiej połowie 1973 roku, co potwierdzili oficerowie hiszpańscy. Mimo licznych aresztowań i represji wobec miejscowej ludności, walka o niepodległość na Zachodniej Saharze przybiera na intensywności.

JERZY CZECH

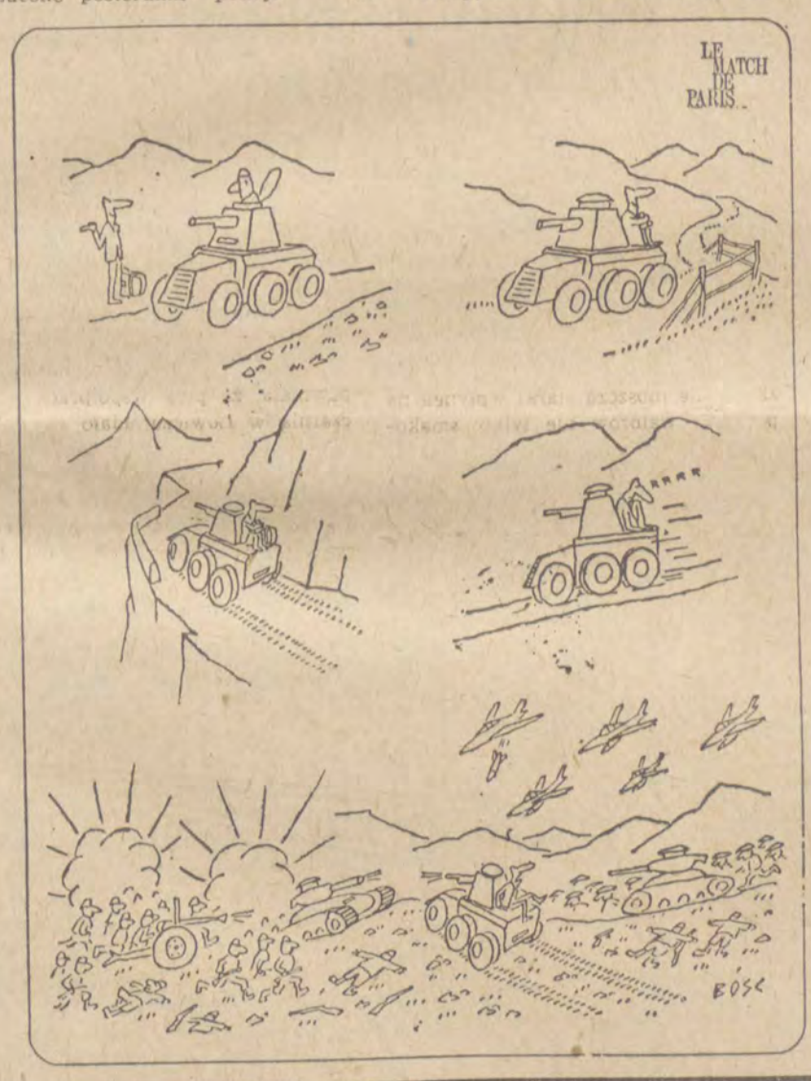


## MUZYKA

# ŚPIEWNY, BARWNY, ROZKOŁYSANY

Mówi się nieraz, że stały dyrygent filharmonii nie powinien zbyt często dawać się słyszeć swojej publiczności, ponieważ nawet najlepszy może się ludziom osłuchać. Przestrzegając tej zasady stanowczo za przesadnie, a pewnie z powodu niewygasłych jeszcze kontraktowych zobowiązań wobec Duesseldorfu, rzadko staje za pulpitem dyrygenckim kierownik artystyczny łódzkiej placówki filharmonicznej, **Henryk Czyż**, który w tym sezonie poprowadził u nas koncert dopiero trzeci raz. Ale prawda i to, że jesienią przez dwa tygodnie podróżował na czele naszej orkiestry symfonicznej po Związku Radzieckim, co gwoli sprawiedliwości należy tu przypomnieć.

Na koncercie zjawiła się publiczność w godziwej liczbie, w czym widzę też cząstkę zasługi nowej polityki abonamentowej, nakierowanej na młodzież szkolną. Pewnie więc będzie z frekwencją coraz lepiej, ale nie wiem czy ze wszystkim będzie całkiem idealnie, dopóki się naszych mile widzianych nowicjuszy koncertowych jakoś nie poinstruuje (może na karcie wstępu, w żartobliwy sposób?), że nie należy klaskać w przerwach pomiędzy częściami (bo to przeszkadza innym) i nie należy wymieniać uwag półgłosem, bo sumują się one w pomruk, który może oczywiście nie wadzić nikomu jako tło „mocnego uderzenia" w rozrywkowej muzie.

Koncert mógł nas usatysfakcjonować już choćby przez pięknie i niebanalnie zestawiony program, w którym pomiędzy lubiane i dla większości słuchaczy nie nadmiernie osłuchane utwory muzyki francuskiej — „Popołudnie fauna" Debussyego i Symfonię d-moll Cezara Francka wstawiono — rzadki ewenement! — Symfonię Koncertującą Mozarta Es-dur na skrzypce, altówkę i orkiestrę (nie często w ogóle mamy okazję posłuchania gry altowiolisty).

Wykonanie preludium symfonicznego Debussyego przeniosło nas w świat impresjonistycznej sztuki, nie tylko muzycznej, owo bowiem „Popołudnie" tak silne wywołuje malarskie skojarzenia, że to powinowactwo jest zupełnie oczywiste. Zasługa w tym była też po stronie przemyślanej interpretacji i doskonałego wykonawstwa orkiestrowego, dzięki czemu tak sugestywnie mógł udzielać się słuchaczowi nastrój słonecznego upalnego dnia, jego leniwa zmysłowość, że można było zupełnie się zatracić na tym jakby pograniczu muzycznej realności i malarskiej wizji.

W zupełnie inny świat dźwięków, podporządkowanych bardziej jednoznacznym rygorom, zawiodła nas pełna śpiewności Symfonia Koncertująca Mozarta, utwór o zaskakujących pięknościach, zwłaszcza chyba w części drugiej, w jej romantyzmie, a może... romantyczności. Słuchając tej części broniłem się jednak (niech mi to znawcy wybaczą) przed zalewem zbyt łatwej uczuciowości i wyobrażałem sobie tę muzykę wykonywaną mniej czułostkowo, z silniej powściąganym liryzmem. Bo chyba jest jakiś problem z tym romantyzmem epoki przedromantycznej...

Całość utworu wypadła jednak szlachetnie i nawet przekonująco, mimo iż soliści (Henryk Kierzkowski, Zbigniew Frieman) przedkładali ostrożny umiar, jaki być może powinien cechować koncertujących pedagogów, nad zdradliwe pokusy wirtuozowskiego popisu. Czy zawsze potrafi to ustrzec wykonawców od niedokładności? — Oto jakże retoryczne pytanie! Publiczność, pod silnym wrażeniem utworu, dziękowała jego wykonawcom długo i serdecznie.

Program koncertu miał swoją kulminację w ostatnim utworze wieczoru — Symfonii Francka, której wykonanie wydobyło z dzieła wszystkie walory tej jeszcze romantycznej muzyki. Po tajemniczym w nastroju Lento i nieco chyba narracyjnym w charakterze Allegro non troppo, składającymi się na pierwszą część, będącą w całości jakby wielką ekspozycją, jeszcze chyba ciekawiej zabrzmiała część druga — Allegretto. Nie da się tu opowiedzieć ów spływający na słuchaczy nastrój ogromnego spokoju, podkreślany jeszcze przez łagodnie rozkołysany rytm tej części, rozpoczynającej się od wysyconego dźwiękiem pizzicato. Tego kojącego wspomnienia nie zatarł nawet radosny żywioł muzyczny wypełniający finałowe Allegro non troppo, w którym dochodziła do głosu potęga brzmienia orkiestry, ale utrzymana w ryzach, bez owego nadymania się: kto głośniej! — co i w filharmoniach bywa, a w czym nie każdy słuchacz gustuje.

Już dawno tak nie oklaskiwano naszej orkiestry i dyrygenta, jak po Symfonii Francka. Należy się Czyżowi ten aplauz i może nie obawiać się ryzyka pokazywania nam się częściej.

JERZY KWIECIŃSKI

Tak więc świat rozpada się na cały szereg luźno powiązanych ze sobą przedmiotów. Świadomość człowieka wykonuje jednocześnie dwa rodzaje czynności w stosunku do świata: rozumienie go i nadawanie mu znaczeń, sensu. I znów zauważmy, że rozróżnienie, co tutaj jest poznawaniem świata, a co nadawaniem mu sensów własnych, jest bardzo trudne i być może mało sensowne. Ale oparcie prozy na takich założeniach stwarza dla niej ogromne możliwości wyboru środków wyrazu. Każda bowiem rzecz, choćby z jak największą troską o dokładność „cytowana" z rzeczywistości, w trakcie transponowania siebie na własne znaczenie w podmiotowej świadomości bohatera-narratora może podlegać dowolnej zmianie. Raz więc będzie zapamiętaną barwą, kiedy indziej jako jedyną jej cechę, świadomość zachowa pamięć o jej właścicielu, wreszcie może stać się symbolem, albo być panteistycznym bóstwem itd. W tym właśnie miejscu to, co zwykliśmy nazywać realistycznym, przekształca się w formy mityczne, symboliczne, ekspresjonistyczne, paraboliczne itd.

Bogactwo to musi jednak zachować jedną zasadę: zawsze bohaterem opowiadań Sztajnerta musi być świadomość opanowująca intelektualnie, obcy sobie, nieprzyswajalny w pełni świat. Proces ten bowiem jest jedyną dla niej możliwą formą istnienia. Jakkolwiek jednak bohater Sztajnerta jest określony przez własny kontakt z zewnętrznością, posiada on pewne stałe właściwości, które zawsze ukierunkowują jego działanie w dość dokładnie określony sposób. Ujawnia się tutaj podstawowa potrzeba precyzyjnej wiedzy i dobroci. Z kolei nakaz autentyzmu działania i przeżywania nieustannie zmusza bohatera do odnajdywania w świecie dziwności, niespodzianki. Ustosunkować się do czegoś nieoczekiwanego, nieznanego, to przecież znaczy tyle, co wzbogacić swój świat wewnętrzny. Ideałem stał się dla narratora jeden z najpiękniejszych bohaterów Sztajnerta, Klaudiusz. Jego wymyślona autentyczność, groteskowa w wielu fragmentach mu poświęconych, jest nieustanną prowokacją dla skłonnego do zgody na automatyzmy życia, na zniszczenie własnej osobowości przez bezmyślną powtarzalność, narratora.

Tom opowiadań „Śmierć prokuratora", mimo iż jest składanką rzeczy dawnych i nowych, jest zastanawiająco jednolity. Zostawmy tę zagadkę dla późniejszych, szczegółowszych rozważań. Nie jest to zagadka jedyna. Twórczość Sztajnerta domaga się nieustannej, uważnej analizy. Należy ona bowiem do tych zjawisk w naszej literaturze, które wyrastając poza poprawność, przeciętność itd., mogą w trakcie następnych lektur ujawnić swoją autentyczną znakomitość. Warto sprawdzać walory tej prozy już teraz, byśmy zbyt powierzchowni w naszych lekturach, nie ocknęli się po latach z poczuciem winy, iż przegapiliśmy ją we właściwym czasie.

JERZY PORADECKI

---

Bernard Sztajnert: „Śmierć prokuratora". Wydawnictwo Łódzkie 1973 r., str. 231, cena 13,– zł.

# DALSZY CIĄG?

Historia polskiego teatru pamięta generalne klapy, ilekroć próbowano prezentować za granicą „Wesele" Wyspiańskiego. A oto oficjalne doniesienia korespondentów zagranicznych mówiące o ogromnym zainteresowaniu paryskiej publiczności filmem „Wesele". Dzięki wizji Wajdy cudzoziemski odbiorca zaczyna pojmować to, co wydawało się w dziele Wyspiańskiego nieprzetłumaczalne na inny język i inną wrażliwość.

I jednocześnie z tymi doniesieniami na łamach polskiej prasy literackiej próbuje się przypinać Wajdzie etykietkę „rewizjonisty" i „szydercy polskiej historii".

„Dalszy ciąg szyderstw" — tytułuje swój felieton w „Życiu Literackim" Konrad Strzelewicz. Felieton krakowskiego publicysty jest wszakże „dalszym ciągiem" czegoś innego, jeśli zgłasza pretensje do „Krajobrazu po bitwie", a więc i do Borowskiego, jeśli zgłasza pretensje do „Zezowatego szczęścia" Munka (myląc jednak nazwisko głównego bohatera), jeśli próbuje wyrzucić z polskiej literatury twórczość autora „Ferdydurke"..

Jest w felietonie Strzelewicza charakterystyczne zdanie:

„Andrzej Wajda swoim wojennym bohaterom kazał umierać na śmietniku lub w kanałach, a w „Popiołach" eksponował sceny gwałtu popełniane przez żołnierzy spod hasła „Za wolność waszą i naszą".

To zdanie wyjaśnia wszystko. Konrad Strzelewicz jest po prostu głuchy na symbol — metaforę — i głuchy jest także na historię. Naiwne to bowiem przekonanie, że w blasku pięknych haseł mogą dziać się rzeczy tylko piękne. Historia uczy czego innego — uczy mianowicie, że rzeczywistość bywa bardziej złożona, skomplikowana, że nieobce są jej przedziwne meandry losów i spraw ludzkich.

Konrad Strzelewicz zdaje się widzieć świat jako piękną bezdeszczową pogodę. A przecież w życiu — tak jak i w meteorologii — bywa różnie.

Niezwykle wysoko cenię książkę Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych" — mądrą replikę na przejaskrawienia „szyderców". Ale czy to znaczy, że mam przekreślić, jak proponuje Strzelewicz, cenną książkę Marty Piwińskiej „Legenda romantyczna i szydercy"? Tylko dlatego, że wynosząc wysoko zasługi romantyków oddaje także sprawiedliwość „szydercom" jako sprawcom intelektualnego fermentu?

Felieton Konrada Strzelewicza jest — nie znajduję innego słowa — d z i w n y. Nie oszczędza nawet dobrego wojaka Szwejka, mieniąc go tym, który „spycha mit do rynsztoka". Czyj mit u Boga Ojca? c. k. Austrii? Nie oszczędził nawet... Arystofanesa i „Króla Ubu" Jarry'ego, ma pretensje do Krzysztofa Pendereckiego, że pisze do „Króla Ubu" operę... O Jarrym pisze zresztą w sposób tak uproszczony, jakby rzeczywiście ten 15-letni gimnazjalista, piszący w 1888 roku swoją bufonadę sceniczną, o niczym innym nie myślał, jak o tym żeby obrazić Polaków. Gdyby w ten historyczny sposób traktować sztukę, należałoby z niej wykreślić połowę dorobku. Anglicy na przykład dawno powinni spalić na stosie wszystkie dzieła Szekspira.

A czy nas przypadkiem nie obraża zawołanie Słowackiego: „Polsko, pawiem narodów byłaś i papugą"? A czy o tę mnogość gorzkich słów pod naszym adresem nie powinniśmy się obrazić na Wyspiańskiego?

Pan Strzelewicz patrzy na sztukę tak, jak pani Cesia na fotografię wykonaną przez pana Władzia na imieninach u cioci Agaty. „A tu mi wyszły takie cienie na szyi, panie Władziu, pan mnie tak niekorzystnie zdjął..." Pan Władziu może pani Cesi zaproponować, żeby zdjęcie podarła i nie będzie sprawy...

Ale niech Konrad Strzelewicz nie proponuje nam wyrzucenia istotnych wartości polskiej kultury tylko dlatego, że mu nie pasują do jego wizji. Nawiasem mówiąc — wizji, która jeśli może czymś zaskakiwać — to na pewno nie nowością.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

## FRYZURY

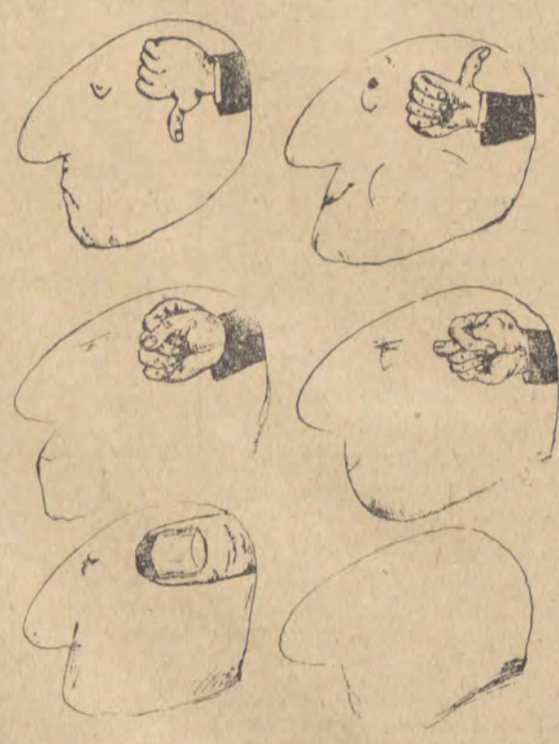

# Światło w ciemności

Wiara — tak, zadufanie — nigdy. Wierzymy w potęgę ludzkiego umysłu, bo są ku temu powody: wymyśliliśmy atomowe łodzie podwodne i model rozrywki lansowanej przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny, odwracanie biegu rzek i Polskie Koleje Państwowe w ich aktualnym działaniu, loty na Księżyc i samoobsługowe wagony tramwajowe, w których nie można kupić biletu. Ale zdarza się, kiedy analizujemy te wiekopomne błyski geniuszu, że wpadamy w zadufanie. A nic tak nie hamuje postępu, jak właśnie ono. Wydaje nam się wtedy, że już wszystko wiemy, wszystko osiągnęliśmy, jesteśmy władcami ducha i materii. I trzeba dopiero następnego rozbłysku geniusza, aby się przekonać, że byliśmy dotąd pogrążeni w głębokim mroku. Jest to poznanie podobne do tego, którego doświadczamy, kiedy po długim błądzeniu w ciemności zobaczymy światełko, wskazujące nam drogę.

Takim światłem stał się dla mnie ostatnio skromny zeszyt na prawach rękopisu wydany (560 egz. zaledwie — o hańbo!) przez **Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa** — Oddział w Warszawie. Bezcenne to dzieło wyszło spod pióra prof. dr **Bolesława Dunikowskiego**, jest przeznaczone dla słuchaczy czterosemestrowych kursów **dla przyszłej kadry kierowniczej** przedsiębiorstw (ludzie po studiach wyższych lub bez nich, ale z długoletnią praktyką na kierowniczych stanowiskach) i nosi tytuł **„Technika pracy umysłowej. Wybrane zagadnienia"**.

Wydanie tej pozycji w półtysięcznym nakładzie wydaje się zbrodnią wobec społeczeństwa.

To tak, jak gdyby „Mona Lizę" mistrza Leonarda na wieczność zamknięto w sejfie. Popularyzację książki prof. Dunikowskiego atakuję po prostu jako swój człowieczy — nie obywatelski nawet — obowiązek.

Główna idea autora wypływa zapewne z jego wieloletnich doświadczeń. Wie on z całą pewnością, jakich matołów wypuszczają nasze wyższe uczelnie, zauważył też, że i kadra kierownicza naszych przedsiębiorstw może spokojnie pracować przy otwartych oknach: nie orły, nie wylecą. Toteż traktuje swoich uczniów jednakowo, stosując metodę nauczania krowy na granicy. I tej właśnie metodzie podporządkowane są zawarte w broszurze definicje, wyjaśnienia, rozważania i konkluzje. Nie zapominajmy jednak, że geniusz polega na prostocie. Tę prawdę potwierdzają odkrycia prof. Dunikowskiego. Bo gdyby nie on — czy domyślilibyśmy się, że — cytuję:

**„W pracy fizycznej usiłujemy zwalczyć opory zewnętrzne przy pomocy wysiłku mięśni, w pracy umysłowej występuje wysiłek mózgu"?**

Jest to stwierdzenie przypominające cięcie lancetu prof. Barnarda. Jakże mętnie wygląda przy nim stwierdzenie, że **„ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile wynosi ciężar wody przez nie wypartej"**. Porównajmy tę ciemną średniowieczność choćby z tym odkryciem prof. Dunikowskiego:

**„Dla wzmocnienia potrzebnych sił i oszczędnego ich zużywania ogromny wpływ mają czynności fizjologiczne, przede wszystkim oddychanie i odżywianie".**

Autor tych słów stwierdził po prostu i otwarcie to, co ludzkość zaledwie podejrzewała, a co w zwulgaryzowanej formie brzmi: **„nie będziesz żarł — będziesz źle pracował, nie będziesz oddychał — zatniesz się".**

W dalszym ciągu twierdzeń fundamentalnych znajdujemy to, które mówi, że mózg wymaga zasilenia przez odżywianie. Następnie profesor pisze:

**„Należy przy tym zachować dużą systematyczność w przyjmowaniu, a tym samym przyswajaniu pokarmów, podobnie jak i w czynnościach wydalania".**

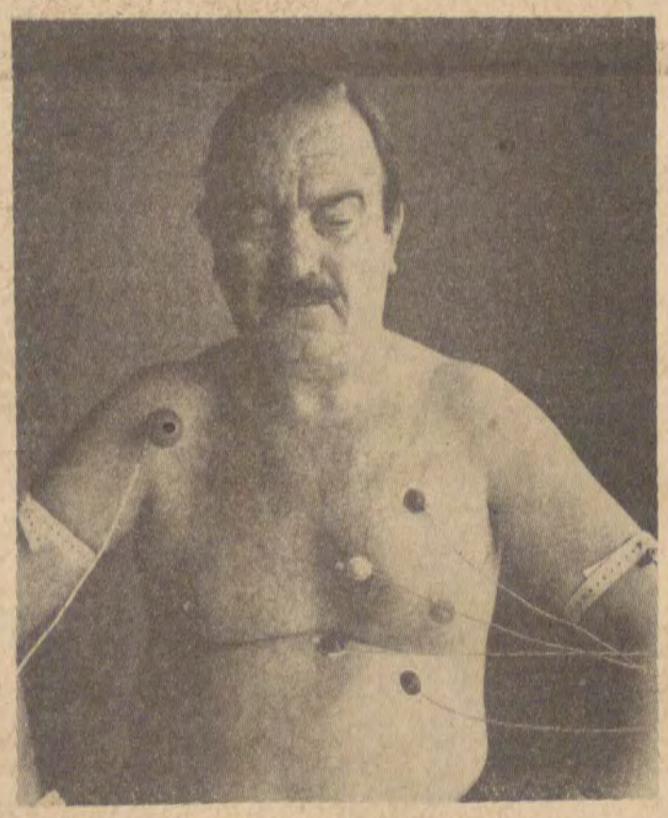

Jakże zaplodniająca jest ta konstatacja! Wyobrażam sobie, jak nauka rzuca się w dokonany przez Profesora wyłom! Oczami duszy widzę ogrom badań i wynikające z niego rozprawy, dysertacje, prace popularnonaukowe! Już słyszę tytuły poważnych prac naukowych: „Stolec a teoria względności", „Zatwardzenia jako pośrednia przyczyna „Niedokończonej Symfonii" Szuberta". Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania większego fragmentu. Będzie on dotyczył snu. Sen jako odpoczynek bezwzględny dobrze wpływa na naszą wydajność umysłową. Cytuję:

**„Sen jako najlepszy odpoczynek osiągamy przy zachowaniu następujących warunków:**

**1. Wczesne spożywanie posiłku wieczornego, gdyż późne wywołuje złe trawienie i mało efektywny sen;**

**2. wskazany jest spacer przed snem;**

**3. staranne zmycie potu i kurzu ze skóry przed położeniem się;**

**4. sen przy otwartym oknie;**

**5. uczynienie pewnego wysiłku, co nie zawsze przychodzi łatwo, aby odrzucić od siebie troski i zmartwienia, a jeżeli one nas gnębią, to postarajmy się je zniwelować przez lekturę książek nie zaciekawiających, a raczej nudnych".**

Mógłby tu ktoś Profesorowi zarzucić, że nie mówi wszystkiego do końca. Nie informuje nas na przykład, jak się spożywa, jak się zmywa ze skóry pot i kurz, jak się otwiera okno — nudne książki sami znajdziemy — ale nie zapominajmy, że autor liczy jednak na pewną, minimalną zresztą, inteligencję czytelnika. Do rad dotyczących snu, dodałbym jeszcze jedną: spać z rączkami na kołdrze, nigdy — pod. Profesor Dunikowski zaleca również wypoczynek dłuższy całkowity związany z obcowaniem z przyrodą. Cytuję:

**„Przy spędzaniu czasu wolnego nie tylko bierzemy pod uwagę używanie ruchu, wywołanie swobodnego krążenia krwi, wchłanianie tlenu, lecz i możliwie częste przeżywanie nastroju pogodnego, związanego z wewnętrznym zadowoleniem".**

Gdzie indziej autor pisze o strasznych spustoszeniach w umyśle, które wywołują alkohol i nikotyna — prawdopodobnie również stosunki seksualne. Wydaje mi się na podstawie tych zaleceń, że prof. Dunikowski widzi społeczeństwo jako duży hufiec harcerski z okresu Baden-Powella. Co do mnie — zgadzam się z tym marzeniem. Nic mnie tak nie pobudza intelektualnie jak podchody oraz pieśń „Płonie ognisko i szumią knieje, drużynowy jest wśród nas".

Praca prof. Dunikowskiego mimo swej pozornej skromności — lichy papier, technika offset, 45 stron zaledwie, bez portretu i biografii autora — jest tak zapładniająca, że można by o niej mówić godzinami. Przeznaczenie na nią w ramach dwuletniego kursu dla kadry kierowniczej tylko 2 godzin stacjonarnych, 5 godzin poświęconych na poznanie materiału dydaktycznego i 1 zaledwie pracy pisemnej sprawdzającej — jest śmieszne i żałosne. Toteż w ramach mojego wątłego czasu chciałbym zasygnalizować pewne kapitalne problemy, tracone przez Profesora. Oto na przykład w akapitach dotyczących egzaminów — które oczywiście są **„ukoronowaniem skontrolowania stanu wiedzy"** — proponuje on sześć czynności logicznych wynikających z zadanego na egzaminie pytania. Po pierwsze — zastanawiamy się o co chodzi pytającemu, po ostatnie — czy powinniśmy wyrazić własną opinię o problemie. Kiedy przebiegam pamięcią pytania, które mi zadawano, kiedy przypominam sobie, ile razy niepotrzebnie wypowiadałem swoją opinię — nie mogę sobie darować, że wiele lat wcześniej nie natknąłem się na dzieło Profesora. Wskazałby mi on wyjścia z szeregu innych sytuacji, w których błąkałem się dotąd po omacku. Wiedziałbym na przykład, że nie wystarczy książkę przeczytać: trzeba prowadzić dziennik lektur, kartotekę, fiszki, notatki, syntezy oraz skoroszyt z wyciągami. Wiedziałbym, że częste publiczne zabieranie głosu wyrabia już istniejące zdolności referatowe, że treść prelekcji winna być zgodna ze stanem nauki. Zrozumiałbym, co to jest umysł krytyczny, uprawiałbym systematyczne zdobywanie wiedzy, kładłbym się spać z lekkim żołądkiem i budził z lekkim sumieniem. Lepiej jednak późno niż wcale. Praca prof. Dunikowskiego nie tylko dla mnie będzie wstrząsem i przełomem.

Kiedy byłem płowowłosym pacholęciem, nauczono mnie pewnego wierszyka. Pamiętam go do dziś:

**„Grzeczne dziecko, gdy wstanie,**
**Nie pyta o śniadanie,**
**Tylko rączki umyje,**
**Buzię, oczka i szyję.**

**Do paciorka ukląknie,**
**Trzyma rączki złożone,**
**I na żadną się stronę**
**Nie obraca, nie kręci,**
**Bo ma zawsze w pamięci,**
**Że dobra Bozia jest wszędzie**
**I za złe karać będzie".**

Myślę, że dzieło profesora Bolesława Dunikowskiego pod tytułem: **„Technika pracy umysłowej. Wybrane zagadnienia"**, jest rozwinięciem i twórczą kontynuacją powyższych strof poetyckich.

**MAREK WAWRZKIEWICZ**

# MALUTKIE RÓŻOWE...

Liczba łóżek szpitalnych w stosunku do liczby ludności wciąż jeszcze nie jest zadowalająca, chociaż stosunek ten w ostatnich latach znacznie się poprawił. Ponieważ łóżek jest mniej niż byśmy chcieli, do szpitala idą ludzie, wymagający intensywnego leczenia. Idą do szpitala — czyli w najnowszym języku polskim — ulegają hospitalizacji.

Zhospitalizowany pacjent powinien być leczony intensywnie zarówno dla własnego dobra, jak i dlatego, żeby jak najkrócej zajmować łóżko. W najnowszym języku polskim — żeby rotacja i obłożenie łóżek nie miały trendu malejącego.

Trzy razy dziennie panienka w białym czepku, bardzo wesoła i ruchliwa przyniosła nam, smętnym połamańcom, pigułki i tabletki. Co to za tabletki? — pytałem pierwszego, drugiego i trzeciego dnia. — A to takie dla zdrowia — odpowiadała, wobec czego przestałem pytać. Ten sam obyczaj panuje zresztą, zdaje się, we wszystkich szpitalach. Chory nie wie, czym go leczą. No, niech by tak nawet było, ale za tym kryje się założenie idealnej rzetelności wszystkich, zawsze wszędzie.

Po tygodniu lekarz pyta mnie mimochodem: pan dostaje metindol dwa czy trzy razy dziennie?

— Nie wiem, czy dostaję.

— No, takie podłużne w kapsułkach.

— Takich nie dostaję wcale. Dostaję malutkie, białe i troszkę większe, a czasem maleńkie różowe.

Od słowa do słowa okazało się, że przepisanego mi metindolu nie dostałem ani razu, a siostra wyjaśniła po prostu, że nie dostała go z apteki szpitalnej. Apteka szpitalna nie ma, koniec. Lekarz nic nie wie, a chory — tym razem ja sam — przez cały tydzień zamiast intensywnego leczenia dostaje witaminki. Po to leżeć w szpitalu, żeby łykać witaminkę? Innych zabiegów nie było przez ten czas żadnych. Oczywiście żona przyniosła natychmiast metindol, kupiony w pierwszej z brzegu aptece w mieście. Tylko szpital miał trudności „wyciszone" przez niefrasobliwą pielęgniarkę.

Są leki — na przykład antybiotyki, ale nie tylko, bo i metindol także — które powinno się zażywać nieprzerwanymi seriami, inaczej cała kuracja traci sens. Ale apteka szpitalna nie da, siostra zapomni, nie powtórzy jedna drugiej, chory przecież nie wie o niczym i o nic nie będzie się upominał. Dokoła mnie takie sprawy były zjawiskiem masowym. Łóżkodoby lecą, połamańcy stękają.

— Czym pan był leczony przed przyjściem do szpitala (przed zhospitalizowaniem)? — pyta lekarz. Trochę wiem, trochę nie wiem. Na opakowaniach leków gotowych są napisy, których się można nauczyć. Na lekach robionych na zamówienie nie ma nic. Nie wiadomo, co to jest, nie można powtórzyć bez ponownej recepty, a właśnie lekarz „na rejonie" znów się zmienił i co pokazać temu nowemu, co mu powiedzieć? Że łykało się takie słono-gorzkie-paskudne czy lepkie i tłuste? A jak postawi się w domu obok siebie dwie buteleczki, to skąd wiedzieć, co która zawiera, żeby nie napić się zajzajeru?

Przed „zhospitalizowaniem" przeprowadziłem wszelkie możliwe badania, odwiedzała mnie co dzień w domu pielęgniarka z zastrzykiem, zażywałem różne leki; było to więc leczenie intensywne, ale ponieważ nie pomagało, trzeba było jeszcze bardziej je uintensywnić. Przewieziono mnie w stanie leżącym, odleżałem sobie dobę, potem wszystko zostało zawieszone do ponownego przeprowadzenia badań, bo każdy lekarz i każdy ośrodek wierzy wyłącznie wynikom własnym. Bardzo dobrze, tylko że te badania trwają sporo dni, a na rentgena w luksusowym, supernowoczesnym, świetnie wyposażonym szpitalu czeka się 3—4 dni, nie wiem dlaczego, ktoś ciągle zapomina, przegapia, pomija. Mylą się karty, nazwiska, terminy. Tuziny młodziutkich sióstr biegają w tę i z powrotem w szalonej zdawałoby się alteracji, pacjenci leżą i czekają, nic się nie dzieje. Potem już wyniki badań są — i co? I zaczyna się łykać witaminki w głębokiej wierze: teraz nareszcie mnie tu wyleczą...

Trudno też uznać za dopust boży, że w owym rentgenologicznym gabinecie co drugi pacjent łapał ciężką grypę. Tam było po prostu strasznie zimno. Wyobraźcie sobie ciężko chorego, zgorączkowanego, starego człowieka (to nie o mnie!), który nagusieńko leży na lodowatej metalowej płycie przez trzy kwadranse, w pomieszczeniu o temperaturze tramwaju? No i znów dodatkowe łóżkodoby, kaszel, temperatura — wcale nie związane z tym, na co miano pacjenta leczyć.

Strach powiedzieć i ręka mi drży, ale to chyba jednak prawda: więcej organizacji, mniej niefrasobliwości w traktowaniu materiału przerobowego (przepraszam: pacjentów...), zwłaszcza ze strony personelu niższego, a szybko się okaże, że stosunek liczby łóżek szpitalnych do liczby mieszkańców wcale nie jest taki zły...

ĆWIEK

## EX LIBRIS ODGŁOSÓW

### JACHTY

Od 1967 r. Wydawnictwo Morskie kontynuuje serię „Sławni żeglarze", której założeniem jest prezentacja książek-relacji powstających po znanych wyczynach i wyprawach żeglarskich. Ukazało się w niej już 11 pozycji. Pierwszą z nich było „Samotne zwycięstwo" Erica Tabarly'ego, ostatnią znów tego samego autora „Moje „Pen Duicki".

Jest to pasjonujący opis z projektowania kolejnych jachtów „Pen Duick", dzięki którym znakomity żeglarz odniósł szereg wspaniałych zwycięstw. I tak na „Pen Duick II" zwycięża w regatach samotników na trasie Plymouth-Newport" w 1964 r., na „Pen Duick III" w 1967 triumfuje w sześciu regatach, na „Pen Duick IV" osiąga wspaniały sukces na trasie Los Angeles—Honolulu, wreszcie w 1969 r. „Pen Duick V" pozwala mu przebyć odległość 5.700 mil morskich między San Francisco a Tokio w niecałych 40 dni i oczywiście zdobyć bez trudu pierwsze miejsce.

Tę fascynującą opowieść przeczytają jednym tchem zarówno młodzi miłośnicy morskich przygód jak i starsi zainteresowani tą tematyką.

Eric Tabarly — „Moje Pen Duicki", Wydawnictwo Morskie 73.

### MORZE W LITERATURZE

Od wieków znany jest sentyment Polaków do morza. Wielokrotnie znajdował on odbicie w literaturze. Jedną z prób zaprezentowania wyboru nowel i opowiadań poświęconych morzu, począwszy od Norwida, poprzez „Latarnika" Sienkiewicza i „Godzinę śródziemnomorską" Parandowskiego do najnowszych pozycji marynistycznych jest antologia „Głosy morza".

Jest ona zwierciadłem dokumentującym naszą obecność na morzu lub tęsknotę za nim i dążenie ku niemu.

Równocześnie prezentuje najróżniejsze relacje w stosunkach: człowiek — morze ujęte w formie literacko zamkniętych małych form prozatorskich. Właśnie w noweli wypowiadali się najpełniej na ten temat najwybitniejsi pisarze obcy i stąd zrodziła się koncepcja pokazania, jak przedstawia się to analogicznie w naszej literaturze.

Cennym uzupełnieniem jest aneks biograficzny omawiający życie i twórczość każdego z autorów, którego utwór znalazł się w antologii.

„Głosy morza", Wydawnictwo Morskie 1973.

### DIABELSKIE POCZWARY

Wielką poczytnością cieszą się wszelkiego typu zbeletryzowane biografie wielkich pisarzy, malarzy, muzyków itp. dzieła. Nietrudno przewidzieć, iż podobnie będzie z powieścią współczesnego holenderskiego pisarza Theuma de Vriesa „Diabelskie poczwary". Przedstawia w niej autor, pod postacią Melchiora Hinthama, życie jednego z najoryginalniejszych artystów wszystkich epok i kontynentów — flamandzkiego malarza z przełomu XV i XVI wieku, Hieronima Boscha.

Ponieważ niewiele wiemy o życiu tego genialnego twórcy, inwencja pisarza poszła w kierunku uwypuklenia wspaniałości i rozmachu jego dzieł. Otrzymaliśmy więc znakomity literacki odpowiednik surrealistycznych wizji Boscha. Cała niesłychana fantastyka jego obrazów została tu poddana szczegółowej analizie.

W sumie dzieło de Vriesa to szeroko rozbudowany, wręcz monumentalny fresk epoki, nawiązujący do wydarzeń i postaci historycznych.

Theum de Vries — „Diabelskie poczwary", Wydawnictwo Literackie, 1973 r.

### KRONIKA Z SAN GABRIEL

Coraz częściej na naszym rynku księgarskim pojawiają się książki autorów południowoamerykańskich. Szczególnie obfity pod tym względem był rok ubiegły, głównie dzięki serii „Proza Iberoamerykańska" Wydawnictwa Literackiego.

Jedną z ostatnich pozycji tej serii była „Kronika z San Gabriel" Julio Ramona Ribeyro, pisarza należącego do średniego pokolenia pisarzy peruwiańskich. Jest reprezentantem kierunku określanego przez krytykę jako neorealizm, przedstawiającego rzeczywistość w sposób zobiektywizowany i psychologicznie pogłębiony.

Powieść powstała pod wpływem doznanych w dzieciństwie przeżyć, lecz nie ma charakteru ściśle autobiograficznego. Autentyzm przedstawionych postaci, zdarzeń i zjawisk wzbogaca jedynie fikcję literacką.

„Kronika z San Gabriel" jest nie tylko egzotycznym dokumentem obrazującym konflikty w malowniczo położonej hacjendzie, lecz także utworem o ludzkich namiętnościach i zawiedzionych nadziejach.

Julio Ramon Ribeyro — „Kronika z San Gabriel", Wydawnictwo Literackie, 1973.

### PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA NA MORZU

Mimo iż od zakończenia pierwszej wojny światowej minęło już ponad pół wieku, niewiele prac poświęcono sprawom wojny na morzu w latach 1914—1918. Szczególnie razi to w zestawieniu z obfitością opracowań dotyczących tego problemu w czasie drugiej wojny światowej.

Ostatnio, dzięki Wydawnictwu Morskiemu, otrzymaliśmy pierwsze w literaturze polskiej popularne i wyczerpujące ujęcie całokształtu działań morskich w okresie 1914—1918.

Autorzy — Jan Gozdawa-Gołębiowski i Tadeusz Wywerka Prekurat starali się z jak największą dokładnością dać pełny przegląd wydarzeń na morzu. Koncentrując się na działaniach morskich ściśle je jednak powiązali z koncepcjami politycznymi i operacjami na lądzie. Starali się również ukazać wpływ rozwoju techniki i wynalazków w dziedzinie uzbrojenia na przebieg tych działań.

Ta bardzo obszerna, bogato ilustrowana praca spotka się na pewno z dużym zainteresowaniem nie tylko ze strony miłośników temtyki morskiej i militariów.

A.N.

Jan Gozdawa-Gołębiowski, Tadeusz Wywerka Prekurat — Pierwsza wojna światowa na morzu, Wydawnictwo Morskie.

### WARTO PRZECZYTAĆ

A. Maurois — „Kilmaty", PIW, cena 15 zł.
M. Wallis — „Dzieje zwierciadła", WAiF, cena 40 zł.
J. Madeyski — „Jerzy Nowosielski", Wyd. Literackie, cena 40 zł.
J. Hen — „Twarz pokerzysty", „Czytelnik", cena 13 zł.
T. Nowak — „Diabły". „Czytelnik", cena 22 zł.
J. Dombrowski — „Czarna dama" PIW, cena 20 zł.
K. K. Baczyński — „Utwory wybrane", Wyd. Literackie, cena 25 zł.
L. Michells — „Księga Alfa. Orchis militaris, ", PIW, cena 20 zł.
T. Chabrowski — „Drzewo mnie obeszło", LSW, cena 10 zł.
J. Lie — „Otchłań" Wyd Poznańskie cena 18 zł.
H. Hermanowicz — „Brzegami Popradu", SiT, cena 75 zł.
J. Harasymowicz — „Madonny polskie", Wyd. Literackie, cena 18 zł.

## FILM

# WSPÓŁCZEŚNI ODYSEUSZE

Rok 2001 jest już bardzo bliski. W roku tym podróże na Księżyc (nie przesadzajmy — tylko naukowe podróże) będą czymś zupełnie normalnym i prostym. Wydarzeniem zaś będzie pierwsza wyprawa na Jowisza. W to wszystko uwierzyć można, oglądając film Stanleya Kubricka pt. „2001: ODYSEJA KOSMICZNA". Jako nikły znawca astronautycznej problematyki i osoba, której trudno przypisać entuzjazm dla literatury i filmu fantastyczno-naukowego, uważam to za sukces tego filmu. Choć może wcale o to nie chodzi w twórczości science-fiction, po raz pierwszy wierzyłam w to, co mi w filmie swym pan Stanley Kubrick pokazywał, po raz pierwszy obrazy przyszłości i możliwości technicznych naszej cywilizacji mnie laika, nie śmieszyły. Wszystko to nie znaczy jednak, iż mogę bez pewnego zaskoczenie czytać opinię, że „Odyseja kosmiczna" Kubricka jest uważana za najwybitniejszy i klasyczny już film gatunku science-fiction w dotychczasowych dziejach kina. Znaczyłoby to, że wiele na polu tym jest jeszcze do zrobienia jako że, mimo wszystkich walorów, film ten posiada jednak akcenty swoistego infantylizmu i rozbrajającej naiwności — może jest odzwierciedleniem stanu ludzkiej świadomości wobec tajemnic, które kryje w sobie Wszechświat.

Najbardziej, choć nie jest to zupełnie uczciwie powiedziane, podoba mi się w filmie tym tytuł. Autorzy filmu, pisarz i uczony Arthur Clarke, według którego noweli powstał scenariusz i Stanley Kubrick wyznają, że tytuł ten powstał na drodze prostego skojarzenia. To, czym dla dawnych Greków były wielkie obszary nieznanych mórz, po których płynęli Odyseusz i jego towarzysze, tym dla współczesnych ludzi jest dziś przestrzeń kosmiczna. „Odyseję" Homera z „Odyseją kosmiczną" łączy więc idea pragnienia poznania, związana z wędrówką i przygodą. Wielka wyprawa w Kosmos nie jest dziś jednak indywidualną decyzją obdarowanych fantazją, odwagą, żądzą poznania jednostek, ich podróż jest świadectwem pragnień i możliwości zbiorowych. Obraz zaś tych możliwości znalazł w filmie Kubricka wyjątkowo przekonywającą konkretyzację. Brzmi to prozaicznie, ale na to, by to osiągnąć, potrzeba było wiele pieniędzy z kiesy producenta, być może brak tych pieniędzy określa mierną jakość wielu innych filmów fantastyczno-naukowych.

Ponieważ osobiście uważam informacje o kulisach realizacji „Odysei kosmicznej" za bardzo ciekawe, pozwolę je sobie za książką Jerzego Toeplitza „Nowy film amerykański" przytoczyć. Przy realizacji tego filmu nawiązano kontakt z urzędową agencją astronautyczną NASA, realizującą — jak wiadomo — program księżycowych lotów Apollo stałym konsultantem filmu został astronauta Deke Slayton. Dzięki poparciu NASA otrzymano pomoc 40 przedsiębiorstw i instytucji zajmujących się przygotowaniami podróży międzyplanetarnych. Toteż tak w okresie przygotowawczym jak i w czasie realizacji nad filmem pracował cały sztab wybitnych specjalistów. Sam film, który pochłonął ponoć bajońskie sumy, realizowano 3 lata, a prace nad nim otoczone były największą tajemnicą. O zaangażowanych środkach niech świadczy fakt, iż dla potrzeb filmu zamówiono olbrzymią wirówkę o średnicy 11,5 metra, obracającą się na osi z szybkością 4828 metrów na godzinę. Umieszczeni wewnątrz aktorzy doprowadzani byli do stanu nieważkości, przypominającego warunki lotów kosmicznych. Zdjęć dokonywano oczywiście z zewnątrz, porozumiewając się z nimi za pośrednictwem zamkniętego obwodu telewizyjnego. Znakomite efekty tych i wielu innych poczynań obejrzeć można w „Odysei kosmicznej", uzyskując wrażenie autentyzmu a nie markowania tak charakterystycznego w wielu innych filmach. Podniera je fakt, że dużo innych drobiazgów tzw. życia codziennego kosmonautów posiada owo niezbędne minimum prawdopodobieństwa. Wszystko to sprawia, iż w najlepszej, trzeciej części tego filmu niezwykła walka ludzi z pragnącym ich zniszczyć komputerem zdumiewa nie tylko dramatyzmem, ale określą zupełnie realnie stan możliwości współczesnej techniki.

Osobnym zagadnieniem jest w „Odysei kosmicznej" niezwykle wprost bogactwo użytych w niej efektów wizualnych, ukazujących obrazy lotów pojazdów kosmicznych (choć nie wiem czy wszystkich usatysfakcjonuje „kosmiczny balet", wykonywany w rytm straussowskiego walca „Nad pięknym, modrym Dunajem"), widoki Ziemi i Księżyca czy wreszcie plastyczne apogeum lotu do Jowisza i lądowania na nim. Są to bez wątpienia częstokroć fascynujące wizje plastyczne, którym w sukurs przychodzi dodatkowo znakomicie skonstruowany świat muzyki i dźwięków, bądź kontrapunktowo — cisza, lecz wydaje mi się, że ich czasowa redukcja wyszłaby całości na dobre.

Najwięcej wątpliwości budzi jednakowoż intelektualno-metaforyczna klamra spinająca całe to techniczno-plastyczne widowisko, tyle samo naiwne, co, zwłaszcza w ostatniej scenie, nie bardzo czytelne. Symbol obecności we Wszechświecie cywilizacji wyżej zorganizowanej, mającej swój wpływ na ukształtowanie ziemskie, o czym przekonać ma pierwsza, zupełnie idiotyczna „małpia" część filmu, owa prostopadłościanowa płyta, miała być czymś najprostszym rekompensującym naszą nieświadomość tego, co wyższa cywilizacja być może. Nieuchronnie musiała być śmieszna. Bardzo piękna w pozornej prostocie pomysłu ostatnia „jowiszowa" sekwencję zakończono narodzeniem, ukształtowaniem dzieciecia. Jakiego? co symbolizującego? — lepszego, doskonalszego człowieka? Mętne to i nijakie! Z symboli i metafor „Odysei kosmicznej" nic nie wynika. Część pierwsza prawie wyrzuca z sali kinowej, rzecz się jednak rozwija powoli, by po księżycowej sekwencji zafascynować wielkim kosmicznym pojedynkiem człowieka i komputera i osiąść po pięknej podróży na Jowiszu na mało przekonywającym jasnością symbolu ostatnim. Przy większej dramaturgicznej precyzji byłaby chyba „Odyseja" Kubricka filmem lepszym, kto wie jednak czy dałaby tę namiastkę Kosmosu, którą chyba jest, gdy zbyt intelektualnie jej nie rozważamy.

EWA NURCZYŃSKA

## TELEWIZJA

# GRY TELEWIZYJNE

„W grze następuje przemieszczenie własności, nie dochodzi jednak do wytworzenia jakichkolwiek dóbr" — pisze znakomity teoretyk kultury Roger Caillois. Opinia ta doskonale pointuje społeczny efekt działania telewizji na rzecz prezentacji dwóch gier, którym pragnę się krytycznie przyjrzeć.

Zacznijmy od tej, w której „przemieszczenie własności" dotyczy większej ilości zer, czyli od „Totolotka". Wolny od miraży „szczęścia za 1 000 000" z rosnącym zażenowaniem obserwuję karierę programu, który wbrew oczywistej — nazwijmy to tak — niestosowności wcale nieźle zadomowił się w naszej telewizji i funkcjonuje tam dwa razy w tygodniu. Niestosowność każdorazowej prezentacji losowania „Totolotka" na małym ekranie wynika z jej motywów. Chodzi o publiczną demonstrację fair play'u, który kreuje polskich milionerów. Jednakże te skądinąd szlachetne i sympatyczne intencje wydają mi się tu akurat nie na miejscu. Sugerują bowiem niedwuznacznie swoje przeciwieństwa. Przesadna celebracja tego całego rytuału losowania (te wszystkie plomby i pieczęcie!) odprawiana przez dżentelmena z miną kierownika zakładu pogrzebowego stwarza właśnie niezdrowy społecznie klimat czujności przesadzonej, patrzenia na ręce, jednym słowem a rebours podrywa zaufanie dla państwowej instytucji, która do tej pory nie szukała telewizyjnej reklamy i wszystko było w porządku.

Impreza ta jest żałosna w swoim prowincjonalnym zadęciu i jako żywo przypomina losowanie fantów na zabawie strażackiej, którą tak celnie skarykaturował Forman w „Pali się, moja panno!" A przecież zanim ktoś wpadł na ten niesmaczny pomysł losowanie odbywało się również publicznie, a więc bez szwindli i nie zamulało programu. Powtarzam — nie gram w „Totolotka" i zapewne jego telewizyjne losowanie jest dla mnie pozycją nie tylko o wątpliwej wymowie, ale także śmiertelnie nudną. Bowiem samo działanie losu jest koniecznym, ale nie wystarczającym warunkiem do stworzenia spektaklu, który urastałby do rangi antycznej tragedii. Nie emocjonuje mnie zatem obraz ponumerowanych kulek, które wyrzuca z siebie zmyślna machina, ten fetysz ślepego uśmiechu milionowego szczęścia.

W drugiej grze, która koncentruje dramatyczne emocje naturalnym motorem napięcia jest nie tylko suma, znacznie zresztą skromniejsza, bo tylko 25 000 zł. I mimo, iż red. Budzyński, promieniując niekłamanym wdziękiem uprzejmie pyta: „Ma Pan 50 zł! Gra Pan dalej?" gra toczy się również o wartości niematerialne. Tu również dba się o reguły, których wspaniałym gwarantem już choćby tylko z postawy jest Pan Prezes Cichosz, jakby wyjęty z kart „Klubu Profesora Tutki". W „Wielkiej grze" najpierw liczy się wiedza, potem dopiero liczy się pieniądze. Ten teleturniej encyklopedystów staje się często widowiskiem pasjonującym. Efektowne pokonywanie kolejnych, niekiedy chytrze iętrzonych progów trudności przez amatorskich gladiatorów erudycji zdobywa im poklask telewizyjnego audytorium. Umiejętne wytrzymanie czasu przez prezentera pomiędzy trudnym pytaniem a trafną w końcu odpowiedzią tworzy chwilami napięcie równe sekwencjom „Francuskiego łącznika". „Wielka gra" dostarcza wtedy portrety ludzkie sfotografowane w całej pełni niebywale intensywnego przeżywania. Mniej interesuje mnie jednak w tym temacie psychologia od pewnego fenomenu natury socjologicznej, który wyraziście objawia się w „Wielkiej grze". Program ten stanowi znaczący fragment sposobu istnienia nauki w społecznej świadomości.

Truizmem jest, że obserwujemy ogromną dysproporcję poznawczą pomiędzy świadomością naukową a świadomością potoczną. Jednocześnie wobec rosnącej komplikacji naukowego pojmowania świata i — co za tym idzie — jego języka, dystans ten nieustannie powiększa się. Mimo to (i właśnie dlatego) nauka zdobyła sobie we współczesnym społeczeństwie ogromny autorytet. Istnieje potrzeba stałej informacji w środkach masowego przekazu o jej osiągnięciach. Lecz informacje o nauce w nieuchronny sposób deformują jej hermetyczne treści, ponieważ ich pełne ujawnienie, bez ceny uproszczenia jest niemożliwe. Stąd informacja na temat nauki w tv na przykład jest wyrwana z poznawczego kontekstu i zmierza w kierunku sensacyjności. Nauka oglądana bardzo często na ekranie telewizora stanowi zbiór wiadomości i poglądów, których treść dyskursywna nie poddaje się racjonalnej rekonstrukcji na gruncie danej dyscypliny. Naukowa mozaika informacji nie tworzy harmonijnego światopoglądu, lecz szantażuje swoją uczonością i sprzyja postawom irracjonalnym. Stworzenie w miarę (na ile sama nauka współczesna na to pozwala) sensownej, naukowej wizji świata drogą rozsądnej i świadomej celów popularyzacji jest sukcesem, przed którym nadal stoi polska telewizja. Póki co stanowi ona wizualną encyklopedię nauki, nie uczy natomiast trudnej sztuki myślenia jej kategoriami.

Inscenizację tego skrótowego z konieczności wywodu stanowi właśnie „Wielka gra". Typ pytań oraz sposób ich budowy sprzyja mechanicznemu kolekcjonowaniu wiadomości w ramach danej dziedziny, zaprzecza natomiast tworzeniu myślowych konstrukcji. O prawdzie lub fałszu odpowiedzi rozstrzyga Eksperi, który cieszy się autorytetem szamana. Encyklopedycznym pojedynkom przygląda się największa publiczność, która nie szuka tu wiedzy, lecz rozrywki. Kilka tygodni temu autorzy teleturnieju, pragnąc uatrakcyjnić audycję jeszcze bardziej wyostrzyli opisaną tu tendencję. Zabawa w erudycję odbywała się pod hasłem „Wiem wszystko" i pod transparentem z tym napisem sadzano w wielkim fotelu, który przypominał krzesło elektryczne kolejnego kandydata na polihistora. Następnie pojawiał się np. Jerzy Waldorff z Puzonem na kolanach i z pytaniem do denata: „W której z symfonii Haydna mogłyby wystąpić psy?".

Jawią się nam zatem gry telewizyjne jako proceder wielce podejrzany w swoich motywacjach społecznych. Ich jedynym realnym efektem jest istotnie — zgodnie z sądem Caillois — przepływ gotówki z kasy państwowej do prywatnej (i odwrotnie). Trudno bowiem nazwać dobrem szerzenie przy pomocy telewizji postaw irracjonalnych i magicznych.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Fot. Archiwum

## PLASTYKA

# MIEJSCE DLA TKANINY

Dalszy ciąg ze str. 9

Ale jak powiedzieliśmy — impreza miała charakter przede wszystkim handlowy. Więc pytania: sprzedano? ile i za co? komu? Zanim odpowiemy na nie, godzi się jeszcze wspomnieć, iż po zamknięciu Targów odezwały się głosy osądzające imprezę jako niezbyt udaną, a nawet jako kompletny niewypał. Podstawą takich osądów był fakt, iż ogromna większość tkanin wróciła z powrotem do pracowni artystów.

To mają być Targi? To ma być handel? Czysta kpina!

Przysłowie mówi: Nie mów hop, póki nie przeskoczysz. A inne: Trzy razy pomyśl, raz powiedz.

Na Targach CEPELIA nowojorska zakupiła 15 tkanin za łączną sumę 261.000 zł. COOPEXIM-CEPELIA jedną tkaninę za 20.000 zł. Muzeum Historii Włókiennictwa tkanin za sumę 200.000 zł. Ministerstwo Kultury i Sztuki dla Muzeum Włókiennictwa zakupiło tkanin za 150.000 zł. Wydział Kultury PRN tkanin za 120.000. Ponadto dwie tkaniny kupiły osoby prywatne.

Rzeczywiście nie są to jak na targi ogólnopolskie efekty oszołamiające; raczej skromne. Pytanie pierwsze, które się nasuwa, to: a gdzie był klient krajowy — muzea, instytucje i przedsiębiorstwa? No, cóż. Żadne muzeum krajowe, nie wyłączając Muzeum Narodowego, nie przysłało (w każdym razie oficjalnie) na Targi swego przedstawiciela. Z góry uprzedzam, że wydrukowana została odpowiednia ilość (1.000 sztuk) plakatów i zaproszeń i że zostały one rozesłane w odpowiednim terminie wszędzie tam, gdzie organizatorzy spodziewali się znaleźć potencjalnego nabywcę. Co zaś tyczy się instytucji i przedsiębiorstw, to jako klienci okazały one całkowitą obojętność. Dlaczego? Na pewno nie trafia mi do przekonania argumentacja, iż mamy tu do czynienia z obojętnością na sztukę, że w przedsiębiorstwach i instytucjach potrzebne jest wszystko, tylko nie dzieło sztuki, że ślepota, że zniechęcenie estetyczna itd. itp. Oczywiście prawdą jest, że zakłady przemysłowe, które powinny kupować dzieła sztuki i które mają na to pieniądze, są w poczynaniach owych zakupów, delikatnie mówiąc, nieco opieszałe. Ale prawdą też jest, że mimo wszystko kupują obrazy, grafiki, rzeźby, ceramikę, szkło.

Najlepszym tego przykładem są zakupy na Warszawskich Targach Plastyki. Dlaczego więc zlekceważone zostały całkowicie targi tkaniny? Odpowiedź wydaje mi się prosta. Z obrazem, z grafiką wiadomo, co zrobić — wiesza się w gabinecie, w świetlicy, w zakładowym domu kultury. Dla rzeźby, ceramiki, dla przedmiotu ze szkła miejsce również się znajdzie. Ale tkanina? To kłopot. Położyć na podłodze — po pierwsze na dywan to nie za bardzo, po drugie — za takie pieniądze za szybko się zniszczy. Powie ktoś, że można powiesić. Ano, właśnie. Można. Tylko gdzie? Nie ma miejsca. I doszliśmy do sedna.

Obraz można powiesić wszędzie, lecz tkanina musi mieć dla siebie odpowiednie miejsce. Niestety. Architekci projektujący wnętrza nie przewidywali (w większości wypadków, oczywiście) miejsca dla takiego przedmiotu sztuki. Rzadko myśleli dotąd nad możliwościami łączenia architektury z tkaniną w szerszym zakresie. W pomieszczeniach adaptowanych ten problem w ogóle nie wchodzi w rachubę. I dlatego targi tkaniny nie mogły trafić do klienta, który po prostu nie miał pojęcia co zrobić z oferowanym mu towarem. A jeśli miał pojęcie, to nie miał możliwości wykorzystania go zgodnie z jego prawdziwym przeznaczeniem. I stąd brak zakupów, którego nie należy uważać za piątę imprezy.

Nie ma sensu robić tu wykładu o roli tkaniny unikatowej we współczesnej architekturze, we współczesnym wnętrzu. Plastycy — wnętrzarze doskonale znają te sprawy, (a jeśli nie znają, to powinni czym prędzej się poduczyć). W każdym razie na pewno winni oni w o wiele szerszym niż dotychczas stopniu wykorzystywać w swych projektach tkaninę unikatową dającą nieograniczone możliwości kombinacji dekoracyjnych i aranżacji przestrzeni. Targi Tkaniny Artystycznej będą imprezą stałą. Od plastyków — projektantów wnętrz w dużym stopniu zależy powodzenie tej imprezy.

Naturalnie, że reklama, że propaganda samej imprezy jest konieczna. Ale naczelne hasło winno brzmieć: **miejsce dla tkaniny artystycznej w architekturze.**

ANDRZEJ GRUN

# MAGAZYNEK

### WYJAŚNIENIE

Ze wszystkich zakątków kraju nadchodzą do nas zapytania, które ogólnie streścić można w jednym zdaniu: „Czy prawdą jest, że reżyserzy filmowi żyją ze swoimi aktorkami?" Otóż raz wreszcie wyjaśnimy w sposób ostateczny ten nieprosty problem.

W filmie oświatowym zdarza się to z reguły bardzo rzadko i nosi cechy snobistyczne. Przeważają tu bowiem tematy w rodzaju np. „Życie pszczół", a z królową matką trudno nawiązać nić porozumienia. Nie wdając się w szczegóły stwierdzić tylko należy, że zdarzyć to się może przy mniej specjalistycznych tematach. („Wycinanki łowickie" itp.). W filmie dokumentalnym jest to niemożliwe. Budowa nowych osiedli, wytopy stali, przecięcia wstęg, pięcioraczki gdańskie na spacerze — nie ma z kim żyć, choćby się nie wiem jak chciało. O filmach kukiełkowych nawet i nie wspominamy, bo nie jesteśmy świntuchy. Pozostaje film fabularny. Odpowiadamy: Tak, zdarza się, iż reżyserzy filmowi żyją ze swoimi aktorkami, ale czynią to mając na uwadze wyłącznie dobro filmu, który aktualnie tworzą. Sprawę uważamy za raz na zawsze wyjaśnioną.

## MAŁE KINO

*„Najlepsze są te małe kina"*

*K.I.G.*

### WESOŁA WIADOMOŚĆ

W Anglii w pewnym kinie w czasie deszczu kapała woda z sufitu. Ratując sytuację, postawiono w tym miejscu krzesełko, a na nim miednicę. Niestety, pewien spóźniony staruszek usiadł po ciemku na tym właśnie krześle. Śmiechu było dużo, choć film, który grano, był smutny.

### BESTIALSTWO

W Australii w czasie seansu kinowego, ktoś strasznie mlaskał i wzdychał. Po zapaleniu światła okazało się, że była to krowa. Biedne zwierzę po wydojeniu wyrzucono z kina.

### ZUCH

Pewien reżyser poszedł dalej i postanowił zrobić film z przymrużeniem obu oczu. Pomimo silnego ławienia wytrzymał do końca. Potem obejrzał sobie to, co zrobił i szeroko otworzył oczy. Zapytany o wynik, wypowiedział się pozytywnie, mrugając przy tym znacząco. Zaznaczamy, iż nie był to ani trochę film o Koperniku.

### NASZE KOCHANE ZWIERZAKI

W czasie realizacji serialu filmowego „Czarne chmury" ekipa bardzo zaprzyjaźniła się z końmi. Już na sam widok wołano: „patataj! patataj!" chcąc zrobić przyjemność tym szlachetnym zwierzętom. I ciepły ten stosunek zaowocował stokrotnie, konie grają jak aktorzy. Korzystając z okazji dołączamy się do „patataj", dodając od siebie serdeczne „prrrrr..."

### KURS DLA SCENARZYSTÓW. UWAGA, KURSANCI!

W niedzielę zbieramy się wszyscy na pl. Wolności. Ustawiamy się twarzami do środka placu, gdzie wzniesione będzie coś w rodzaju obelisku. Na tym podwyższeniu oczekiwać Was będzie mężczyzna łudząco podobny do T. Kościuszki. Należy czekać spokojnie tak długo, aż wygłosi on do Was krótkie podsumowanie, po czym wręczy Wam dyplomy. Zaznaczamy, że przemówienie rozpocznie się dopiero po zebraniu się wszystkich Kursantów. Będzie miło, gdy jeden z Was w imieniu całości podziękuje panu podobnemu do Kościuszki za otrzymaną wiedzę. Po zakończeniu odbędzie się rozsądna składka na pożegnalną kolację. Ten podobny do Kościuszki nie powinien brać w niej udziału. Przed odejściem na bankiet należy gotowe scenariusze złożyć u stóp obelisku. Scenariusze złożone po tym terminie zostaną tylko zakupione.

*Fot. W. Paryś*

## WIADOMOŚCI AGENCYJNE „BIBLIOTEKI STAŃCZYKA"

### KOLEJNICTWO

Chodzą słuchy, jakoby kolejki do sklepów miały zostać upaństwowione i przemianowane na Polskie Koleje Sklepowe. Czas stania w kolejkach zaliczony ma być do emerytury.

### AUTOMATY DO KRYTYKI

W celu ożywienia życia społecznego w mieście M. nad rzeką Wątrobianką zainstalowano na ulicach nowoczesne automaty do krytyki. Obywatel wrzuca pięć złotych, wtedy ukazuje się ucho, do którego obywatel mówi co myśli o wszystkim.

Po wrzuceniu dalszych pięciu złotych w automacie pokazują się usta, które całują obywatela na zgodę.

### WSZYSTKO NAM ROŚNIE

Dokonano ostatnio pomiarów odległości drogowych w kraju. I słusznie. Okazało się bowiem, że tam, gdzie przed wojną odległość wynosiła zaledwie dwadzieścia kilometrów, dziś mamy już dwadzieścia pięć, a czasem i trzydzieści kilometrów.

Na przykład za sanacji z miasta Wisielca do Zagłodzina było tylko piętnaście kilometrów, a dziś, dzięki właściwej trosce obywateli, jest dwadzieścia osiem. Miejscowy aktyw chętnie dokłada starań, by pod koniec roku przekroczyć trzydzieści sześć kilometrów.

### ŻYCIE MILIONERÓW

Co tydzień dzięki „totolotkowi" przybywa nam jeden milioner. W złotówkach. Nie jest to może zbyt dużo, ale rocznie daje nam to 52 milionerów, a za sto lat będziemy mieli 52 tysiące milionerów, a to już stawia nas w rzędzie najzamożniejszych krajów świata.

Trzeba dodać, że w Ameryce najpierw się jest skromnym pracownikiem, a potem będąc już milionerem, trzeba być obowiązkowo krwiopijcą i wyzyskiwaczem. U nas inaczej. Nawet będąc milionerem, nie przestaje się być skromnym i pracującym obywatelem. W przeciwnym wypadku milion rozejdzie się nam na drobne wydatki.

### SPÓR TRWA

Uwagę czytelników bieżącej prasy naukowej przykuwa dyskusja tocząca się między profesorem Padalcem a profesorem Pyziem. Tematem sporu jest znaleziony w jaskini Odrowąża prehistoryczny napis: „Pocałuj mnie w grząśl". Prof. Padalec uważa, że grząśl oznacza piaki wodnego, dzisiaj już zaginionego, niezwykle płochliwego. Stąd zdanie: „pocałuj mnie w grząśl" jest według Padalca rodzajem ironicznej metafory na oznaczenie niemożliwości lub małego prawdopodobieństwa. Prof. Pyzio natomiast obstaje przy tezie, że całe zdanie wywodzi się z obrzędów sakralnych.

### ROZWÓJ LITERATURY

Słychać w kołach dobrze poinformowanych, że wkrótce znany pisarz napisze książkę. Niestety, nie wiadomo jeszcze o czym. Nie udało się również ustalić, który to znany pisarz napisze tę książkę. Wiadomo natomiast, że książka będzie bardzo dobra.

## SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

## DAVID HERBERT LAWRENCE

# „KOCHANEK LADY CHATTERLEY"

Popatrzyła na niego. Był blady, brwi miał ponuro ściągnięte, odsunął się od niej tak daleko jak zimny biegun. Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

— Przed ranem nie mogę wrócić do domu — rzekła.

— Nie! Idź do łóżka. Jest za kwadrans pierwsza.

— Na pewno tego nie zrobię — odrzekła.

Poszedł po swoje buty.

— W takim razie ja wyjdę! — powiedział.

Zaczął wciągać buty. Wpatrywała się w niego.

— Czekaj! — wyjąkała. — Czekaj! Co to się stało między nami?

Był pochylony zawiązując sznurowadła, i nie odpowiedział. Mijały chwile. Ogarnęło ją zamroczenie, jakby omdlałość. Cała jej świadomość zamarła; stała z rozszerzonymi oczyma, spoglądając nań z nieznanego, nie wiedząc już nic.

Podniósł głowę, zaskoczony tym milczeniem, i zobaczył ją stojącą z rozszerzonymi oczami, zagubioną. I tak jakby targnął nim podmuch, poderwał się, pokuśtykał do niej w jednym bucie, wziął ją w ramiona i przycisnął do swego ciała, które było jakieś na wskroś obolałe. I tak ją przytrzymał, i tak pozostała.

Wreszcie jego dłonie sięgnęły ślepo w dół, szukając jej, i pod suknią dotknęły miejsca, gdzie była gładka i ciepła.

— Moja dziewczyna! wyszeptał. — Moja malusia! Nie kłóćmy się! Nie kłóćmy się nigdy! Uwielbiam cię i uwielbiam cię dotykać. Nie spieraj się ze mną! Nie spieraj się! Nie! Bądźmy ze sobą.

Podniosła twarz i spojrzała na niego.

— Nie martw się — powiedziała spokojnie. — To nic nie daje. Naprawdę chcesz być ze mną?

Patrzyła mu w twarz rozszerzonymi, bacznymi oczyma. Przerwał i nagle znieruchomiał odwracając głowę. Całe jego ciało znieruchomiało zupełnie, ale się nie cofnęło.

Potem podniósł głowę i spojrzał jej w oczy ze swoim dziwnym, nieco drwiącym uśmiechem, mówiąc:

— Tak, tak! Bądźmy ze sobą pod przysięgą.

— Ale naprawdę? — zapytała, a oczy napełniły jej się łzami.

— Tak, naprawdę. Sercem, brzuchem i przyrodzeniem.

Nadal uśmiechał się nikło do niej, z przebłyskiem ironii w oczach i odrobiną goryczy.

Płakała cicho, a on położył się z nią i wszedł w nią tam, na dywaniku przed kominkiem i tak odzyskali w pewnej mierze równowagę ducha. A potem poszli szybko do łóżka, bo zrobiło się chłodno, a oboje wyczerpali siebie wzajemnie: I przytuliła się doń czując się małą w jego objęciach, i oboje zaraz usnęli jednym twardym snem. I tak leżeli nie poruszywszy się nawet, dopóki słońce nie wzeszło nad lasem i nie rozpoczął się dzień.

Wtedy obudził się i popatrzał na światło. Zasłony były zaciągnięte. Słuchał donośnego, szalonego świergotu kosów i drozdów w lecie. Zanosiło się na cudowny poranek, było wpół do szóstej, godzina jego wstawania. Spał tak twardo! A dzień był taki nowy! Kobieta nadal spała, skulona i miękka. Powiódł po niej dłonią, a ona otworzyła swoje niebieskie, zdziwione oczy, uśmiechając się do niego nieświadomie.

— Nie śpisz? — spytała.

Patrzał jej w oczy. Uśmiechnął się i pocałował ją. Nagle ocknęła się i siadła.

— Pomyśleć, że jestem tutaj! — powiedziała.

Rozejrzała się po bielonej, małej sypialni z pochyłym sufitem i oknem w ścianie szczytowej, na którym były zaciągnięte białe zasłony. Pokój był pusty z wyjątkiem małej, żółto pomalowanej komódki i krzesła, i niewielkiego łóżka, w którym leżeli.

— Pomyśleć, że jesteśmy tutaj! — powiedziała spoglądając na niego. — Leżał przypatrując się jej i gładził palcami jej piersi pod cienką, nocną koszulą. Kiedy był rozgrzany i wypoczęty, wyglądał młodo i przystojnie. Jego oczy umiały patrzeć tak ciepło. A ona była młoda i świeża jak kwiat.

— Chcę to zdjąć! — powiedziałć ujmując cienką, batystową koszulę i ściągając ją przez jej głowę. — Siedziała teraz z obnażonymi ramionami i ciężkimi piersiami, lekko ozłoconymi. Lubił kołysać nimi miękko, jak dzwonami.

— Ty także musisz zdjąć piżamę — powiedziała.

— E, nie!

— Tak! Tak! — rozkazała.

Zdjął swoją starą bawełnianą kurtkę od piżamy i spuścił spodnie. Poza dłońmi i napięstkami, twarzą i szyją był biały jak mleko, ciało miał jędrne, szczupłe, muskularne. Wydał się nagle Connie znów przejmująco piękny, tak jak wówczas, gdy widziała go myjącego się po południu.

Złoto słonecznego światła dotknęło zaciągniętej białej zasłony. Czuła, że pragnie wniknąć do środka.

— Och, odsuńmy zasłony! Ptaki tak śpiewają! Wpuść słońce — powiedziała.

Wyślizgnął się z łóżka tyłem do niej, nagi, biały i szczupły, i podszedł do okna pochylając się nieco, odsunął zasłony i przez chwilę wyglądał na dwór. Plecy miał białe i zgrabne, drobne pośladki piękne jakąś doskonałą, delikatną męskością, kark rumiany, delikatny, a jednak mocny.

W tym wspaniałym, delikatnym ciele była wewnętrzna, nie zewnętrzna siła.

— Ależ ty jesteś piękny! — powiedziała. — Taki czysty i wspaniały! Chodź! — wyciągnęła ręce.

Wstydził się obrócić do niej ze względu na swoją obrzmiałą nagość.

Podniósł z podłogi koszulę i zasłonił się nią podchodząc.

— Nie! — zawołała wciąż wyciągając smukłe ramiona nad ciężkimi piersiami. — Daj mi siebie obejrzeć!

Wypuścił z rąk koszulę i stanął patrząc na Connie. Przez niskie okno słońce wysłało promień, który oświetlił jego biodra, szczupły brzuch i wyprężony phallus, co wznosił się, ciemnawy i rozgrzany, z mgiełki złotorudych włosów. Była zaskoczona i przestraszona.

— Jakie to dziwne! — powiedziała z wolna. — Jakie to dziwne, że on tak stoi! Taki duży! Taki ciemny i pewny siebie. To on jest taki?

Mężczyzna spojrzał na przód swojego smukłego, białego ciała i roześmiał się. Między szczupłymi piersiami włosy miał ciemne, prawie czarne. Natomiast u spodu brzucha, tam gdzie phallus wznosił się gruby i sterczący, były złotorudą, żywą mgiełką.

— Taki dumny! — szepnęła niepewnie. — I taki pański! Teraz wiem, dlaczego mężczyźni są tacy butni! Ale on jest śliczny, naprawdę. Jak jakaś inna istota! I trochę przerażający! Ale naprawdę śliczny! I przyszedł do mnie.

Przygryzała dolną wargę, w lęku i podnieceniu.

Mężczyzna spoglądał milcząco na obrzmiały phallus, który się nie zmieniał.

— Tak! — powiedział wreszcie cichym głosem. — Tak, mój chłopaku! Takiś ty jest. Trzymaj głowę do góry! Jesteś sobie pan, z nikim się nie liczysz. Mnie masz za nic, John Thomas. Jesteś władcą? Nade mną? Ano, przecieżeś butniejszy ode mnie, a to już coś. John Thomas! Chcesz jej? Chcesz tej Lady Jane? Znowużeś mnie wrobił, a jakże. I sterczysz sobie wesoło. No więc ją poproś! Poproś Lady Jane! Powiedz: rozewrzyjcie bramy, żeby król chwały mógł wejść. Aleś ty bezczelny! Piczka, ot czego chcesz. Powiedz Lady Jane, że chcesz piczki. John Thomas, piczki Lady Jane!

— Och, nie drażnij się z nim — rzekła Connie czołgając się ku niemu na kolanach po łóżku; opasała ramionami jego smukłe lędźwie i przyciągnęła go do siebie, tak że jej ciężkie, rozkołysane piersi dotknęły czubka drgającego, wyprężonego phallusa i zebrały kropelkę wilgoci. Mocno przytrzymała mężczyznę.

— Kładź się! — powiedział. — Kładź się! Daj mi!

A potem, gdy już leżeli zupełnie spokojnie, musiała odkryć go znowu, aby popatrzyć na tajemnicę phallusa.

— A teraz jest taki malutki i miękki jak pączek życia! — rzekła ujmując dłonią małego, miękkiego penisa. — Prawda, że jakiś taki ładny? Taki spokojny, dziwny! I taki niewinny? A wchodzi we mnie tak głęboko! Wiesz, nie wolno ci go nigdy obrażać. Jest także mój. Nie tylko twój. Mój jest! I taki śliczny i niewinny! — Trzymała penisa miękko w dłoni.

(Fragment)

Tłumaczył: BRONISŁAW ZIELIŃSKI

David Herbert Lawrence (1885—1930) znany poeta i prozaik angielski; pisał powieści obyczajowo-psychologiczne: „Synowie i kochankowie", „Kochanek lady Chatterley".


# NAGRODY DLA KLIENTÓW UNIWERSALU

OD 21 STYCZNIA BR. KLIENCI UNIWERSALU UCZESTNICZĄ W KONKURSIE p.h.

**"Dziś kupujesz - dziś losujesz nagrodę"**

Każdy ma szansę wylosować:

PRALNICĘ AUTOMATYCZNĄ – 10.500 zł
TELEWIZOR „BERYL" – 10.000 zł
MAGNETOFON ZK-145 – 5.200 zł
TALONY TOWAROWE na łączną wartość – 20.000 zł

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE W PDT UNIWERSAL ŁÓDŹ, PLAC NIEPODLEGŁOŚCI 4

PAMIĘTAJ! TWÓJ SZCZĘŚLIWY LOS – W UNIWERSALU



Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź ul. A. Czerwonej 28
Zam. 28 C-4. Nr indeksu 37006